

# ZARANIE ŚLĄSKIE



ROK XI

ZESZYT 4

## SPIS TREŚCI:

	Str.
<i>Olszewicz Wacław</i> , Jak pracować naukowo na Śląsku nad zagadnieniami gospodarczymi i społecznymi . . . . .	225
<i>Gumowski Marjan</i> , Grobowiec Henryka IV (Dokończenie), z 3 tablicami . . . . .	229
<i>Szczepański Jan</i> , Buty . . . . .	238
<i>Dobrowolski Tadeusz</i> , Kilka uwag o rzeźbie ludowej . . . . .	239
<i>Dąbrowa Jan</i> , Pamiętnik „Zwiastuna Górnośląskiego“ . . . . .	246
<i>Musiół Ludwik</i> , Toponomja śląska a polityka (Dokończenie) . . . . .	255
<i>Morcinek Gustaw</i> , Gamratka, Fragment z powieści p. t. <i>Ondraszek</i> . . . . .	263
<i>Ręgorowiczowa Olga</i> , Z cyklu: Wiersze o Śląsku . . . . .	268
<i>Pilchówna Marja</i> , „Polok“ czy „ślązok“ . . . . .	269
<i>Barycz Henryk</i> , Ustęp z dziejów kontrreformacji katolickiej na Górnym Śląsku . . . . .	273
<i>Wallis Stanisław</i> , „Znicz“, pismo zbiorowe młodzieży polskiej we Wrocławiu, 1851—1852 . . . . .	284
<i>Reiss Józef</i> , Wycieczki Górnoślązaków do Krakowa . . . . .	288
<i>Materiały</i> . . . . .	290
<i>Recenzje i sprawozdania</i> . . . . .	299
<i>Notatki i kronika</i> . . . . .	308
<i>Przegląd muzealny</i> . . . . .	309
<i>Malczewski Rafał</i> , Dwie reprodukcje z cyklu „Czarny Śląsk“.	
<i>Dodatek</i> : Wykaz literatury bieżącej o Śląsku, nr 3 (lipiec—wrzesień 1935).	

**„Zaranie śląskie” jest organem Instytutu Śląskiego w Katowicach i Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie.**

### **Redakcją kieruje komitet,**

w skład którego wchodzi: dr Roman Lutman, dyrektor Instytutu Śląskiego w Katowicach i dyr. Franciszek Popiołek, prezes Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie.

### **Sekretarz redakcji i redaktor odpow.:**

Ludwik Brożek, Katowice, ul. Francuska 12 (Biblioteka Sejmu Śląskiego).

Adres administracji: Paweł Bocek, Pszczyna, ul. Sienkiewicza 6, I p.

Prenumerata wynosi rocznie 8 zł wraz z przesyłką pocztową, w Czechosłowacji 32 Kcz.

P. K. O. Warszawa 180.524. — P. U. C. Praga 30.693.

(Konto Tow. Oszczędności i Zaliczek w Cz. Cieszynie.)

Poszczególne egzemplarze zamawiać można w księgarniach T. Mikulskiego i Katolickiej w Katowicach, w księgarniach „Dziedzictwa“ i „Nowe Kresy“ w Cieszynie, oraz księgarni Macierzy Szkolnej w Czeskim Cieszynie.

Manuskryptów nie zwraca się.

Druk wykonany czcionkami Drukarni „Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra” w Cieszynie.







Rafał Malczewski.

**Śląsk.**

# ZARANIE ŚLĄSKIE

Zeszyt 4.

Bytom-Cieszyn-Katowice-Orłowa, dnia 24 grudnia 1935.

Rok XI.

Wacław Olszewicz.

## Jak pracować naukowo na Śląsku nad zagadnieniami gospodarczymi i społecznymi?

Rosną szeregi rodzimej inteligencji śląskiej, osiadającej na własnej ziemi dla pracy zawodowej. Z uspołecznienia, które przenika powojenną młodzież akademicką, wolno wnioskować, że będzie to element, który, osiadłszy na prowincji, i społecznie będzie tam czynny. Czy będzie jeszcze czas i miejsce na pracę naukową w dziedzinie gospodarczej i społecznej?

Są dwa okresy w życiu ludzkim, kiedy tego czasu zabraknąć nie powinno u chętnego do takiej pracy naukowej: w ostatnich latach studiów akademickich i po stabilizacji zawodowej. W pierwszym okresie praca ta ze studjami wiąże się tematami, zainteresowaniami i sposobem ujęcia w oparciu głównie o materiał książkowy, o literaturę przedmiotu; w drugim — albo związana jest z wynikami działalności zawodowej, albo wypływa z życiowego doświadczenia, z własnych obserwacji, przeżyć, przemyślań.

Ujęcie wyników w formę artykułu, broszury czy książki — to rzecz ostatnia i nie o tem będzie tu mowa. Znane są zresztą wymagania ogólne, stawiane autorom: jasność, treściwość, planowość co do przedmiotu, prostota co do formy. Ale nam tu chodzi o co innego, o wybór tematu, o możliwość jego opanowania, o sposób ujęcia.

Jak z nieograniczonej liczby tematów gospodarczych czy społecznych dokonać wyboru? Odpowiedź wypadnie rozmaicie, zależnie od dwojakich okoliczności: wewnętrznych, to znaczy ogólnego upodobania autora,

i zewnętrznych, wytworzonych przez warunki jego życia. Przez upodobanie rozumiemy tu zamiłowanie do zagadnień praktycznych, życiowych, czy też teoretycznych ogólnych, oderwanych od codzienności.

Umysł teoretyczny mógł w pracy naukowej na prowincji znaleźć jedną przeszkodę: brak książek. Ale dziś pod tym względem wiele się zmieniło. Łatwość wypożyczania z bibliotek publicznych wzrosła, a wzajemność wypożyczania między bibliotekami pozwala na sprowadzanie książek nawet z dalekiej zagranicy. Posiadanie książek na prowincji stało się wyłącznie kwestją organizacji. Nawet w dawniejszych czasach, kiedy takich ułatwień teoretycznych nie było, cały szereg ludzi potrafił zorganizować sobie na prowincji warsztat pracy umysłowej w zupełnym oderwaniu od środków uniwersyteckich.

Klasycznym przykładem był częstochowski lekarz dr Władysław Biegański, autor „Logiki medycyny”, umysł zamiłowany w dociekaniach ogólnych, człowiek stworzony na profesora uniwersytetu, a warunkami życiowymi zmuszony do zarobkowania w niewielkiem wówczas mieście. Później wzywano go do przeniesienia się do stolicy, ale on nie chciał. „Był on świadomym apostołem pracy na prowincji, chciał dać z siebie przykład, co można zdziałać w najmniej pomyślnych warunkach.” Tak pisze o nim prof. Franciszek Bujak, który sam jest apostołem pracy naukowej na prowincji i tym



w Polsce, który najbardziej konkretnie na ten temat pisuje. Dwa artykuły prof. Bujaka w „Nauce Polskiej”, to nie tylko propaganda, to szereg wskazówek, jak i czym zająć się może mieszkaniec wsi lub małego miasta. Przeczytanie tych dwóch artykułów daje niezmiernie dużo i stanowi najpiękniejszą zachętę<sup>1)</sup>.

Wracając do pracy teoretycznej na prowincji, należy podkreślić, że właśnie w zakresie ekonomii teoretycznej dokonano niejednej pięknej pracy na prowincji. Jako przykład przytacza prof. Bujak znakomitego niemieckiego ekonomistę Thüнена († 1850), który swe dzieła przemyślał i napisał na wsi w Meklenburgji.

A umysł, nie mający specjalnych zamiłowań do dociekań teoretycznych, pragnący studjować stosunki gospodarcze czy społeczne konkretne? Dla takiej pracy badawczo-opisowej nigdy nie zabraknie na prowincji tematów ani materiałów.

Ktoś, kto ma zamiłowanie przeszłości, znajdzie przed sobą ogromne pole do badań. Materiał archiwalny — to nie tylko stare szacowne księgi miejskie, sądowe, parafjalne, ale również dawne książki handlowe miejscowej fabryki, inwentarze dworskie, stare wykazy robocizny, różne korespondencje firm handlowych z dawnych lat i t. d. Niekoniecznie historyk musi sięgać w czasy zamierchłe, do stosunków średnio-wiecznych albo odrodzeniowych, dla których źródeł szukać trzeba przedewszystkiem w wielkich ośrodkach bibliotecznych i archiwalnych takich, jak Wrocław, Kraków, lub częściowo w starych klasztorach. Ale nawet dla tych czasów, a zwłaszcza dla

<sup>1)</sup> Franciszek Bujak, Praca naukowa na prowincji (Wstęp ogólny), Nauka Polska, IV, Warszawa 1923, Kasa im. Mianowskiego, str. 81—114, oraz: O pracy naukowej na prowincji nad zagadnieniami gospodarczymi, Tamże, str. 237—248. Uzupełniony przedruk tych artykułów ukazał się w niezmiernie interesującym tomie szkiców prof. Bujaka p. t. Nauka a społeczeństwo (Warszawa 1930) obok siedmiu innych jego prac, niemniej wartych przeczytania.

XVII i XVIII wieków znajdują się interesujące źródła, porozrzucane po mniejszych miejscowościach<sup>2)</sup>.

Różnorodne materiały przechowują administracje wielkich latyfundiów, sięgając nieraz dwa i trzy wieki wstecz. Przykładem archiwum ksiąg Pszczyńskich, z którego bardzo cenne przyczynki ogłosił Ludwik Musioł w trzecim tomie „Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku”. Wielkie bogactwo materiałów posiada Archiwum Zamkowe w Cieszynie, jak tego dowodzą źródłowe badania Franciszka Popiołka na aktach tych przeważnie oparte.

Ogromna większość materiałów w takich zbiorach prywatnych i w publicznych — to oczywiście wiek XIX, nazwany przez kogoś złośliwie i poniekąd nie bez słuszności „wiekiem biurokracji”. Ale zamiast ironizować, bądźmy jej radzi, szukając źródeł do poznania dziejów społecznych i gospodarczych. Bo ona nie tylko znakomicie powiększyła ilość aktów i spraw, nie tylko dopomogła do rozrostu ingerencji Państwa w życie prywatne, ale nauczyła szanować i przechowywać ślady swej działalności w aktach. To też dla XIX wieku źródła znajdziemy w najmniejszych nawet komórkach ustroju administracyjnego. Pozostaje tylko kwestja wyboru tematu.

Stosunki komunikacyjne lądowe i wodne, płace robotnicze i urzędnicze, ceny towarów u producenta, w hurcie i w detalu, koszty własne wytwórcy fabrycznego czy rzemieślnika, dawna organizacja handlu lokalnego i rozdzielczego — oto przykładowo kilka tematów. Na wsi dochodzą badania nad pańszczyzną, nad przejściem na płatną robocizną, nad zmianami w majątkowej strukturze ludności i t. d.; w okolicach górniczych lub fabrycznych — poza badaniami wytwórczości (np. przyczyn jej wahań) —

<sup>2)</sup> Pracowite zestawienie takich miejscowości w granicach Niemiec, z materiałami, dotyczącymi Polski, sporządził dr Karol Piotrowicz, Polonica w Niemczech, Nauka Polska, XVIII, Warszawa 1934, str. 1—282.

jakże ciekawe można prowadzić badania nad zasięgiem sprzedaży, nad potrzebami i źródłami zakupu, nad realną wartością zarobków robotniczych i t. d.

Historja gospodarcza i społeczna ogarnęła dziś dziedziny dawniej zaniedbane lub pozornie poza nią stojące, np. klęski elementarne: powodzie, posuchy, pomory, zniszczenia wojenne, pożary. Zestawiają je chronologicznie dla wszystkich ziem polskich uczniowie prof. Bujaka: A. Walawender, R. Werchracki, St. Namaczyńska, J. Szewczuk i inni, a inicjator ogłasza je następnie w swem pięknym wydawnictwie seryjnym p. t. „Badania z dziejów społecznych i gospodarczych”. Pozornie dziedzina obca, a jednakże jak bliska: następstwo takich klęsk elementarnych to nietylko śmierć lub materialna strata jednostek, to zjawisko masowe, społeczne, z konsekwencjami na długie lata.

Wie Śląsk coś o tem, choćby z dziejów ubiegłego stulecia: przecież lata głodowe, poprzedzające rok 1848, niemniej od uciemieżeń przyczyniły się do tego, że jeżeli chłop z Marchji lub z Pomorza był w państwie pruskiem podporą konserwatyzmu, to włościąństwo śląskie tworzyło bazę dla rewolucji. Taka jest teza niemieckiego badacza K. Reissa<sup>3)</sup>. U nas o głodzie ówczesnym na Śląsku pisał Emil Caspari<sup>4)</sup>.

Alte temat nie jest wyczerpany i wdzięczny ma zadanie ten, kto dla określonej okolicy Śląska przeprowadzi dochodzenia nad przyczynami, przebiegiem i następstwami klęski głodowej. Z metodyki historycznej jedna musi mu przyświecać zasada — winien pamiętać o konieczności badania autentyczności źródeł przed ich użytkowaniem dla wnioskowania. Ta zasada obowiązuje bada-

<sup>3)</sup> K. Reiss, Agrarfrage und Agrarbewegung in Schlesien im Jahre 1848 (Darstellungen und Quellen zur schlesischen Geschichte, Bd XII), Breslau 1910, Verein für Geschichte Schlesiens.

<sup>4)</sup> Emil Caspari, Rok 1848 na G. Śląsku, Odczyt wygłoszony w Uniwersytecie im. Morawskiego, Warszawa 1920, str. 16.

cza czasów najnowszych narówni z medje-  
walistą.

Ale od przeszłości przejdziemy do terażniejszości. Wieleż ona daje tematów! To wszystko, co przykładowo przytoczyliśmy a d u s u m miłośnika przeszłości, możemy tu powtórzyć. Tylko metoda pracy będzie w jednym względzie inna: obserwacja zastąpi dokument. Cała wartość studjum będzie polegała na bezpośredniości kontaktu z badanem zjawiskiem, potem na obfitości dokonanych spostrzeżeń i na ich dokładności. Uogólnienia i analogje można pozostawić innym. Lepiej zostać w terenie, w najbliższym stosunku do przedmiotu badań, docierając do przyczyn i powodów, śledząc następstwa, a zawsze opierając się na dokładnem zbadaniu warunków antropogeograficznych, tworzących jakby ramę do obrazu.

Jak powiedział prof. Bujak, „życie gospodarcze w całym bogactwie swych postaci i odcieni... ma tę przewagę nad innymi przedmiotami badań, że nie trzeba go szukać i odgrzebywać, albowiem jak powietrze otacza nas i zachęca do spostrzeżeń i rozmyślań”. Najlepiej nie szukać daleko od siebie i swojej rodziny, ale wziąć jako temat badań to, co bliskie, np. budżet rodziny włościńskiej lub rzemieślniczej, wytwórczość i zbyt jakiegoś warsztatu pracy jako źródła dochodu dla okolicy, życie wioski fabrycznej czy miasteczka i t. d. Sam prof. Bujak dał przykład, jak pisać tego rodzaju monografie; wydał jeszcze przed wojną monografie dwóch wsi (Zmięcy i rodzinnych Maszkienic), oraz miasteczka Limanowej. W wolnej Polsce z jego inicjatywy szereg pracowników z wykształceniem akademickim opracowuje takie monografie wsi, ogłaszane następnie w seryjnym wydawnictwie „Biblioteka Puławska”. Działający przy Instytucie Puławskim Wydział Ekonomiki Drobnych Gospodarstw Wiejskich podjął inne jeszcze kwerendy, oparte na bezpośrednim kontakcie z przedmiotem badania, m. i. badania opłacalności gospodarstwa włościńskiego, co



zainicjował znakomity uczyony szwajcarski prof. Laur.

Tematy powyższe mają charakter ekonomiczny. Kogo pociągają bardziej tematy socjalne, może z pożytkiem dla nauki studjować np. typy w swem otoczeniu lub całe rodziny. W literaturze polskiej pojawiły się ostatnio dwa dzieła, które mogą dobrze naprowadzić na temat obserwacji i na ich metodę: „Rodzina wiejska jako środowisko wychowawcze” pod redakcją Z. Mysłakowskiego (Warszawa 1931) i „Dziecko wsi polskiej” pod redakcją M. Librachowej (Warszawa 1933). W dziedzinie socjologii specjalnie potrzebne są właśnie prace o charakterze opisowym, analityczne, drobiazgowo; dopiero wielka ich ilość pozwoli na ścisłe prace syntetyczne<sup>5)</sup>.

Doskonałym przykładem tego, co i jak można z dziedziny socjologii opracować na podstawie materiału, zdobytego w ciągu jednych wakacji, jest studjum Józefa Chałasińskiego<sup>6)</sup>. Tematem jest „antagonizm polsko-niemiecki w osadzie fabrycznej „Kopalnia” na Górnym Śląsku”, a metoda pracy, która dała bardzo interesujące wyniki, polegała na autopsji, na bezpośrednim zbadaniu warunków życia i nastrojów w jednej z osad w okolicy Katowic.

<sup>5)</sup> Cenne uwagi i wskazówki metodologiczne podaje Stanisław Rychliński w książce p. t. *Badania środowiska społecznego*, Warszawa 1933 — i w artykułach: *Badania monograficzno-opisowe życia robotniczego w Polsce*, *Statystyka Pracy*, 1928 — oraz: *Badanie środowiska pracy*, *Przewodnik pracy oświatowej*, listopad i grudzień 1934. — Podobny charakter ma artykuł A. Z a b k o - P o t o p o w i c z a, *O monografiach skupień wiejskich wogóle, a przedewszystkiem w nauce polskiej*, *Ekonomista*, 1933, kwartał 4; 1934, kwartał 1.

<sup>6)</sup> Józef Chałasiński (Poznań), *Antagonizm polsko-niemiecki w osadzie fabrycznej „Kopalnia” na Górnym Śląsku*, *Przegląd socjologiczny*, III (1935), z. 1—2, str. 146—278, oraz osobna odbitka (Poznań 1935).

Metoda ankietowa, chętnie stosowana w krajach anglosaskich, ma i w Polsce coraz szersze zastosowanie. Przykładowo przytoczyć można publikacje Instytutu Gospodarstwa Społecznego p. t. *Warunki życia robotniczego w Warszawie, Łodzi i Zagłębiu Dąbrowskiem w świetle ankiet 1927 roku* (Warszawa 1929), *Pamiętnik bezrobotnych* (Warszawa 1933), *Pamiętniki chłopów* (Warszawa 1935), oraz wydawnictwo Instytutu Spraw Społecznych p. t. *Życie bezrobotnych, Badania ankietowe w opracowaniu H. Kraheńskiej i St. Prusa* (Warszawa 1935).

Metody pracy ankietowej tem bardziej warto przytoczyć na tem miejscu, że ona nadaje się doskonale do trudu zbiorowego. Doskonale sobie wyobrazić można kilku kolegów-akademików, mających zbliżone zainteresowania i podejmujących np. w czasie wakacyj letnich badanie ankietowe jakiegoś tematu społecznego lub gospodarczego. Ale może ankietę prowadzić i jednostka; oczywiście zebranie materiału zajmie jej więcej czasu, niż grupie ankietujących; za to jednolitość metody może być większa u jednostki. Cechą charakterystyczną ankiet jest nie zbiorowość pracy, jak się czasem przyjmuje, ale — używając modnego wyrażenia — „podejście do roboty”. Ankietę wymaga wielkiego wniknięcia w temat, ogromnej cierpliwości, zdolności obserwacyjnej i rzetelności, t. j. notowania tylko tego, co się rzeczywiście stwierdziło. Potrzebny jest więc i wielki krytycyzm w stosunku do tego, co się słyzy, i wielki obiektywizm.

Jak w każdej pracy naukowej, tak i w badaniach społecznych i gospodarczych niezbędne jest zamiłowanie. Ale o tem mówić w niniejszym artykule byłoby rzeczą zbędną, bo przecież jego punktem wyjścia jest „praca na ochotnika”, wynikająca z chęci bliższego poznania przejawów życia społecznego i gospodarczego na własnej ziemi, w ojczystem otoczeniu, w środowisku, w którym akademikowi-Słazakowi przypada zaszczytna rola wzmoczenia siły swojszczyzny.



## Grobowiec Henryka IV.

### IV.

Pozostają jeszcze do zbadania rzeźby pokrywające dalsze boczne ściany sarkofagu. Są one w ten sposób skomponowane i rozłożone, że tylko jedna dopiero co opisana prawa strona przeznaczona jest na pomieszczenie osób należących do rodziny książęcej, trzy natomiast inne strony wyobrażają orszak duchowieństwa kroczący w tym pogrzebie. Jest to ściana a) od strony nóg, b) od strony tarczy i c) od strony głowy zmarłego. Przejdziemy je po kolei:

a) Wązka ściana od strony nóg, a naprzeciwko wielkiego ołtarza umieszczona, ma tylko jedną arkadę, a w niej znowu grupę z 3 osób złożoną. Są to biskup i 2 klerycy. Biskup ubrany jest w szaty pontyfikalne, w fioletowy żałobny ornat, infułę i trzyma pastorał. Klerycy przy nim mają białe długie komże i noszą jeden kadzielnicę, drugi kropidło. Biskup nie stoi w pośrodku, ale na brzegu tak, by był pierwszym wśród szeregu duchownych, którzy idą za nim z lewej strony, a równocześnie szedł na czele rodziny książęcej, grupującej się od strony prawej.

Ustaliło się dotychczas mniemanie, że biskupem tu przedstawionym może być tylko Tomasz II, biskup wrocławski (1267-92), jako egzekutor testamentu Henryka IV<sup>42)</sup>. Dla nas jednak osoba tego biskupa jest niemożliwą do przyjęcia. Wiadomo bowiem, że biskup ten prowadził za życia ciągłą wojnę z Henrykiem IV i dlatego o pomniku dla znienawidzonego przez się i wykluczonego księcia z pewnością nie myślał. Umarł bowiem zaledwie 2 lata po nim, kiedy jeszcze nie było nawet kościoła św. Krzyża, gdzieby sarkofag można było ustawić. Z badań naszych pokazuje się, że postacie na ścianach

### Dokończenie.

sarkofagu wyrzeźbione, nie odnoszą się do właściwego pogrzebu w 1290 r. odprawionego, ale raczej do uroczystości złożenia trumny w sarkofagu, co nastąpiło dopiero ca 1315 roku. Z tego powodu biskupem tu przedstawionym będzie nie kto inny, jak Henryk z Wierzbna, rządzący diecezją wrocławską w latach 1296—1319. Panujący przed nim biskup Jan III Romba (1292-96) nie był mile przez książąt śląskich widziany, za krótko siedział na swej stolicy i z tych powodów nie mógł współdziałać, ani być fundatorem grobowca Henryka IV. A tymczasem biskup umieszczony jest tutaj na tak pryncypalnym miejscu i tak potraktowany jako osoba najważniejsza orszaku, iż śmiało można przypuszczać, że to on właśnie był fundatorem, lub głównym inicjatorem budowy tego sarkofagu.

Takim mógł być tylko biskup Henryk z Wierzbna, wybitna i niecodzienna postać na Śląsku. Kroniki malują go jako człowieka rozumnego i wykształconego, wesołego, uprzejmego i wspaniałomyślnego, który lubił otaczać się dworem i blaskiem zewnętrznym, wysoko nosił swą godność i nie liczył się z wydatkami. Pochodził on z dawnego i polskiego rodu śląskiego panów z Wierzbna, ale on właśnie był tego rodu najlepszym i najznakomitszym przedstawicielem i właśnie przez niego ród ten doszedł na Śląsku do największego znaczenia<sup>43)</sup>. On to został po śmierci Bolka I świdnickiego († 1301) opiekunem jego małoletnich dzieci, a wtedy niewątpliwie zbliżył się do Henryka VI wrocławskiego i nawiązał stosunek przyjaźni, jakiej nie było oddawna między księciem, a biskupem wrocławskim.

Biskup Henryk z Wierzbna był pozatem nowatorem na rozmaitych polach życia kul-

<sup>42)</sup> Landsberger, Breslau 1926 p. 55 — Gün-  
del l. c. 35 — nadto i dawniejszej literatury  
Büsching, Stronczyński etc.

<sup>43)</sup> Wutke, Zur Geschichte von Würben bei  
Schweidnitz, Zeitschrift d. Vereines f. Gesch. Schle-  
siens XXIII, 1891, p. 238.

turalnego na Śląsku. Przekonują nas o tem najlepiej jego pieczęcie i monety, daleko odbiegające od dotychczasowego szablonu jego poprzedników. On bowiem pierwszy z pośród biskupów śląskich używał pieczęci okrągłej i pierwszy umieścić na niej polecił dwa swoje herby, rodowego Lisa i biskupie Lilje. On także pierwszy z biskupów kazał bić nowe kwartniki w swej mennicy niskiej z pełnym napisem i figurą biskupa zupełnie na wzór monet północno-włoskich tak, że zachodzi uzasadnione przypuszczenie, że to sprowadzeni przezeń włoscy artyści byli ich twórcami<sup>44</sup>).

Kroniki śląskie zarzucają mu, że w czasie kiedy był opiekunem młodych Bolkowiczów roztrwonił skarbiec książęcy po Bolku I świdnickim pozostały, który obejmować miał około 60.000 grzywnen w złocie i srebrze. To miało być również powodem usunięcia go od opieki. Nie wydaje się to jednak prawdopodobne z powodu, że rejencja biskupia trwała zaledwo rok jeden (1302) i trudno uwierzyć, by w tak krótkim czasie skarb tak duży można było roztrwonąć<sup>45</sup>). W podaniu tem jednak jest może ślad hojnej dłoni dla artystów i ślad jakichś fundacyj, a w tym wypadku sarkofagu Henryka IV. Wszystko przemawia za tem, że jeżeli komu, to właśnie temu Henrykowi z Wierzbna nasz sarkofag zawdzięcza swe powstanie. Z tego też powodu na pierwszym miejscu całego orszaku pogrzebowego umieścił rzeźbiarz figurę biskupa.

b) Cokół sarkofagu od strony tarczy podzielony jest nie na 4, lecz na 5 arkad gotyckich i zapełniony tylko 5 figurami. Każda z nich ma długie duchowne szaty i każda książkę trzyma w ręku. Wszystkie postacie te są niezwykle uroczyste i dostojne, nadto

<sup>44</sup>) Piekoński, Pieczęcie pols. I. c. 316 — Bretschneider, Das bresl. Bistumswappen. Zeits. d. Vereines f. Gesch. Altert. Schlesiens, I, 1916, 234. Friedensburg w Codex dipl. Silesiae XIII, p. 277.

<sup>45</sup>) Kronika książąt polskich. Monum. Pol. Histor. III, p. 512 — Długosz, Opera omnia I (1887), p. 465. — Grünhagen, Geschichte Schlesiens, Gotha 1884, I, 129.

spokojne w ruchach, w przeciwieństwie do postaci rodziny książęcej, z drugiej strony sarkofagu, która miną i rękami wyraża w rozmaity sposób swą rozpacz. Niestety głów tego duchowieństwa już nie możemy obserwować, gdyż wszystkie 5 są nowszego pochodzenia. Głowy pierwotne, od ścian i tła odstające, zostały utracone przez Szwedów podczas wojny trzydziestoletniej, a głowy dzisiejsze dopiero w r. 1866 z okazji restauracji sarkofagu zostały dorobione. Z pięciu przedstawionych tu postaci wyróżnia się strojem postać pierwsza, która ma na białej szacie czarny płaszcz zarzucony na ramiona, a ponieważ idzie na przedzie i jest najbliższym biskupa, przeto widocznie jest rangą starsza od innych.

Dotychczasowi badacze widząc taki strój i ruchy tych 5 postaci, byli zdania, że to szereg zakonników, a o tym w płaszczu sądzili, że to najstarszy między nimi i jak przypuszcza Gündel, to Konrad, ks. zęgański, brat Henryka III głogowskiego i proboszcz kapituły wrocławskiej. I to tłumaczenie uważam za mylne. Osoby tu przedstawione nie mogą być zakonnikami, gdyż ich strój musiałby być innym i nie miałyby biskupa za przewodnika. Pozatem, gdyby rzeźbiarz chciał wprowadzić tu osobę Konrada zęgańskiego, byłby ją pomieścił między rodziną książęcą. Konrad ten jednak być tu nie może, gdyż w chwili wykonania sarkofagu już dawno nie żył († 1304).

Jest to zatem duchowieństwo świeckie, a liczba 5 postaci, tak znacząco tu podkreślona, nasuwa uzasadnione przypuszczenie, że to jest pięciu kanoników kolegiaty św. Krzyża w Wrocławiu. Z tego względu nie mogą to być kanonicy katedralni, gdyż ich liczba była w rzeczywistości znacznie większa i samych prałatów przy katedrze było 7, jak: proboszcz, dziekan, archidjakon, kantor, kustosz, scholastyk i kanclerz<sup>46</sup>). Natomiast przy kościele św. Krzyża było w myśl aktu fundacyjnego Henryka IV z 1288 r. właśnie tylko 5 kanoników: proboszcz, dziekan, ar-

<sup>46</sup>) Härtel, Die Prälaten des Bresl. Domstiftes. Zeitschr. d. Ver. f. Gesch. Schl. XXIV, 1900, 280.



chidjakon, kustosz i kanclerz i ci właśnie są wyobrażeni na sarkofagu w 5 arkadach. Kto wie, czy to nie ich staraniem, a inicjatywą biskupa, nie powstał ten sarkofag, jako pomnik ich fundatora i dobroczyńcy.

c) Ostatnia strona cokołu, od strony głowy zmarłego, posiada tylko jedną arkadę i mieści tylko 2 figury. Są to widocznie młodzi klerycy z dużymi świecami w ręku, stanowiący koniec orszaku pogrzebowego. Nie ma powodu, aby im nadawać specjalne znaczenie.

d) Pozatem stoi na każdym rogu sarkofagu jeden anioł ze złożonymi i opuszczonymi na znak żałoby skrzydłami. Dwaj aniołowie stojący po bokach grupy książęcej mają szaty białozielone, dwaj inni stojący wśród orszaku duchowieństwa, mają szaty czysto białe. Wszyscy mają również późniejsze doprawione przy restauracji głowy i odstające części skrzydeł.

Aniołowie ci zdają się podtrzymywać wierzchnią płytę z figurą ks. Henryka IV i najwidoczniej nawiązują do słów modlitwy pogrzebowej, śpiewanej przez duchowieństwo: „Przybieżcie aniołowie Pańscy, weźcie duszę jego i złożcie ją przed obliczem Najwyższego. Chór aniołów niechaj ją przyjmie i umieści na łonie Abrahama. (Occurrite angeli Domini, suscipientes animam eius, offerentes eam in conspectu Altissimi. Chorus angelorum eam suscipiat et in sinu Abrahami eam collocet.)

## V.

Nad wartością i zaletami artystycznymi sarkofagu Henryka IV zastanawiało się już wielu autorów i wszyscy przyszli do przekonania, że mamy tu pierwszorzędną zabytek sztuki, znaczeniem swym wychodzący daleko poza granice Śląska. Wartość jego podnosi ten przełom stylowy między romańszczyzną a gotykami, który tu jest widoczny, wpływy górnosaskie i francuskie, które tu się ściągają i przeważna rola tego sarkofagu jako dzieła sztuki, między innymi tego rodzaju zabytkami nie tylko na Śląsku, ale i w innych prowincjach Polski.

Już dawno zwrócono uwagę na fakt, że sarkofag omawiany, to ostatni ślad stylu romańskiego na Śląsku<sup>47)</sup>. Widzimy to nie tylko w półkolistych arkadach ścian bocznych, ale i w tych łagodnych fałdach tuniki i płaszcza księcia Henryka i osób orszaku pogrzebowego, wreszcie w owym zagadkowym uśmiechu twarzy zmarłego. Szczegóły te zmieszane są jednak z cechami tak wybitnie gotyckimi, jak maswerki w arkadach, tarcze i herby, litery i profile. Pod względem stylu znacznie starszym był grobowiec Piotra Własta i jego żony, znany niestety tylko z rysunków<sup>48)</sup>, a będący fundacją opata Wilhelma z klasztoru św. Wincentego w Wrocławiu ca 1280 r. Wprawdzie i tu znaleźć można już pewne gotyckie szczegóły, ale przecież przeważa romańszczyzna i jej formy.

Sarkofag Piotra Własta (o ile go znamy z rysunków), jest nie tylko poprzednikiem romańskim sarkofagu Henryka IV, ale ma jeszcze i to z nim wspólne, że stoi pod silnym wpływem rzeźb katedry naumburskiej, a zwłaszcza główne figury Piotra i Marii wydają się być prawie że skopiowane z figur Ekkeharda i Uty miśnieńskich w wymienionej katedrze. Na sarkofagu Henryka IV wpływu tego w tym stopniu już nie widać, ale mimo to nie można zaprzeczyć, że co najmniej główna figura zmarłego pewne wpływy naumburskie wykazuje. Podkreślają to dawniejsze badania Lutscha i ostatnie Götza, Gündela i Burgemeistera<sup>49)</sup>. Wymienieni badacze posuwają się nawet do twierdzenia, że cały nasz sarkofag jest dziełem rzeźbiarzy górnosaskich, silnie z Naumburgiem związanych, może nawet tych samych, którzy kuli grobowiec Piotra Własta.

<sup>47)</sup> Weingärtner, Charakteristik der schles. Architekturen. Zeitschrift d. Vereines f. Gesch. Altert. Schlesiens III, 1860, p. 4.

<sup>48)</sup> Rysunki te publikuje Gündel l. c. tabl. I—IV.

<sup>49)</sup> Lutsch, Bilderwerk schles. Kunstdenkmäler. Berlin 1903, p. 328. — Götz, Breslauer Kirchen. Breslau 1926, p. 23. — Gündel, Das schlesische Tumbengrab. Strasburg 1926, p. 39. — Burgemeister, Die Kunstdenkmäler der Stadt Breslau, 1930, p. 190.



Pogląd ten byłby może silniej uzasadniony, gdyby sarkofag Henryka rzeczywiście jeszcze z XIII wieku pochodził, jak to wszyscy wymienieni badacze przypuszczają. Byłby wtedy bliższy sarkofagu Piotra Własta, na którym ten wpływ rzeźby naumburskiej jest tak widoczny. W rzeczywistości jednak rzecz ma się nieco inaczej. Między powstaniem grobowca Piotra Własta, a powstaniem sarkofagu Henryka IV, istnieje przestrzeń czasu co najmniej lat 30, a to jest powodem, że artystów pracujących nad jednym grobowcem nie da się utożsamiać z tymi, którzy kuli grobowiec drugi.

Wprost odmienne zdania wygłasza Pinder, zaprzeczając zupełnie wpływom sztuki saskiej, a twierdząc, że tu tylko wpływy francuskie są miarodajne<sup>50</sup>). Naszym zdaniem i on nie ma słuszności z powodu, że grobowiec Henryka IV, a zwłaszcza jego wierzchnia płyta z postacią tego księcia, skomponowana jest nie na sposób francuski, lecz niemiecki. We Francji książę leżałby jak zmarły ze złożonemi do modlitwy rękoma, z dwoma aniołami przy głowie i bez szczegółów heraldycznych, lub z jedną tylko tarczą przy sobie. Tymczasem sarkofag Henryka IV jest inny: wyobraża właściwie stojącego księcia, z otwartemi oczami i uśmiechem, wśród herbów i w zbroi, z tarczą i mieczem. Jest to oczywiście nie francuski, lecz typowo niemiecki sposób przedstawiania zmarłych na grobowcach i sarkofagach, taki, jaki na przełomie XIII i XIV wieku ustalił się w zachodnich i południowych Niemczech. Dawniejsze XIII-wieczne figury grobowe były zwykle ciężkie i sztywne, ubrane w długie po kostki spadające szaty. Przykładem ich w Polsce jest nieistniejący już, a wyżej omówiony grobowiec Piotra Własta, pomniki nieznanymi rycerzy w tumie łączącym i kościele wiślickim, bardzo już źle zachowane, wreszcie nieistniejące już dzisiaj posągi Templariuszów w Opatowie<sup>51</sup>). W Niemczech przykładów

<sup>50</sup>) Pinder, Die deutsche Plastik, Potsdam 1929, p. 108.

<sup>51</sup>) Gumowski, Najstarsze bazyliki romańskie w Polsce. Kraków 1927, Przegląd powsz., p. 281 i 287.

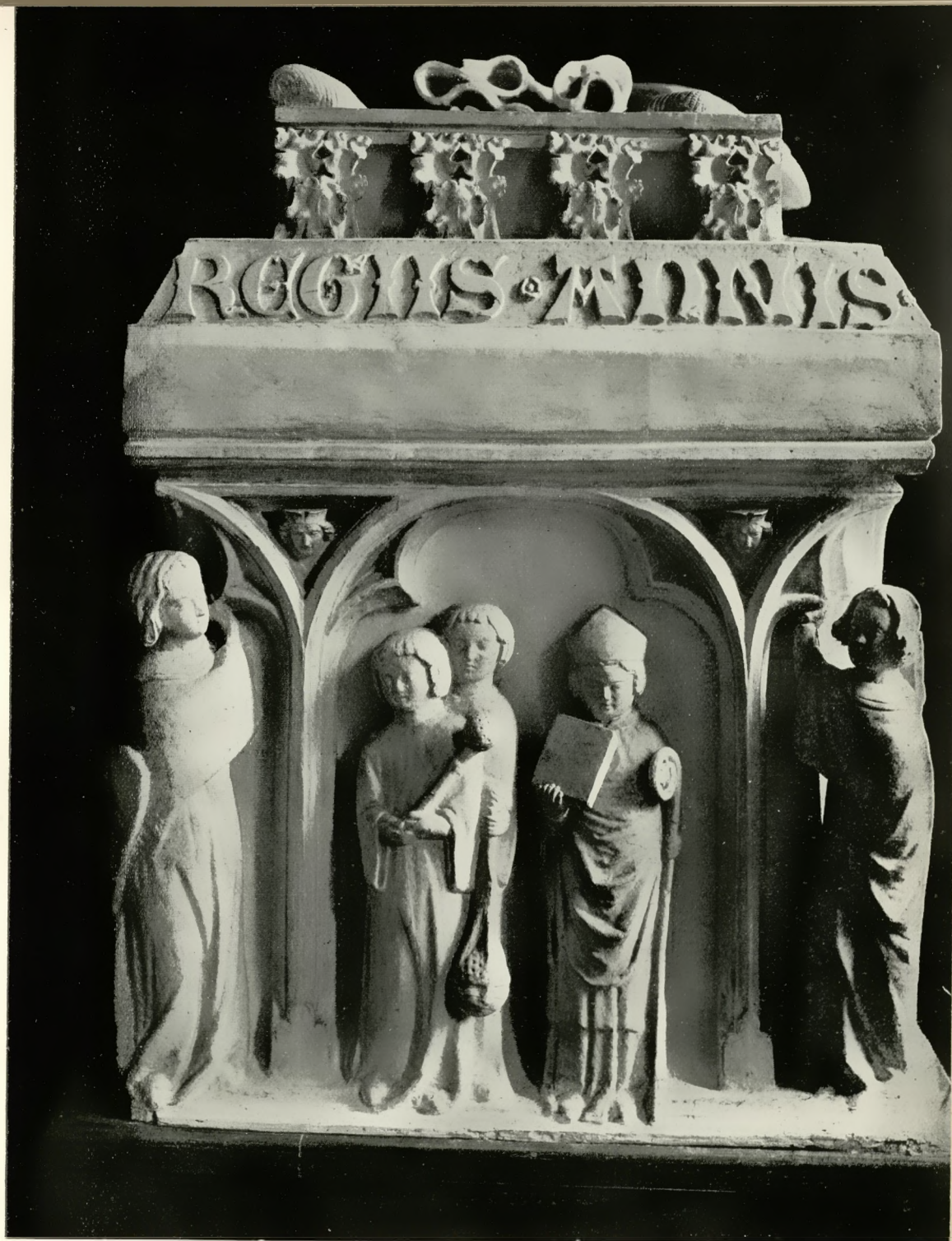
takich jest więcej: do klasycznych należą posągi omawiane wyżej z Naumburga, a wśród grobowców sarkofag Ulrycha württembergiego († 1265) i Agnieszki lignickiej w Stuttgardzie.

Moda powyższa zmieniła się w XIV wieku i kazała ubierać rycerzy w zbroję i krótką tunikę rozciętą u dołu, z odsłoniętą po kolana nogą. Z początku korpus cały mocno spoczywał na nogach, później dawano mu ruch nieco swobodniejszy. Do pierwszych należy właśnie omawiany tu grobowiec Henryka IV, który jak się zdaje, jest najwcześniejszym dla Polski i Niemiec przykładem nowego prądu w sztuce i rozpoczyna cały szereg podobnych nagrobków i sarkofagów<sup>52</sup>). Takiemi są w Niemczech: sarkofag Ottona III v. Ravensberg i Adelajdy von der Lippe w Bielefeld, sarkofagi hrabiów von Katzenelnbogen i von Kappenberg w Mosburgu, sarkofagi landgrafów turyńskich Jana i Ottona († 1311 i † 1328) w Marburgu etc.

Mimo to nie ulega wątpliwości, że przeważny wpływ na kompozycję naszego sarkofagu wywarła ówczesna rzeźba francuska. Wpływ ten widzimy nie tyle na głównej figurze zmarłego, ile na ścianach bocznych sarkofagu. We Francji już od początku XII wieku wznoszono książętom sarkofagi, a zwłaszcza burgunckie klasztory Cystersów mają ich wiele z różnych epok. Tumby te z początku skromne i proste ożywają się z biegiem czasu różnemi szczegółami i dodatkami, z których najważniejsze, to wypełnienie ścian sarkofagu i pustych pierwotnie arkad szeregiem postaci. Tworzą one albo orszak pogrzebowy, albo płaczącą najbliższą rodzinę zmarłego.

Rodzina taka w postaci małych figurek umieszczonych pod arkadami na 4 ścianach bocznych grobowca występuje już od początku XIII wieku we Francji np. na grobowcu Thibaut III hrabiego Szampanji († 1201) w St. Etienne de Troyes, albo później na sarkofagu Marji de Bourbon († 1274) w St. Yved

<sup>52</sup>) Weigert, Die Stilstufen der deutschen Plastik. Marburger Jahrbuch 1927, III, p. 201 n.

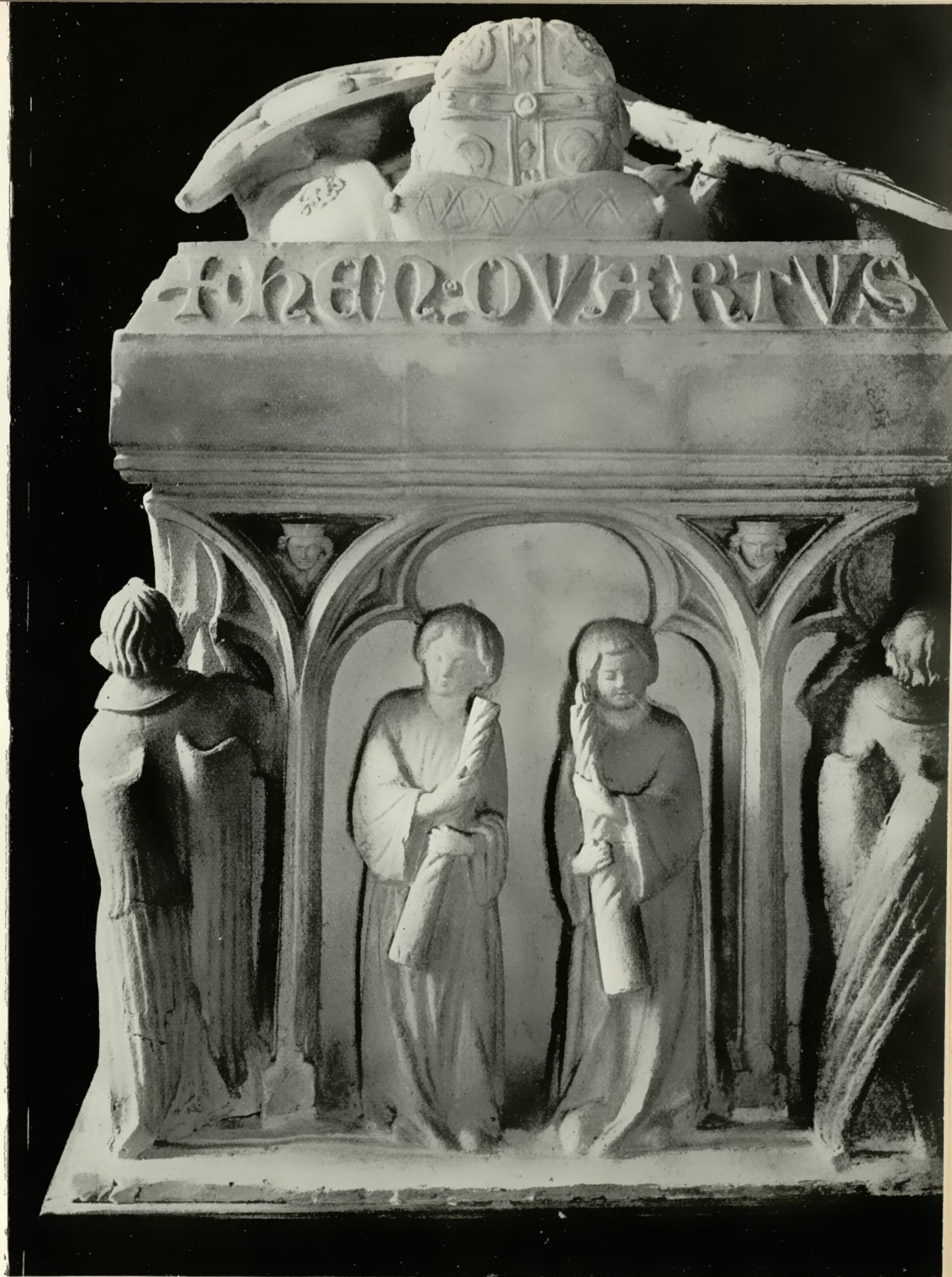


Sarkofag Henryka IV. Ściana od strony nóg.









Sarkofag Henryka IV. Ściana od strony głowy.







Sarkofag Henryka IV. Ściana od strony tarczy.





d. Braisne<sup>53</sup>). Tak samo wcześniej występuje we Francji motyw duchowieństwa idącego w orszaku pogrzebowym. Widzimy je na sarkofagu Filipa, brata Ludwika św. w St. Denis i Ludwika, syna tegoż króla († 1240). Oba pierwotnie stały w opactwie Royaumont<sup>54</sup>). Z początkiem XIV wieku motyw ten był już zupełnie wykształcony i powszechnie używany i zaczął przechodzić już w nową formę, motywu płaczących i zakapturnożonych postaci (pleureus), jakie widzimy na sarkofagach w St. Andoche d'Autun (1316) i w Bouport w Normandji (1317), oraz gdzieindziej.

Wpływ tej francuskiej rzeźby sarkofagowej znalazł najlepszy może wyraz w pomniku wrocławskim Henryka IV. Widoczny zaś jest nietylko w samej figurze zmarłego księcia, ile w bocznych ścianach cokołu. Sama figura zmarłego ma charakter więcej niemiecki, jak to już poprzednio zaznaczyliśmy. Co tutaj przypomina specjalnie francuską rzeźbę, to 2 aniołki ze świecznikami, wymalowane na mitrze książęcej, które na grobowcach francuskich klęczą osobno po obu stronach głowy.

Jeszcze bardziej francuskimi są ściany sarkofagu. A zatem w myśl zwyczajów francuskich 4 anioły podtrzymują wierzchnią płytę z figurą księcia. Specjalnie francuskim jest nadto motyw orszaku rodziny zmarłego i motywu celebrującego pogrzeb duchowieństwa, pod arkadami rozmieszczony. Procesję tę włączył artysta na sposób francuski w ścisły rytm architektoniczny i rozdzielił na 2 orszaki, świecki i duchowny. Figury upozował wprawdzie rozmaicie, ale przeważnie nadał im zwrot w kierunku wielkiego ołtarza, czyli biskupa idącego na czele pogrzebu. Podkreślić należy, że te motywy francuskie zastosowano we Wrocławiu po raz pierwszy.

Niektórzy z badaczy chcą tu widzieć francuski również motyw płaczków (pleureus), który dopiero w XIV wieku w rzeźbie

francuskiej się rozwinął. Specjalnie ci opierają na tem swoje wywody<sup>55</sup>), którzy nie wszystkie osoby z orszaku świeckiego potrafili zdefiniować i z konieczności byli zmuszeni nazwać je płaczkami pogrzebowymi. Wykazaliśmy jednak wyżej, że to zapatrywanie jest mylne, że wszystkie osoby orszaku świeckiego dadzą się zdefiniować i zaliczają się do rodziny książęcej i że zawodowych płaczków niema tutaj zupełnie. Jest tylko rodzina zmarłego i duchowieństwo, a więc postacie zjawiające się na grobowcach francuskich już w XIII wieku. Płaczkowie występują na grobowcach francuskich dopiero w XIV wieku np. na sarkofagu Roberta d'Artois († 1317) w opactwie St. Denis. Powoływanie się jednak na ten sarkofag jak to czyni Gündel i inni, nie ma zupełnie podstawy z powodu, że grobowiec Henryka IV jest i wcześniejszy i płaczków nie posiada zupełnie<sup>56</sup>).

Jest rzeczą interesującą, że te same wzory francuskie, które tak silnym wpływem zaznaczyły się w Wrocławiu, podziały jeszcze dobitniej na stolicę landgrafów turyńskich, Marburg, miejscowość, która nie jedną nicią związana jest ze stolicą Piastów śląskich. Oto w kościele św. Elżbiety w Marburgu znajdujemy trzy sarkofagi: Jana († 1311), Henryka († 1308) i Ottona († 1328), landgrafów turyńskich, bardzo zbliżone do sarkofagu wrocławskiego. Najwcześniejszy z nich to grobowiec Henryka turyńskiego, tego samego, którego żoną była Jadwiga księżniczka śląska, rodzona siostra Henryka IV Probusa, 2-voto żona Ottona anhaltskiego<sup>57</sup>). Grobowiec ten jest jednak późniejszy od wrocławskiego, gdyż powstać mógł dopiero ca 1326 r., jak na to liczba i osoby orszaku pogrzebowego wskazują<sup>58</sup>). Główna jego postać skomponowana jest zupełnie na wzór

<sup>55</sup>) C. Gündel l. c.

<sup>56</sup>) Gündel l. c. 37 — Pinder, Die deutsche Plastik. Potsdam 1929, p. 108.

<sup>57</sup>) Według Grotefenda „Stammtafeln“ tenże landgraf Henryk turyński umarł 1283, a nie 1308, jak chce Pinder, Weigert i inni.

<sup>58</sup>) Weigert w Marburger Jahrbuch, 1927, III, p. 201.

<sup>53</sup>) Eug. Male, L'art religieux de la fin du moyen age en France. Paris 1908, p. 447.

<sup>54</sup>) Publikuje je Gündel l. c. 47 na podstawie zbioru rysunków Gaigniera.

francuski, z rękami na piersiach, baldachimem gotyckim nad głową i 2 aniołkami przy niej. Natomiast cokoł jest zupełnie podobny do wrocławskiego, ma bowiem pod arkadami tak samo całą rodzinę książęcą również o wyglądzie dzieci, z lekko falistemi ciałami i miękką liryką.

Zauważyć należy ponadto, że sam kościół św. Elżbiety w Marburgu, gdzie stoi omówiony wyżej grobowiec landgraфа, wykazuje w swej architekturze tak wiele analogii do kościoła św. Krzyża w Wrocławiu, że słusznie jeden za wzór drugiego uważać można. Jest on najwcześniejszym kościołem gotyckim w Niemczech, podobnie, jak kościół św. Krzyża jest najwcześniejszym okazem tego stylu w Polsce. Kościół marburski okazuje styl francuskiej szkoły architektonicznej z Soissons i ukończony został w r. 1283, a zatem na 5 lat przed rozpoczęciem budowy kościoła św. Krzyża w Wrocławiu. Najciekawsze, że wielki ołtarz w kościele marburskim, cały rzeźbiony i figurami zapełniony, ma te figury o takim samym wyglądzie dzieci i podobnie falistych liniach, jak je widzimy w orszakach pogrzebowych omawianych sarkofagów zarówno w Wrocławiu, jak w Marburgu. Zwłaszcza postacie duchownych na tumbie wrocławskiej są jakby powtórzone z ołtarza marburskiego<sup>59)</sup>.

Powyższe analogie mogą być dostatecznym dowodem, że za pośrednictwem księżnej Jadwigi śląskiej, siostry Henryka IV, nawiązały się jakieś nieznanne nam bliżej stosunki kulturalne między Marburgiem a Wrocławiem, które doprowadziły naprzód do zbudowania w Wrocławiu kościoła św. Krzyża na wzór marburski, później do wykonania sarkofagu Henryka IV przez tych samych może rzeźbiarzy, którzy pracowali nad wielkim ołtarzem w Marburgu, wreszcie sarkofagu landgraфа na wzór wrocławski. Można dalej przypuszczać, że ta sama wędrowna grupa lapidarów, która przenosiła się z Marburga do Wrocławia i z powrotem, a która

tak bardzo francuskim wzorom hołdowała, pochodziła prawdopodobnie sama z Brabancji. Tam bowiem w Lowanium znajdujemy grobowiec Henryka III, księcia brabanckiego († 1261), zupełnie podobny do sarkofagu marburskiego<sup>60)</sup>. Zobaczymy następnie, że ta sama grupa artystów-rzeźbiarzy sięgnęła swoją działalnością jeszcze dalej, bo do Krakowa i zostawiła swe ślady tak w budowie katedry, jak i sarkofagów na Wawelu.

Że tu chodzi nie o jednego, lecz o całą grupę artystów-rzeźbiarzy, dowodzi bliższa analiza choćby tylko samego sarkofagu Henryka IV. Badając bliżej techniczną jego stronę, dochodzimy do przekonania, że wybudowało go co najmniej 3 rozmaitych artystów: kto inny robił wierzchnią część pomnika z postacią zmarłego, kto inny ścianę cokołu z rodziną książęcą, a znowu kto inny ścianę z duchowieństwem.

Postać zmarłego jest w przeciwieństwie do innych figur niezmiernie spokojna, ma twarz szablonowo uśmiechniętą, szaty w fałdach starannie ułożonych, relief mocno wypukły i plastyczny. Natomiast figury orszaku książęcego wykazują dużą oryginalność w wyrazie twarzy, swobodę draperji i mniejszą plastykę reliefu. Każda z tych osób inaczej stoi, inaczej wyraża swą boleść i żal za zmarłym, inaczej ma ręce złożone. Niema na nich śladu tych hieratycznych linii, jakimi przepelniona jest główna figura pomnika.

Znowu inaczej i inną ręką modelowane są figury duchowieństwa. Są smuklejsze i dłuższe, aniżeli figury świeckie, są plastyczniej wykuwane i bardziej od tła odchodzą niż tamte. Niestety głowy ich są nowsze, gdyż pierwotne odrąbano w XVII wieku i pozbawiono nas przez to jednego więcej przedmiotu porównania. Pozostała reszta korpusu jest przecie dostateczna do stwierdzenia, że jej twórca musiał być kim innym, niż autorzy innych części sarkofagu. Figury na ścianach wązkich, biskup i klerycy, jakoteż figury aniołów, zdają się pochodzić z tej samej ręki, co i rodzina książęcą, choć np.

<sup>59)</sup> Weigert l. c. 202 i 228 — Dehio, Geschichte d. deuts. Kunst. Berlin 1923, I, p. 293.

<sup>60)</sup> Weigert l. c. 202.



co do aniołów nie jest wykluczone, że jest to ręka czwartego z rzędu mistrza<sup>61</sup>).

## VI.

Sarkofag Henryka IV ustawiony jak z powyższego widać, ca r. 1315 w kościele św. Krzyża w Wrocławiu, był dziełem sztuki tak niepowszedniem, a jego pojawienie się zdarzeniem tak doniosłem, że musiało zaważyć bardzo silnie na dziejach sztuki w Polsce, a w szczególności na Śląsku. Że nie przeszło bez echa, tego dowodem fakt, że w krótkim czasie zaczęto wznosić na Śląsku i innym księztwom tego rodzaju pomniki i cały szereg kościołów i fundacyj klasztornych zaczął jakby ubiegać się o posiadanie takich sarkofagów dla swoich fundatorów. Przyjmujemy, że inicjatywa w tym kierunku wychodziła od duchowieństwa, podobnie jak budowę grobowca Henryka IV zainicjował niewątpliwie biskup Henryk z Wierzbna, choć nie jest wykluczone, że i sami książęta tu byli czynni. Powstałe wskutek tej akcji grobowce XIV wieku są też w większym lub mniejszym stopniu wzorowane na pomniku Henryka IV, ale co z góry powiedzieć należy, żaden z nich nie dorównuje mu bogactwem rzeźby, treścią historyczną i znaczeniem artystycznym.

Do najwcześniejszych, na Henrykowskim wzorowanych sarkofagów, należą naszym zdaniem grobowce Konrada I głogowskiego († 1273) w Głogowie i Bolka I świdnickiego († 1301) w Krzesoborze (Grüssau). Grobowiec Konrada nie dochował się niestety do naszych czasów, zniszczony w r. 1831 wskutek zawalenia się wieży kościelnej. Podobnie jak sarkofag Henryka IV, stał i on w środku prezbiterjum kościoła parafjalnego w Głogowie, którego właśnie Konrad był fundatorem, później zaś, gdy cokolwiek został usunięty i zniszczony, tylko jako wierzchnia płyta stała oparta o jeden filar kościoła. Znany go tylko z opisów, ale te mówią, że był zupełnie podobny do grobowca Henryka IV. Ks. Konrad miał tu być tak samo wyobrażony

z mieczem i tarczą w rękę, z płaszczem na ramionach i z mitrą na głowie. Niektórzy przypuszczają, że ponieważ śmierć Konrada nastąpiła wcześniej niż Henryka, przeto i jego grobowiec musi być wcześniejszy, już w XIII wieku wykonany i dlatego nie jest wzorowany na grobowcu Henrykowskim, ale raczej jest jego poprzednikiem. Wobec braku przedmiotu sporu, trudno dzisiaj zdanie to udowodnić, lub mu zaprzeczać. Mam wrażenie jednak, że jest mylne, już choćby z tego powodu, że wszelkie nowe prądy kulturalne i artystyczne, jeżeli gdzie, to przedewszystkiem w stolicy kraju zjawiać się zwykły, a więc naprzód byłoby to raczej w Wrocławiu, niż w Głogowie. Tak jak nadejście gotyckiej architektury zadokumentowało się naprzód w Wrocławiu w kościele św. Krzyża, tak i nowy wyraz sztuki rzeźbiarskiej również naprzód w Wrocławiu się uwidocznił. Z tego powodu nie mogę sarkofagu głogowskiego, acz już dziś nieistniejącego, zaliczać do zabytków XIII wieku, jak chcą niektórzy, musi on być moim zdaniem późniejszy od 1315 roku<sup>62</sup>).

Z pierwotnego grobowca Bolka I świdnickiego († 1301) w Krzesoborze, zachowała się jedynie wierzchnia płyta z leżącą postacią księcia. Tumba pierwotna zniszczała, tumba dzisiejsza z czarnego marmuru pochodzi z XVIII wieku. Jak wyglądała pierwotna, nie wiadomo. Grobowiec stał podobnie jak Henryka na środku chóru kościoła klasztornego, gdyż i Bolko I był fundatorem klasztoru Cystersów Krzesoborskich. Na zachowanej płycie wyobrażony jest książę podobnie jak Henryk IV z mieczem i tarczą w rękę, w tunice ozdobionej orłami haftowanymi i z płaszczem na ramionach, nie ma tylko mitry na głowie, stoi nie na konsoli, lecz na lwie i ma nad tarczą duży hełm z podwójnym, specjalnie świdnickim pióropuszem, którego i na monetach jego się spotyka. Pod względem artystycznym góruje nad innymi pomnikami, ma mniej szablonu, a więcej swobody w ry-

<sup>61</sup>) Gündel l. c. 45 rozumuje podobnie, ale w niespodziewany sposób dochodzi do wniosku, że tylko z mistrzów nad tym pomnikiem pracowało.

<sup>62</sup>) Knötel w Schles. Vorzeit, IV, 1888, p. 283. — Minsberg, Geschichte der Stadt u. Festung Glogau. 1856. — Gündel, Das schles. Tumbengrab, l. c. 27.

sunku i traktowaniu fałdów i włosów, przede wszystkim zaś pierwszy z pomników daje rysy twarzy zbliżone do natury i charakterystyczne, a nie tak szablonowe, jak u Henryka IV. Wobec tych danych żałować tylko należy, że jego tumba nie doszła do naszych czasów. Musiał on powstać bardzo niedługo po sarkofagu Henrykowym, może między 1320 a 1330 rokiem<sup>63</sup>).

Następnym z kolei wydaje mi się być pomnik Henryka VI († 1335), ostatniego księcia wrocławskiego, w kościele św. Klary w Wrocławiu. I tu tumba pierwotna zniszczona została już dawno, bo w 1699 roku, i tu zachowała się tylko płyta wierzchnia z samą figurą księcia. Jest to figura prawie że skopjowana z sarkofagu Henryka IV, tylko daleko słabsza pod względem artystycznym. I tu książę trzyma miecz i tarczę w rękę, ubrany tak samo w zbroję i tunikę, płaszcz i mitrę i tak samo na konsoli nogi opiera. Tylko brak dwóch tarcz przy głowie, a zbroja jego to już nie kolczuga XIII wieku, lecz pancerz gotycki XIV wieku. Pomnik ten wykonano prawdopodobnie niedługo po śmierci Henryka VI w roku 1335<sup>64</sup>).

Jeszcze później musiał powstać sarkofag Henryka II Pobożnego, mimo że ten zginął jak wiadomo w bitwie z Tatarami pod Lignicą 1241 r. Widzimy go w kościele św. Wincentego w Wrocławiu, ale znowu tylko wierzchnią płytę z figurą księcia, a bez tumb. Pierwotnie i ten sarkofag stał w środku chóru kościelnego, tak jak Henryka IV, ale różnice między nimi są już znaczne. Ubrany bowiem jest już anachronicznie, w zbroję stalową z połowy XIV w., a więc o 100 lat późniejszą niż byłoby właściwe, ma hełm pod głową, dzidę w rękę i Tatara pod nogami, tak że podobieństwo do pomnika Henryka IV jest tylko ogólne. Powstał w połowie XIV wieku<sup>65</sup>).

Bardziej podobny jest pomnik Bolesława III lignickiego († 1352) w kaplicy książęcej w Lubiążu. Książę ten był fundatorem wymienionej kaplicy przy kościele klasztorным, dlatego jego grobowiec stoi na jej środku, ale znowu na nowszej tumbie tak, że z dawnego pomnika tylko wierzchnia płyta jest pierwotna. Spoczywa na niej figura księcia wyobrażonego podobnie jak Henryk IV z mitrą na głowie, poduszką pod głową, z tarczą u boku i dwiema innymi tarczami przy głowie. Różnica polega na tem, że zamiast miecza, trzyma w rękę model swojej kaplicy i zamiast konsoli ma lwa pod nogami. Grobowiec ten powstał niedługo po śmierci księcia, t. j. po 1352 roku<sup>66</sup>).

Na innych grobowcach Piastów śląskich to podobieństwo do sarkofagu Henryka IV jest już bardziej ogólnikowej natury i oczywiście z biegiem lat i rozwojem sztuki rzeźbiarskiej zaciera się coraz więcej. Stosunkowo dużo analogji ma jeszcze pomnik Henryka, ks. zegańskiego († 1342) w kościele parafjalnym w Żeganiu (Sagan). I tu strój podobny, miecz i tarcza w rękę, ale już głowa odkryta i lew pod nogami. Tumba znowu zniszczona w wiekach poprzednich<sup>67</sup>). Pewne podobieństwo wykazuje też grobowiec podwójny Bolka II, ks. ziemickiego († 1341) i jego żony Jutty († 1342), który stał pierwotnie w głównej nawie kościoła w Henrykowie, a dziś stoi tam w osobnej kaplicy, ale znowu bez tumb. Figura księcia i tu wzorowana jest na Henryku IV, tylko zamiast miecza ma sztylet w ręce, głowę ma odkrytą, hełm z boku, a lwa pod nogami<sup>68</sup>).

Pomniki śląskie z 2 połowy XIV wieku już tylko ogólnym typem swoim przypominają, że i dla nich wzorem był ów sarkofag Henryka IV. Takiemi są pomniki Bolka opolskiego i Bolka niemodlińskiego (Falkenberg) († 1356) w kościele w Opolu, lub pomnik Wacława, ks. lignickiego († 1364) w koście-

<sup>63</sup>) Luchs, Schles. Fürstenbilder, tabl. 28. — Stronczyński, Pomniki Piastów, p. 220. — Gündel, l. c., p. 49.

<sup>64</sup>) Luchs l. c. tabl. 11. — Stronczyński l. c. 239.

<sup>65</sup>) Luchs l. c. 9. — Stronczyński l. c. 176.

<sup>66</sup>) Luchs l. c. tabl. 16. — Stronczyński l. c. 244.

<sup>67</sup>) Luchs l. c. tabl. 26 a. — Stronczyński l. c. 266.

<sup>68</sup>) Stronczyński l. c. 254.



le św. Jana w Lignicy, albo grobowiec Bolka III świdnickiego († 1368) w kościele krzesoborskim<sup>69</sup>). Są to już rycerze zakuci w stalową zbroję, bez tuniki haftowanej, ale zawsze z tarczą herbową w rękę, mitrą na głowie i lwem pod nogami. Wartość ich artystyczna jest już daleko mniejsza, niemniej znać w ich ogólnej kompozycji zależność od pierwowzoru wrocławskiego. Jeden z nich tylko ma pierwotny cokół jeszcze częściowo zachowany, a to grobowiec Bolka III świdnickiego († 1368). Dochowały się mianowicie z niego figury i tarcze herbowe, umieszczone na pierwotnej, a dziś już nie istniejącej tumbie, choć inaczej już na nowej tumbie ustawione i nie w tym co dawniej porządku. Są to herby i figury dworzan książęcych, podtrzymujących jakoby sarkofag, lub niosących go do grobu. Bolko III był bowiem bezdzietny, żadnej bliższej rodziny nie posiadał i dlatego zamiast rodziny, dworzanie tu występują. A zatem myśl znowu ta sama co na pomniku Henryka IV, tylko aktorzy inni.

Jest rzeczą niezwykle interesującą śledzić, jak wpływ grobowca Henryka IV sięgał z Wrocławia coraz dalej, nie tylko do wszystkich miast śląskich, ale i poza granice tej prowincji. Najważniejsze, że sięgnął i do Krakowa. Tutaj niedługo po ustawieniu grobowca wrocławskiego zjawiał się pod jego widocznym wpływem wykonany sarkofag, mianowicie króla Władysława Łokietka († 1333) w katedrze na Wawelu. Naturalnie, że król jest tu nieco inaczej przedstawiony niż książę wrocławski i bardziej jest podobny strojem do grobowca Rudolfa z Habsburga († 1291). Ma na sobie nie zbroję, lecz strój koronacyjny, koronę, berło i jabłko królewskie. Natomiast wykonany jest tak samo jak wrocławski z kamienia wapiennego i ma na cokole tak samo pochod pogrzebowy z biskupem na czele jak Henryk IV. Tylko ten pochod jest tu złożony już nie z duchowieństwa i rodziny książęcej, ale z mężczyzn i niewiast wszystkich stanów, ustawionych po 2 osoby pod każdą arkadą. Jednakże arkady są tak samo

trójlistne i ten sam mają rysunek, figurki są tak samo krótkie i plastyczne i ruchami rąk dają tak samo wyraz swej boleści, jak na sarkofagu henrykowym<sup>70</sup>).

Grobowiec Łokietka powstał prawdopodobnie jeszcze za życia tego króla, chociaż już po koronacji 1320 r. Świadczy o tym twarz królewska na pomniku, portretowana widocznie z natury i brak napisu, który miał być dodany po śmierci<sup>71</sup>). Zbliża to jeszcze bardziej oba sarkofagi, wrocławski i krakowski do siebie, tem więcej, że tak tu, jak tam, są sarkofagi te ściśle związane z budową kościołów, w których stoją. Jeżeli rzeźbiarzy pomnika Henrykowego szukać należy między lepicydami kościoła św. Krzyża, to podobnie i w Krakowie autor czy autorowie sarkofagu Łokietka wyszli napewno z grona mistrzów, zatrudnionych przy budowie katedry na Wawelu. Gotycką katedrę krakowską zaczęto budować jak wiemy koło 1320 r. i co ciekawsze, według tych samych wzorów, co i kościół wrocławski św. Krzyża. W obu tych kościołach znajdują się sklepienia trójdzienne, takie, jakich nigdzie indziej się nie spotyka i w obu znajdujemy cały szereg innych analogicznych szczegółów architektury i rzeźby. Może to być wskazówką, że jedna i ta sama grupa wędrownych artystów, budowniczych i lapicydów, pracowała naprzód w Wrocławiu, potem w Krakowie, tak, że usprawiedliwioną może być hipoteza, że sarkofag Łokietka wyszedł z pod tych samych rąk, co i sarkofag Henryka IV. Zauważyć tylko należy, że grobowiec Łokietka nie ma już tak jak tamten tyle charakteru niemieckiego, pomija zupełnie stronę heraldyczną i jeszcze więcej zbliżony jest do wzorów francuskich.

Obok niego mieliśmy jeszcze conajmniej 3 inne pomniki w Polsce, zostające też pod wpływem Henrykowego sarkofagu. Dwa z nich to pomniki Bolesława Chrobrego i Przemysława II, fundowane w połowie XIV wieku przez króla Kazimierza W-go dla ka-

<sup>70</sup>) Cercha i Kopera, Pomniki Krakowa, Kraków 1904, p. 74 i 3 tablice.

<sup>71</sup>) Wojciechowski, Kościół katedr., Kraków 1900, p. 68.

<sup>69</sup>) Stronczyński l. c. 281, 249 i 257.



tedry poznańskiej. Oba niestety zniszczone zostały w XVII wieku i to w ten sposób, że z grobowca Przemysława nie zostało ani śladu, a z grobowca Chrobrego drobne tylko fragmenty rzeźb tumb. Na ich podstawie i według dawniejszych opisów możemy zrekonstruować sobie ten grobowiec jako tumbę z figurą króla Bolesława na wierzchu i z cokołem o 6 arkadach z jednej i drugiej strony. Pod arkadami trójlistnymi jak w Wrocławiu stało 12 apostołów, na ścianach zaś wyższych wyrzeźbiono sceny Zwiastowania i Koronacji NPMarji. Podobieństwo zatem do sarkofagu Henrykowego jest tylko ogólne i polega na schemacie architektonicznym pomnika oraz wypełnieniu arkad figurami<sup>72)</sup>.

<sup>72)</sup> Gumowski, Sarkofag grobowy Bol. Chrobrego. Rocznik Muzeum Wielkopolskiego, 1924, p. 85.

To samo można powiedzieć i o trzecim, tj. wspaniałym grobowcu króla Kazimierza Wielkiego, istniejącym w katedrze na Wawelu. Analogie z pomnikiem wrocławskim są jeszcze mniejsze, ale za to tem silniej występują wpływy francuskie, tak w zastosowaniu baldachimu, jak i w ożywieniu arkad na cokole figurami zakapturzonych płaczków.

Sarkofagi wznoszono u nas i w późniejszych czasach, odbiegając jednak coraz bardziej od pierwotypu, jakim był sarkofag wrocławski Henryka IV. Znaczenie jednak tegoż pozostaje zawsze pierwszorzędne, a pojawienie się jego jest w dziejach sztuki jak widzieliśmy przełomowe. Mało jest u nas pomników, któreby tak wielką swego czasu odegrały rolę i któreby do dziś dnia tego znaczenia nie straciły, jak właśnie grobowiec Henryka IV.

Jan Szczepański.

## Buty.

*W kurzu gościńców  
na żel-betonowych posadzkach fabryk  
w skibach rozpartych ciepło od pługa  
wszędzie  
w retortach twórczych dni  
skrzywione, zrudziałe, podarte  
brodzą—cierpią  
buty! buty! buty —*

*Na brukach ulic starte podeszwy  
pośpiechem kroków zbite obcasy  
świat pokrywając odbiciem stóp  
wciąż naprzód idą z męką opuchłych nóg w sobie  
spękane pyski wasze piją przyszłość  
kiedy w poranek idziecie do pracy  
za wami przeszłość odrzucona w krokach.*

## Kilka uwag o rzeźbie ludowej.

*Na marginesie twórczości śląskiego rzeźbiarza Jana Kulisza.*

W dniu 14 maja 1935 odwiedził mnie (w Muzeum Śląskiem w Katowicach) właściciel Jan Kulisz z Boronowa w powiecie lublinieckim, od roku 1918 trudniący się rzeźbą w drzewie (ryc. 1)<sup>1)</sup>. Skorzystałem z okazji, żeby dowiedzieć się czegoś o pracy ludowego artysty, o jego doznaniach twórczych i aspiracjach artystycznych. Zagadnienie sztuki ludowej interesuje mię bowiem oddawna, łącznie z kwestją jej psychologicznego i socjologicznego podłoża. Toteż w trakcie rozmowy z snyczerem boronowskim próbowałem wydobyc zeń nieco zwierzeń, dotyczących wymienionych zagadnień. Wynurzenia swego rozmówcy starałem się notować wiernie, z zachowaniem ich gwarowego brzmienia; od razu jednak zaznaczyć muszę, że starał się on mówić poprawnie a pewną znajomość języka literackiego i cechującą go oglądę wyjaśniał w słowach: „*uojca miałem tak doskonałego, że musiałem patrzeć uczyć się nauki*“. Jak się okazało, Kulisz, dawniej gospodarz, zaczął rzeźbić późno, bo dopiero koło 45 roku życia i odtąd obok pracy na roli uprawiał w wolnych chwilach snycerkę. Pozwólmy jednak przemówić samemu artyście, tembardziej, że w rozmowie, jaką z nim prowadziłem, miał on głos główny.

W odpowiedzi na pytania w kwestii impulsów i początków jego sztuki, wyjaśniał, zacinając się nieco:

„*taką miałem ochotę, uojciec mie odumarł, potem jeden przybył od św. Anny*<sup>2)</sup>“

1) Ur. 23 maja 1873 r., był właścicielem gospodarstwa rolnego (około 20 morgów), które stracił koło r. 1903 na skutek rękienia.

2) Z Góry św. Anny, miejsca odpustowego w powiecie strzeleckim.

*i strugał pasyjki. Kiedy ty poradzisz, to ja też, i robiłem coraz to lepiej, coraz doskonalej, aż do tego przyszedłem. Widziałem jak on to robił, ale poturalnie, ja zaś dużo inaczej, coraz to lepszy, coraz to lepszy. Taka była dla mnie rozrywka; ksiądz Ignacy Boehm mówił, że gdybym szedł do św. Anny, albobym się uczył, to mógłbym być człowiekiem. ...Widziałem dużo na Jasnej Górze, u św. Anny i u Panny Marii, znam Kraków dostatecznie, widziałem Wita Stwosza i tak mnie jedno ku drugiemu zaocnościło.“*

Był też w krakowskim Muzeum Narodowym, w związku z czem zwierzał się: „*w muzeum tak mie ochota ujęła, żeby też tak... Pan Bóg dał taki umysł człowiekowi.*“

Skolei wypytyję rzeźbiarza o narzędzia pracy, na co odpowiada skwapliwie:

„*Robię scyzorykiem zacny panie; też mam dłuteczko, ale mi się utamało. Robię z dębu i innego drzewa, nazywa się smrodynia<sup>3)</sup>, to jest bardzo mocne drzewo. Najwięcej z lipy, bo jest miękka a nie szczypi się. Z innego drzewa to lubi się szczyścić. Laski robię przeważnie ze świrku samorostłego i z gałęzi dębowej.*“

Na pytanie, co najchętniej rzeźbi, tłumaczy:

„*Mnie jest wszystko jedno, robię popiersia Matki Boskiej; co się odnosi świętych Pańskich, to lubię bardzo. Kapliczki też mi nieraz powierzają, nadarzyło się pasyjkę wymalować niejakiemu Brysiowi. Maluję bez laków (lakieru), ja tylko gestawą farbą z pokostu; potrzebuję pokostu lepszego“... Widać, że zagadnienie techniki interesuje go żywo, bo tłumaczy coraz szybciej: „*lakiery są ładne w suchu,**

3) Czeremcha.

*ale jak przyjdzie raz słońce raz deszcz, to lakier dostanie przepuknięć, starzeje się i niszczy. Pokost doskonały, dobrze destylowany jest odporny przeciw deszczu i słońcu.*"

Skolei próbują wyjaśnić kwestję pierwowzorów i źródła stosowanych przez rzeźbiarza motywów, przyczem chodzi mi głównie o realistycznie traktowane zwierzęta i ptaki na rękojęściach wykonanych przez niego lasek (ryc. 2 i 3). W związku z tem wyjaśnia:

*„miałem jeden taki wzór z książki. z czytanki; miałem tam wiewiórkę, a zająca to się widzi mniej więcej jak on skoczy, to na lasce musi być wokoło<sup>4</sup>). To jak się widzi, tak się robi, żeby pasowało. Ja też zrobiłem (laskę) z gałęzią i innemi takimi. Tego dziencioła<sup>5</sup>) to też jak widzę. Lubię drzewa, to i pamiętam. Zrobiłem (laskę) i ze żmiją, potem sornik był wierzchem a spodkiem żmija się wita<sup>6</sup>). Patrzę, jak to drzewo wyrasta, na te liście. Nieraz mom taki humor, to rzeźbię; przeważnie ja mom ochotę do rzeźbienia wielką.*"

Jak zwykle bywa, i Kuliszowi los artysty daje się nieraz we znaki w związku z brakiem odpowiedniego podłoża kulturalnego i sprzyjających warunków ekonomicznych. Narzeka bowiem:

*„okolica biedna, a nie znają się na tem (na sztuce). Poważniejsi lubią mieć rzeźbione rzeczy, ale za bezcen.*"

Jeśli chodzi o jego doznania twórcze, udziela wyjaśnień skąpo:

*„myślę, Panie Boże dopomóż mi, żeby to na coś wyglądało, żeby było Bogu miło a ludziom pożyteczne. Ja jestem religijny, byłem gospodarzem, ale u mnie nie było kłatwy ani niczego, jak ja to słyszę.*"

<sup>4</sup>) T. j. i wiewiórka i zając czy inne zwierzę, biegnące wokoło laski dla celów dekoracyjnych.

<sup>5</sup>) Ptak ten na lasce, jaką przyniósł Kulisz ze sobą, przypominał raczej dudka.

<sup>6</sup>) Sornik = sarniuk.

Próbowałem też zbadać poglądy artystyczne ludowego rzeźbiarza, a zwłaszcza jego stosunek, z jednej strony do właściwej ludowi prymitywnej deformacji, z drugiej do poprawnej rzeźby naturalistycznej. Wynurzenia Kulisza na temat podsuniętych mu przeze mnie rzeźb bekskidzkiego świątkarza Wowry (z Gorzenia w powiecie wadowickim) oraz innych śląskich i małopolskich zabytków snycerstwa, dały wcale pouczające wyniki. Jedną z rzeźb Wowry, przedstawiającą Chrystusa Frasobliwego krytykował on w ten sposób:

*„Ta twarz jest za długa, a ten tułów jest za mały. Jak uon nie uczony, to tam jeszcze. Wizerunek Pana Jezusa zwyczajnie nie jest miarodajny.*"

Na rzeźby ludowe, pochodzące z powiatu świętochłowskiego wydał taki wyrok:

*„Ta św. Barbara to jest podło, ja potrafię doskonalej... powinna inaczej wyglądać", poczem dodał: „jak mi się źle zrobiło tom spalił. Jak była (święta) przyjemniejsza z twarzy, to co innego. Mam Serce N. Marji Panny i Królowę Nieba niedoskonałą, ale doskonalszą od tej." — O innych świątkach mówił pobieżliwiej: „ten Jezus ujdzie, ale najprzyjemniejszy jest ten", składając tem dowód, że rozporządza dość rozległą skalą wartościowania. — Jedną z figur Chrystusa gani zato ostro: „Z tej twarzy tłusty jest, niema przygany (w stosunku do rzeźbiarza), bo to wizerunek Pana Jezusa, ale nie jest jak należy; jaki był rozum, taka robota". O innej znowu wyraża się, że „ta to małowiele doskonała; ten wdzięk powinienby być jeszcze doskonalszy. Jak Wit Stwosz w Krakowie wykonał, to jest ładna robota". Jak widzimy, wymagania nienajmniejsze!*

Podobał mu się natomiast św. Jan z Miedoni w powiecie raciborskim, figura wybitnie realistyczna, o słabym już związku z normalnie pojmowaną ludowością,





**1. Jan Kulisz z Boronowa.**

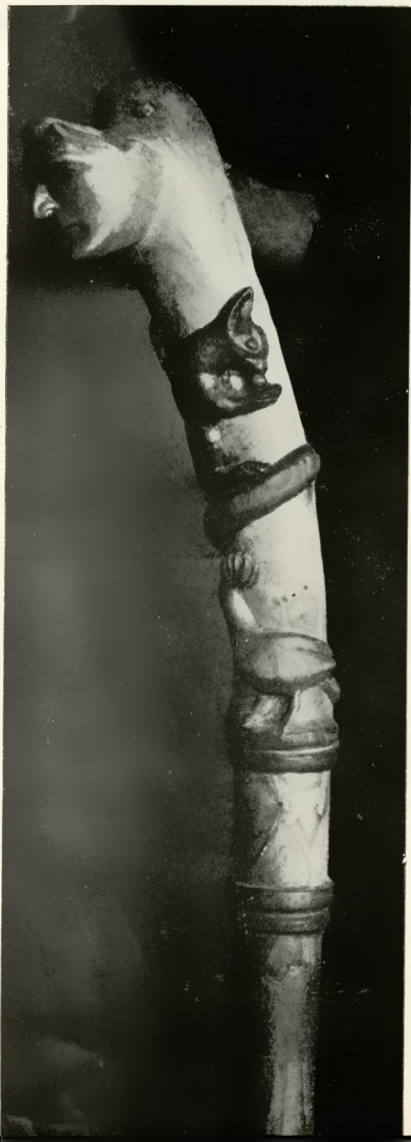


**Laska, rzeźbiona przez J. Kulisza.**  
Fot. Muzeum Śląskie.



2

3







czemu dał wyraz w słowach: „*ten jest najładniejszy*“.

Kiedy na skutek tej ostrej krytyki świątków zwróciłem rzeźbiarzowi uwagę w obronie potępionych przez niego zniekształceń, cechujących te twory, że wiejski artysta rzeźbi świętych tak, jak ich sobie wyobraża, zachnął się mój rozmówca, mówiąc:

„*Każdy Pana Jezusa czci, gdyż on nas wszystkich odkupił i zbawił; jak jest w Żywocie Pana Jezusa, był on najurodzniejszy i najdoskonalszy ze wszystkich synów ludzkich, tak (świętkarz) nie mógł sobie (go) wyobrazić.*“

Potem dał mi jeszcze do zrozumienia, że jeśli wizerunku Jezusowego nie wykonano lepiej i piękniej, to dlatego, iż brak było wykonawcy dostatecznej wiedzy rzeźbiarskiej. Anonimowego twórcę tej figury określił Kulisz w słowach: „*prostok nieuczony, to niema co mówić, ale dużo brakuje (rzeźbie), najlepiej nie jest*“. Zaś fakt, że tego rodzaju nieudolne rzeźby znajdują odbiorców u ludu, tłumaczył jako przedstawiciel tej własnie grupy społecznej: „*dla mnie, bo ja jestem nieuczony, to wystarczy*“, dając tem samem do zrozumienia, że korzystałoby się chętnie z produkcji wyższego rzędu, gdyby taka była dostępna; z różnych powodów muszą jednak „wystarczyć“ dla wsi dzieła miejscowego wyrobu.

Wynurzenia Kulisza pozwalają na odtworzenie, przynajmniej w części, czynników decydujących o rozbudzeniu się talentu wiejskiego artysty i istnieniu sztuki ludowej. Jak się okazuje, wchodzą tu w grę takie same zjawiska, jakie łączy się z pojęciem normalnej twórczości artystycznej. Informacje rzeźbiarza dotyczyły bowiem spraw następujących: zagadnienia podniety twórczej, np. znaczenia przykładu, wzorów i rywalizacji zawodowej, rozwoju twórczości, opanowywania rzemiosła i walki z tworzywem, nastroju twórczego i upodobań estetycznych twórcy oraz jego odbiorców.

Podnieta do rzeźbienia przy niewątpliwej dyspozycji wewnętrznej stał się dla Kulisza przykład innego świątkarza, którego sztukę zapragnął naśladować, a nawet przewyższyć. Wzorem i niedoścignionym ideałem twórczości są dlań rzeźby religijne, oglądane po kościołach na Górze św. Anny, w Częstochowie i Krakowie, gdzie najsilniejsze wrażenie wywarły na nim dzieła Stwosza. Niemniej czerpie też rzeźbiarz wprost z natury dzięki obserwacji świata roślinnego i zwierzęcego, nie unikając jednak wzorów pośrednich, jakich dostarcza mu książkowa reprodukcja. W granicach swych skromnych możliwo-



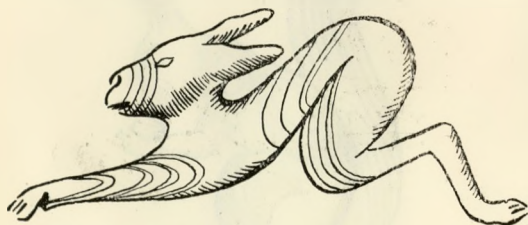
4. Wiewiórka; fragment laski Jana Kulisza (por. ryc. 2).

ści rozwija się domorosły artysta coraz bardziej i stara się rzeźbić „coraz lepiej“; nie jest bowiem pozbawiony krytycyzmu w stosunku do swych wytworów, co wynika z faktu, że nieudane pali. W związku z dążeniem do nowych zdobyczy artystycznych napotyka nieraz na opór materiału, którego znaczenie docenia w zupełności, jak świadczą o tem liczne jego uwagi o rzemiośle rzeźbiarskiem. Kwestja drzewa, narzędzi, polichromji zajmuje go w wysokim stopniu, co przypomina żywo krąg zainteresowań średniowiecznego mistrza, z którym Kulisz dzieli jeszcze skłonność do tematyki religijnej. Źródłem tej ostatniej jest wiara, która

prowadzi go do rozważań religijnych i orjentuje jego wyobraźnię artystyczną w kierunku ustalenia cech fizycznych, godnych postaci Bóstwa oraz świętych Pańskich, zapewne w oparciu o różne wzory i lektury.

Nieobcy jest ludowemu artyście stan nastroju twórczego, który określa pojęciami humoru i ochoty. Jego pogląd na przeznaczenie sztuki nie jest pozbawiony metafizycznego zabarwienia, o czym świadczy rodzaj inwokacji, jaką poprzedza swą artystyczną pracę; jej treścią jest bowiem pragnienie, żeby jego rzeźbione dzieła były nietylko pożyteczne ludziom, lecz miłe i Bogu.

Szczególnie interesująco przedstawia się problem smaku artystycznego wiejskie-



5. Zając; fragment laski  
Jana Kulisza (por. ryc. 2).

go twórcy, co może nam posłużyć do wynsucia ogólniejszych a dość zasadniczych wniosków. W trakcie rozmowy z Kuliszem na temat zebranych w Muzeum rzeźb ludowych, pochodzących z różnych stron Polski a w dużej mierze ze Śląska, stwierdziłem, że wymieniony ocenia je wyłącznie pod kątem naturalizmu, posługując się jeszcze normalną konwencją urody fizycznej. Kontroluje zatem stosunek figur do rzeczywistości i zwraca uwagę na ich proporcje, w związku z czym niektórym rzeźbom zarzuca, że mają torsy i głowy za długie, albo za tłuste, innym znowu, że za małe. Pewne figury uważa za przyjemne i ładne, inne za „niemiarodajne“, to znaczy niepodobne do kształtów rzeczywistych. Podkreśla też niekiedy

„wdzięk“ posążków i ich „ładną robotę“, wówczas, kiedy wykazują one względną poprawność formy oraz odpowiadają ideałowi urody, jakiej podstawą są regularne rysy twarzy.

Usiłowania, w mniejszym zaś stopniu osiągnięcia plastyczne Kulisza są zgodne z jego „teoretycznymi“ poglądami na sztukę. Przyniesione przez niego do Muzeum jako próbki twórczości świeżo wykonane laski posiadały zdobienia, złożone z motywów zwierzęcych (zając, wiewiórka, dudek) i głów ludzkich na zakończeniu rękkojeści. Rzeźby te cechował trochę powierzchowny naturalizm, skojarzony jednak z dekoracyjną tendencją i solidny pod względem technicznym modelunek powierzchni. Niemniej struktura głów ludzkich pozostawia wiele do życzenia mimo pozorów poprawności. Głowy te są przytem prawie zawsze jednakie: mają zbyt wystające czoła, krótkie nosy i silnie cofnięte brody (ryc. 6). Zato stanowią one istotnie przykład „ładnej roboty“, o jakiej opowiada Kulisz, a która w jego przekonaniu pokrywa się z starannym wypolerowaniem całości. Uwagę zwraca też stylizacja wiewiórki, a zwłaszcza zająca na jednej z lasek, zwiniętego w kałbłąk, w sposób niepozbawiony dekoracyjnego zacięcia (ryc. 4 i 5).

Nasuwa się skolei pytanie, czy zwierzenia śląskiego snycerza nadają się do uogólnienia, czy też wartość ich sprowadza się wyłącznie do wyjaśnienia zagadki jednej indywidualności twórczej? Za ograniczeniem znaczenia wynurzeń śląskiego rzeźbiarza przemawiałaby jego niechęć do prymitywnych i zgrubsza jeno ociosanych tworów takich świątkarzy, jak Wowro z Gorzenia, których przyzwyczailiśmy się uważać za klasycznych przedstawicieli ludowej twórczości. Natomiast ogólniejszego znaczenia dyspozycję twórczych właściwych Kuliszowi zdaje się dowodzić ta okoliczność, iż wymieniony całą swą osobowością tkwi szczelnie w włościńskiej sferze społecznej, a poziom jego sztuki

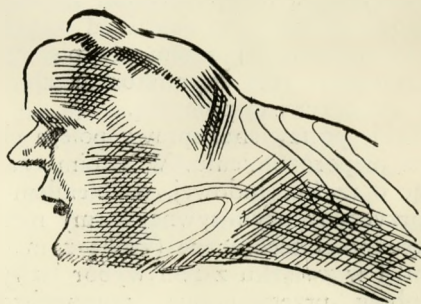


ki daleki jest od przeciętnej produkcji zawodowych artystów-rzeźbiarzy. Wytwórczość jego cechuje skąpa ilość środków wyrazu (podobne warjanty zwierząt, zawsze ten sam typ głowy ludzkiej) i mimo wysiłków do osiągnięcia poprawności formalnej, nieporadność w odtworzeniu postaci ludzkiej. Te ostatnie znamiona łączą go z ogółem wiejskich artystów i pozwalają rozciągnąć związane z jego sztuką artystyczne i pozaartystyczne zjawiska na całą plastykę ludową.

Przedstawienie artystycznych przeżyć śląskiego rzeźbiarza wydaje się o tyle celowe, że stoją one w pewnej sprzeczności z wynikami badań tych autorów, którzy prymitywizm sztuki ludowej tłumaczą wyłącznie odrębną postawą psychiczną ludowego artysty wobec zjawisk świata zewnętrznego, przeciwstawiając się tem samemu przypuszczeniu, jakoby charakterystyczną cechą stylu ludowego była także nieumiejętność techniczna<sup>7)</sup>. Rozważmy zatem pokrótce jedną i drugą teorię. Teoria pierwsza łączy w całości formę wytworów ludowych z prymitywnym światopoglądem ich twórców. Aczkolwiek pociągająca, niezawsze jednak wytrzymuje ona próbę doświadczenia, jak wynika to z powtórzonej na początku tego szkicu rozmowy z Kuliszem.

Badanie, dokonane przy udziale śląskiego snycerza polegało, jak już wiemy, na podsunięciu mu dzieł prymitywnych obok wyżej wykształconych. Powodem tego zestawienia było założenie, że jeśli prymityw jest istotnie wynikiem psychicznej struktury ludowego artysty, dalej, jeśli naprawdę wypływa on z najgłębszych potrzeb wiejskiego środowiska (przecież ma być wyrazem jego światopoglądu), to przedstawicielowi tegoż środowiska odpowie najbardziej utwór prymitywny. Tymczasem stało się zgoła inaczej, przyczem okazało się jeszcze, że aspiracje rzeźbiarza,

przedstawione z trudem przez niego samego, idą po linii doskonalenia się pod względem zwykłej, naturalistycznej reprodukcji. Można by też przytoczyć tu inne znane zjawisko. Zdarza się mianowicie, że wieśniak poduczy się snycerki w jakimś miejscowym warsztacie, na skutek czego zaczyna rzeźbić poprawniej, mimo że nie zmienia światopoglądu i w dalszym ciągu pozostaje członkiem swojej grupy społecznej. Czyżby więc nagle zerwał się związek między światopoglądem autora a jego dziełem, czyżby wówczas rzeźbił on naprzekór swoim potrzebom? Wystar-



6. Zakończenie rękojeści laski;  
rzeźba Jana Kulisza z roku 1935.

czy tu zresztą odwołać się do artystycznej produkcji Kulisza. Jest ona w pewnym sensie wyższa od rzeźb prymitywnych mimo, że jej twórca przedstawia typ normalnego wieśniaka; wystarczy spojrzeć na jego fotografię, reprodukowaną w tej pracy (ryc. 1).

Wspomniana wyższość wytworów boronowskiego rzeźbiarza nie jest jednak szczególnie uderzająca. Wyniki, jakie osiągnął snycerz w zakresie swej specjalności, przedstawiają się mimo wszystko dość skromnie, a w każdym razie są dalekie od jego własnych ideałów. Dlaczego? Nasuwa się tu tylko jedna odpowiedź: widocznie skromna wiedza zawodowa i powierzchowność obserwacji stanęły na przeszkodzie w spełnieniu się ambitnych dążeń. W ten sposób zbliżyliśmy się do drugiej teorii, jaka przyczyn stylu ludowego dopa-

7) K. Piwocki, *Drzeworyt ludowy w Polsce*, Warszawa 1934, 125—126.

truje się właśnie w braku wiedzy technicznej i błędach obserwacji<sup>8)</sup>. Przedstawiciel pierwszej teorii, dr K. Piwocki, autor cytowanej już, głębokiej i wyjątkowo solidnej zresztą pracy, rozprawił się napozór łatwo z rolą owej nieumiejętności technicznej drogą wnioskowania „ad absurdum“. Rozumuje on bowiem w ten sposób: „gdyby (więc) artyście ludowemu dać odpowiedni środek techniczny — stworzyłby dzieła nie różniące się niczem szczególnie od okazów sztuki oficjalnej“<sup>9)</sup>. Skoro zaś, daje do zrozumienia, drzeworytnik ludowy n. p. rozporządzając normalną techniką drzeworytniczą i odpowiednim arsenałem środków, mimoto jest daleki od osiągnięcia grafiki artystycznej, zatem przypisywanie znaczniejszej roli czynnikiem technicznym jest oczywiście pomyłką.

Takie postawienie sprawy polega chyba na nieporozumieniu. W swoim czasie, pisząc o rzeźbie ludowej, wymieniłem jako przyczyny prymitywnej formy nie tylko trudności techniczne (walkę z materiałem) i w związku z tem wybór łatwych sposobów przetwarzania rzeczywistości na dzieła plastyczne, lecz również naiwność obserwacji<sup>10)</sup>. Sprawa wydawała mi się wówczas dość jasna, wobec czego zrezygnowałem z szerszej rozbudowy swych przypuszczeń, zgodnie zresztą z szkicowym charakterem odnośnej pracy. Miałem jednak na myśli nie tylko środki techniczne, t. j. materiał i narzędzia, lecz także umiejętność biegłego posługiwania się nimi, zdolność zachowania proporcji w trakcie rozplanowywania rysunku czy rzeźbiarskiej bryły, wreszcie nie tylko ścisłość obserwacji, lecz i umiejętność celowego wyzyskania zaobserwowanych treści. Krótko mówiąc, widziałem główną zaporę między zamiarem arty-

stycznym a jego spełnieniem istotnie w trudnościach technicznych (łącznie z techniką widzenia), w opanowaniu tworzywa i t. p. z tem przecież, że owe pojęcia miały dla mnie znacznie szersze znaczenie niż np. dla dra Piwockiego. Jaką zaś rolę może odegrać w twórczości artystycznej ów „kompleks techniczny“, świadczą o tem doświadczenia młodych artystów. Dobrze bowiem są im znane sytuacje tego rodzaju, że w zasadzie wie się ponad wszelką wątpliwość, iż rysunek jest lichi i niezgodny z modelem, a jednak mimo tej wiedzy nie umie się odkryć istoty błędu; a jeśli nawet nastąpi jego wykrycie, to trudno sobie poradzić z jego naprawą. A jakże daleka jeszcze droga od akademickiego, reprodukcjącego rysunku do przetworzenia elementów przyrody na nową, własną rzeczywistość, na autonomiczną formę, zbudowaną do tego przy pomocy biegłej i indywidualnej faktury<sup>11)</sup>. Warunkiem zwycięstwa w tej walce o własną sztukę jest zdyscyplinowanie obserwacji przez systematyczne ćwiczenia, ciągły trening ręki, a przede wszystkim pogłębianie swej kultury artystycznej, dokonujące się drogą ustawicznych wysiłków i studjów specjalnych.

Jakże wobec tego dziwić się nieporadnym kształtom ludowych dzieł sztuki, ich przypadkowym nierzadko deformacjom i wadliwym proporcjom? Wiejski artysta jest z zasady samoukiem, nie mającym nic wspólnego z systematycznym studjum; nikt mu nie zwraca uwagi na rozbieżności między jego naturalistycznym w zasadzie (choć nie w wyniku) tworem a rzeczywistym modelem, nikt go nie koryguje, nikt mu nie udziela wska-

8) Teorię tę wysunąłem w dawniejszej pracy, p. t. Śląska rzeźba ludowa w drzewie, Katowice 1930, 14.

9) Piwocki, l. c. 125.

10) Dobrowolski, l. c. 14.

11) Ze od teoretycznej wiedzy do praktycznej twórczości jest droga daleka, świadczy o tem przykład teoretyków (np. krytyków) sztuki, którzy chociaż obdarzeni nieraz niewątpliwym smakiem i dobrze zorientowani w zagadnieniach formalnych, przecież sami nie potrafili malować czy rzeźbić.

zówek. Toteż rozwój jego talentu ulega zreguły zahamowaniu, artysta zaś popada w manjerę, ograniczając się do skąpej ilości typów formalnych i tracąc równocześnie kontrolę nad wartością swej produkcji. Truizmem już jest przypomnienie, że brak mu naogół podniecającego przykładu twórczości żywych mistrzów oraz środowiska, ożywionego jakąś wspólną i świadomą ideą artystyczną.

W rezultacie wydaje mi się, że całkowite łączenie prymitywnej formy plastycznej z światopoglądem ludu, nie wytrzymuje próby doświadczenia. Pędzej już można się zgodzić na szukanie wyjaśnień interesującego nas fenomenu w sferze zjawisk psychofizycznych z uwzględnieniem roli systemu nerwowego i związanego z nim aparatu ruchowego.

Jesteśmy zatem skłonni do tego, żeby w dziełach ludowej plastyki widzieć nie tylko refleksy ludowego światopoglądu, lecz również skutki nieporadności technicznej. Wyrazem istotnych, duchowych i estetycznych potrzeb ludu jest w pierwszym rzędzie tematyka jego sztuki, przeważnie religijnej, następnie rzeczowość ujęcia kształtu, jego prosta konkretność, jak również frontalność układu i silny, niekiedy nawet jaskrawy koloryt. Odrazu jednak należy stwierdzić, że cechy te nie rozstrzygają o absolutnej odrębności lu-

dowej plastyki, bo nie są jej wyłączną własnością. Można je bowiem zaobserwować w różnych fazach rozwoju sztuki historycznej i odnaleźć w niektórych kierunkach sztuki współczesnej. — Odrębność sztuki ludowej polega przede wszystkim na jej prymitywizmie i zniekształceniach formy naturalistycznej, t. j. na nieporadności rysunku, wadliwych proporcjach i grubości formy. Te ostatnie cechy są zaś wynikiem nietyle światopoglądu, ile nikłej wiedzy zawodowej ludowego artysty. Nakoniec wypadnie stwierdzić, że wbrew regule t. zw. normalnego gustu, odpowiadają nam bardziej ludowe rzeźby o charakterze prymitywnym, niż prace nieco poduczonych i zaawansowanych w swem rzemiośle świątkarzy. Dzieje się tak zapewne dlatego, że te zniewalające nas dzieła są typowszym i naturalniejszym przejawem kultury ludowej i cechującego wieś, niezorganizowanego samouctwa. Słabą stroną zawartych w niniejszym szkicu wywodów jest fakt ograniczenia metody badawczej, na jakiej się one opierają, do jednego doświadczenia, tj. do poznania reakcyj na sztukę jednego tylko rzeźbiarza. Pomocą była mi przecież pewna znajomość ludu. Doświadczenia można zresztą mnożyć dowolnie. Wiele jednak przemawia za tem, że następne pokryją się z pierwszym.



## Pamiętnik „Zwiastuna Górnosląskiego“.

W przedostatnim roku istnienia „Zwiastuna” wydawca jego zamierzał napisać pamiętnik w celu przekazania potomności dziejów swego czasopisma, wyjaśniając szereg okoliczności, które przyczyniły się w pierwszym okresie do rozwoju, a później do powolnego upadku. Wprawdzie „Zwiastun” nie upadł, przestał tylko wychodzić, i to nie z powodu niedostatecznej liczby prenumeratorów, lecz zapewne dlatego, że nie czuł się na siłach do spełnienia tej roli, jakiej sytuacja dziejowa odeń domagać się mogła. Zato rywalizujący faktycznie „Katolik” nakreślił sobie program i wykonał go, przyczyniając się w wysokim stopniu do rozszerzenia i utrwalenia w masach ludu śląskiego świadomości narodowej polskiej. Stąd niniejszy „pamiętnik” ma służyć omówieniu kilku spraw, które mogą i powinny zainteresować nie tylko badacza przeszłości Górnego Śląska, ale każdego obywatela, jeżeli ten współczesną rzeczywistość polską pojmuje jako logiczny wynik historii.

Zachodzi obecnie potrzeba podania kilku wiadomości ogólnych, dotyczących „Zwiastuna”, a dających ogólny obraz tego pisma. Przedewszystkiem sama nazwa pochodzi stąd, że pomysł wydawania pisma w języku polskim powstał w dniu Zwiastowania Najświętszej Marji Panny, następnie pismo miało służyć potrzebom religijnym ludu, dlatego główni inicjatorzy i autorzy artykułów i wierszy to przeważnie księża. „Zwiastun” był również pismem politycznym, to znaczy, że odpowiednią kaucję wydawca musiał złożyć władzom administracyjnym, bo właściwie poza sprawozdaniem z życia politycznego własnego w tem życiu stanowiska nie zajmował, a jeżeli nawet to czynił, to czynił to niesłychanie ostrożnie. „Zwiastun” wychodził w Wielkich Piekarach przez pięć lat bez przerwy, od początku roku 1868 do końca 1872, ostatni numer jest poświęcony sprawom redakcyjnym i wydawniczym całkowi-

cie i ma niejako charakter zapowiedzianego pamiętnika. Wydawcą „Zwiastuna” był Teodor Heneczek, drukarz i wydawca książek polskich do nabożeństwa, był on również redaktorem odpowiedzialnym po księdzu Purkopie od lipca 1870 roku do samego końca wydawnictwa, później wyjechał do Galicji i ślad po nim zaginął<sup>1)</sup>.

„Zwiastun” w rozwoju czasopiśmiennictwa górnośląskiego odegrał rolę poważną. Ukazywał się przez okres czasu stosunkowo najdłuższy w zestawieniu z innymi pismami z epoki wiosny ludów, następnie dał początek i zachętę innym ludziom do wydawania nowych, których liczbę za skromną jak na warunki terytorjalne i polityczne Górnego Śląska uważać nie można. Z tego powodu ma swoją zasłużoną kartę w życiu religijnym i narodowym ziemi śląskiej.

### I.

#### Nauczyciele i sprawy szkolne.

Rodzimą inteligencję na Górnym Śląsku stanowili księża i nauczycielstwo, zasilani częściowo ludźmi z Poznańskiego. Między szkołą i duchowieństwem istniał ścisły związek podtrzymywany w ten sposób, że nadzór nad szkolnictwem powszechnym sprawowali księża i mieli wpływ na tok nauczania i wychowania. Gminy i miasta jedynie zasiłały szkoły pod względem materialnym<sup>2)</sup>. O serdecznych stosunkach między duchowieństwem i nauczycielstwem może świadczyć fakt, że kiedy „w Małych Strzeleczkach dnia 24 września 1871 roku obchodził W. ksiądz pan inspektor szkół i Imci pan faraż jego 50-letnie urodziny, — — — nietylko same owieczki z jego gminy, też jeszcze poddani nauczyciele z wszystkich do niego nale-

<sup>1)</sup> K. Prus: O pierwszych polskich drukarzach i wydawcach na G. Śląsku, Mikołów 1920.

<sup>2)</sup> Ks. dr Emil Szramek: Organiczny związek urzędów szkolnych z kościołami, Roczniki T. P. N. na Śląsku, I, Katowice 1929, str. 61 i n.

żących szkół szli za tym pięknym szeregiem, niosąc piękny srebrny podarunek (cena 50 talarów). Cały szereg prowadziła aż do Imci pana faraża piękna miejska muzyka. Przed domem Imci podniósł cały chór nauczycieli ich głosy do śpiewania temu staruszkowi na uciechę, a Bogu na chwałę. Nakoniec wszyscy zawołali: Niech żyje nasz Imci ksiądz faraż i pan inspektor szkół przez wiele lat (powtarzając to trzy razy). — — — Nazajutrz rano odprawiła się msza św. za niego, a wszyscy parafjanie byli przytomni, modląc się o długie życie ich Pasterza". Tak w przedstawionych wyjątkach pisał sprawozdanie z obchodu W. Spallek, nauczyciel z Pol. Racławic. Nic też dziwnego, że z chwilą ukazania się perjodyku w języku polskim zwrócono się o współpracę do bardziej czynnych nauczycieli, pozostały ogół prosząc o rozszerzenie pisma. Odrazu skierowano się do Karola Miarki, dotychczasowego współpracownika „Gwiazdki Cieszyńskiej” powierzając mu właściwie całą redakcję, bowiem ks. Purkop jako redaktor „Zwiastuna” z powodu swych obowiązków samem piśmie gorliwiej nie mógł się zajmować. Miarka zabrał się do pracy umiejętnie i z zapałem. Był nadal nauczycielem w Pielgrzymowicach, ponadto układał każdy numer, redagował sprawozdania z kraju i z zagranicy, zamieścił swoją powieść „Kalwarję”, oprócz tego napisał słynną korespondencję z Bytomia „o edukacji górnośląskiej”, która wywołała duże poruszenie na Górnym Śląsku<sup>3)</sup>. Następnie wskutek nieporozumień z wydawcą, między innymi i z powyższego powodu, ustąpił z redakcji i zaczął w roku 1869 wydawać swojego „Katolika”. Dla „Zwiastuna” Miarka potrafił dokonać tego, że liczba jego prenumeratów wzrosła o blisko 2000. Zresztą w dziejach „Zwiastuna” Miarka ma osobną kartę. Z chwilą ustąpienia Miarki na jego miejsce zaangażowano Nachbara, nauczyciela przy seminarjum nauczycielskiem w Pyskowicach. Ten prawdopodobnie potrafił się pogodzić

z wydawcą i pozostał zapewne do samego końca.

Do ogółu nauczycielstwa o zjednywanie prenumeratów zwracano się kilkakrotnie i w różny sposób. Ks. Kamiński, pisząc o pracach języka polskiego na Górnym Śląsku<sup>4)</sup>, zaznaczył, że nietylko nauczyciele powinni polskie pismo popierać sami, ale również powinni czytać je z dziećmi w szkole. To wykorzystała redakcja, aby w przypisku zauważyć, że blisko Piekar jest parafja, gdzie jest 5 szkółek, a żaden nauczyciel nie czyta „Zwiastuna”. Wynikałoby stąd, że miejscami nawoływanie do prenumeraty „Zwiastuna” przez nauczycieli niezawsze odnosiło oczekiwany skutek. Mimo to jednak udział nauczycielstwa w poczynaniach „Zwiastuna” był znaczny i dla pisma korzystny.

Zasadniczo „Zwiastun” służył celom życia religijnego, pogłębiając je i szerząc, oraz zagadnieniom moralnym, dlatego niektóre artykuły nauczycieli są szarmonizowane z tym kierunkiem. A więc Otto Parczyk z Pstrosznej napisał artykułik p. t. „Jak starzy w dziatki wpajali bojaźń Bożą?”<sup>5)</sup>. Przytoczywszy na początku z dzieł księdza Skargi opis dawnego obyczaju, mianowicie, że w czasie burzy dzwonami wzywano wszystkich do modlitwy, a w domach przed obrazami świętymi palono świece i modlono się, stwierdza autor, że nie był to zabobonny sposób na rozpędzenie burzy, tylko wezwanie do modlitwy, i dochodzi do wniosku, aby nie wyszydzać owej bojaźni przed grzmołem, że to jest odgłos nieszkodliwy, że błyskawica jest iskrą elektryczną i t. d. Zdaniem autora trzeba jedno czynić, „to jest wyjaśnić wielkie powawy przyrody, a drugiego nie zaniedbać, t. j. uczciwych i pobożnych słów onych, któremi tak praktycznie przodkowie nasi bojaźń Bożą w sercach niewinnych wzbudzali; to będzie najlepszą dla nas zasadą”. Sam Skarga przytoczył ten zwyczaj, aby go współcześni naśladowali.

<sup>3)</sup> Dr Jan Dąbrowa, Z walk o język polski na Górnym Śląsku, Karol Miarka: O edukacji górnośląskiej, Ogniskowice, XI (1935), nr 3, str. 81—86.

<sup>4)</sup> Nr 22 z 29. V. 1868 r.

<sup>5)</sup> Nr 52 z 28. XII. 1870 r.



Drugi autor, Rassek, nauczyciel z Markłowic, w artykule „Głos świętej prawdy”<sup>6)</sup> ocenia życie ludzkie na sposób średniowieczny. Następujące wyjątki dają wierny obraz wszystkich wywodów autora: „Cóż jest życie człowieka? — Nic innego, jak podróż mimowolna... Miłujmy życie, ale tylko jako środek, aby duszę naszą cnotami i we wieczności wartość mającemi wyposażyc, i bliźniego naszego podług możności podpierac. Miłujmy także z całej siły naszej myśl o śmierci, o nieśmiertelności i o wieczności, bc tylko wtenczas mocne zaufanie mieć możemy, iż po tem życiu nikczemnem dostaniemy się tam, o czem mówi Pismo św.: »żadne oko nie widziało, żadne ucho nie słyszało, ni w serca człowieka dane, co jest dołrym zgotowane.« Rzeczywiście Rassek stawia człowiekowi duże wymagania. Ale nie poprzestał na tym artykule, bo wkrótce potem napisał wierszyk „Śmiertelność — nieśmiertelność”<sup>7)</sup> z takim zakończeniem:

Cóż ty weźmiesz po twym zgonie  
Tam na drugi świat ze sobą?  
Wszystko leży w śmierci łonie,  
Już skończyło się też z tobą.

Twoje piękno, szczęście, postać  
W grobie musi tu pozostać.  
Jedna tylko twoja cnota  
Idzie przez niebieskie wrota.

Piękna poetyckiego w tym wierszyku niema, ale myśl religijna dla ludu jest podana melodyjnie.

Rok 1870 był ostatnim w dziele zjednoczenia Włoch, bowiem Włosi opanowali całe państwo kościelne z Rzymem, a papież stał się dobrowolnym więźniem. W związku z tem Otto Parczyk zestawiał „śmierć pierwszych prześladowców kościoła rzymsko-katolickiego”, wymienił 16 wypadków, od Heroda Wielkiego, zabójcy dzieci w Betleem począwszy, a skończywszy na Dioklecjanie. „Tak też kochani czytelnicy „Zwiastuna” — pisał Parczyk — i ci od Boga ukarani zostaną, którzy w czasie teraźniejszym nasz kościół

święty zniewalają i prześladowają... Kogo Pan Bóg miłuje, tego nieszczęściem nawiedza. Znośmy więc te wszystkie prześladowania cierpliwie, ale w prawdziwej wierze Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, jak niegdyś Job pobożny.” Oprócz tego tenże Parczyk w parę miesięcy później przedstawił „Obraz na Rzymie uczynionych gwałtów”. 15 razy Rzym przechodził ciężkie chwile, a po raz ostatni (16) został zdobyty przez Wiktora Emanuela. Zestawienia powyższe są krótkie. W zakończeniu zaś wspomina autor również „pobożnego Joba, który wszystko tak cierpliwie ponosił, a oto czy nasz Ojciec św. Pius IX nie jest drugi Job”.

W tym samym roczniku „Zwiastuna” (1871) znajdują się jeszcze dwa opowiadania Raska z Markłowic. Jeden ze styczniowych numerów zawiera opowiadanie ze „starych czasów”. Rzecz działa się w XVII stuleciu. Książęca zwierzyna napadła na chłopskie pole i zniszczyła „owoce polne”. Na prośbę wieśniaków proboszcz udał się do rezydencji księcia i opowiedział o wszystkim. Książę wysłuchał i kazał zwierzynę chwycić. Tak też uczyniono. Potem książę zwierzynę wykupił, dając za 50 sztuk 100 talarów. „Na pamiątkę tego jeszcze po dziś dzień odbiera owa gmina z kasy książęcej każdorocznie 100 talarów i wolno jej jeszcze i dziś zwierzynę każdą na swych polach zastrzelić... ale owa gmina wspomina po dziś dzień owego proboszcza i sercem wdzięcznem posyła modły do tronu Najwyższego za duszę tegoż...” Późniejsze opowiadanie to „Mąż prawdy”. Za czasów prześladowań chrześcijan żył Kordjasz. Słynął on z prawdomówności. Kiedy uzbrojeni prześladowcy przyszedli go aresztować, wnuczek jego powiedział, że Kordjasz jest w kościele i modli się do swego Boga. Chłopiec skłamał, za co go zgromił Kordjasz. „Kto nieprawdę mówi, stanie się złączyńcą przeciw Bogu i ludziom.” Chłopiec gorzko płakał i przeproszał swego dziadka. Wkrótce potem przyszli znowu prześladowcy, aresztowali Kordjasza i skazali na śmierć. „Trupa starca pogrzebali przyjaciele jego i postawili pomnik na grób z napisem:

<sup>6)</sup> Nr 8 z 23. II. 1871 r. (dodatek).

<sup>7)</sup> Nr 37 z 14. IX. 1871 r.



Tu mąż prawdy pochowany  
Kordjaszem mianowany.“

Jeśli chodzi o zwyczaje religijne, których należałoby się pozbyć, jako niewłaściwych dla powagi kościoła, to zajął się nimi trzeci z kolei nauczyciel, współpracownik „Zwiastuna”, Filip Robota. Miejscowości, w której pracował, tylko raz podał, Tarnowice Stare, poza tem pod nazwiskiem tylko dodawał nauczyciel i do tego niezawsze. Otóż w korespondencji z Gostynią<sup>9)</sup> pisał, że może tylko w powiecie Prudnickim jest taki zwyczaj, że kiedy w święto św. Szczepana ksiądz odchodzi od ołtarza, „zaczynają młodzieńcy z chóru rzucać jabłkami i orzechami na panny w kościele kłęczące. Przy tej igraszce prowadzą się najgłośniejsze rozmowy i śmiechy, bo każdy jedną trafić zamierza. Niejedna panna okrywa się rumieńcem wstydu, gdy dostanie jabłkiem w głowę, inna zaś cieszy się z tego, że na nią pamiętano, a chociażby się i która gniewała, to zwykle po skończonej igraszce łatwo się w domu pogodzą. Z pobożnością naszych przodków poprzestał i ten zwyczaj być pobożnym”, więc dla okazania szacunku dla kościoła jako domu Bóże go należałoby go zaniechać.

Oprócz tego Robota napisał cztery artykuły pod wspólnym tytułem „Do moich rodaków”, w których poruszył ciekawe sprawy. W pierwszym<sup>9)</sup> wysunął zagadnienie w taki sposób: „To najświętsze po religii, co człowiek po rodzicach otrzymał, jest mowa ojczysta. My, Górnoślązacy, dozwalamy sobie naszą mowę niemieckimi wyrazami zepsować, jakgdybyśmy polskich wyrazów nie mieli lub nie znali. Między wielu innymi należą do tychże następujące: fotyrla, mutyrla”. Dalej zaś pisze o odmianie jak murtherliczka i faterlowie, tłumacząc to zjawisko brakiem u dzieci należnego szacunku dla rodziców, rozpieszczaniem dzieci i chęcią wywyższenia się, jednocześnie przytacza odpowiednie piękne wyrazy polskie: mamulka, tatulek, mamiczka, taticzek, matuchna. Wina

w danym wypadku ponoszą rodzice. Jeśli zaś chodzi o młodzież dorastającą, to panna np. gdy rozmawia z młodzieńcem, który wrócił z wojska, a nie chce uchodzić za prostaczkę, wówczas sady się na wyższy ton w obawie przed staropanieństwem. Młodzieniec taki również lekceważy sobie „Zwiastuna”, twierdzi bowiem, że dawno już te wiadomości w niemieckich gazetach wyczytał; autor zaś kwestjonuje samą znajomość języka niemieckiego. Pragnąc sobie zjednać czytelników, prosi ich o życzliwość, kiedy do nich „o tem i owem” będzie pisał w „Zwiastunie”.

W drugim liście<sup>10)</sup>, bo tak swój artykuł nazwał, poruszył Robota aktualną i dziś sprawę, mianowicie zabieranie dzieci na uczy weselne lub inne zabawy do karczmy. Tacy nierozsądni rodzice pragną, „żeby się chłopiec jak najprędzej wódki pić, cygar palić, a dziewczę tańczyć nauczyło. Przypominają mi się tu słowa — pisze dalej autor — jednego kaznodziei, który mówił: gdy chcesz iść do djabła, to idź sam, a nie zabieraj z sobą swych dzieci”. Jeżeli nawet nauczyciel skarci takie dziecko, to do następnej zabawy ból przejdzie.

Następny artykuł<sup>11)</sup> ma być pouczającym dla kobiet. „Wiadomo jest wszystkim, że niewiasty są bardzo wielomowne, podobne do gęsi, które bardzo wiele i bez przyczyny gęgają. Gdy się w gminie co stanie, to kumoterka kumoterce, siostrzyczka siostrzyczce powie, tak, że w krótkim czasie wszystkim jest wiadomo, jakgdyby to był bębnek rozgłosił.” Szczególnie wówczas nadużywa się drugiego przykazania Boskiego, wzywania Imienia Bóże go nadaremno. Najlepiej stosować zasadę: Jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami.

W ostatnim<sup>12)</sup> poruszył Robota przesadną gorliwość o ładny wygląd dziecka, kiedy je matka prowadzi do szkoły. Później, jak wiemy, rzecz się ma zupełnie przeciwnie. W szkole jest brudne, niestaranne, ale kiedy podrośnie i zacznie się bawić, znowu nawrót

<sup>9)</sup> Nr 52 z 30. XII. 1870 r. (dodatek).

<sup>9)</sup> Nr 34 z 19. VIII. 1869 r.

<sup>10)</sup> Nr 36 z 2. IX. 1869 r.

<sup>11)</sup> Nr 45 z 4. XI. 1869 r.

<sup>12)</sup> Nr 49 z 2. XII. 1869 r.

do elegancji jest widoczny. Kiedy zaś się ożeni i zacznie pracować na własne i rodziny utrzymanie, wówczas niema mowy o ładnym wyglądzie, „kwitnie mu głowa i broda, a włosy spadają mu na twarz, że mu ani ócz nie widać”. I taką czytamy końcową uwagę: „Czy nie lepiej było gdyby się był pierwiej mniej wybornie ubierał, a teraz o siebie więcej dbał? Z tego wynika ta nauka: Żyjemy z czasem w czasie, a nie przed czasem i po czasie”.

Jak wypływa z powyżej przytoczonych artykułów, Filip Robota pragnął w formie lekkiej zainteresować czytelników „Zwiastuna” ważnemi i aktualnemi sprawami, szczególnie w zakresie dbałości o czystość języka polskiego. Artykuły te można nazwać feljetonami, pod względem treści nieźle ujętymi, tylko zdradzają one znaczne niewyrobinienie językowe, zresztą właściwość ta jest wspólną i innym autorom.

Jednorazową korespondencję z Radzionkowa nadesłał tamtejszy nauczyciel i organista, Besuch, p. t. Curiosum<sup>13</sup>). Rzecz miała się tak: Filip Robota zamieścił w jednym z numerów ostatnich „Katolika” wiadomość o letargu Leopolda Szeligi z Rudnych Piekar. Szeliga podobnoż w ostatniej chwili przed zasypaniem go w grobie wstał z trumny i powiedziało zgromadzonemu na pogrzebie, że wie, co się z nim w czasie tych czterech dni działo. Krótką tą notatką wystarczyła Besuchowi, aby wykazać bałamucenie czytelników „Katolika”, bowiem on jako mieszkaniec zaznaczonej miejscowości zna Szeligę, a w Rudnych Piekarach wogóle Szeligi niema, ten zaś z Radzionkowa czuje się dobrze i wcale śmierci nie pragnie. Dla ustawicznie polemizującego „Zwiastuna” z „Katolikiem” była więc nielada okazja, aby wykazać, ile nieprawdy podaje „Katolik”. „Katolik” przez jednego ze swoich korespondentów usprawiedliwił się, że przeciw nauczycielowi nie wypadało nie wierzyć, a tymczasem rzeczywiście miał rację „Zwiastun”, była to bajka. O niej sam Robota mówi, że „takową słyssałem od dwóch sądowych aktuarjuszów

pp. Ehlerta i Barysza z Tarnowskich Gór. Bajka ta wylęgała się podobnie w głowie pierwszego, który zamiast nagrody zapłacił mnie kłamiwą baśnią za to, że tłumaczyłem dla niego „statuta knapszaftowe” na polski język, za co p. E. od knapszaftu odebrał zapłatę 50 talarów”. Autor, jak widać, padł ofiarą własnej łatwowierności. Ażeby o nim nie mieć z tego powodu niekorzystnego mniemania, warto przytoczyć ogłoszenie w „Zwiastunie” tej treści, że jest do nabycia w księgarniach „Ucieczka grzesznych (Zuflucht der Sünder), pieśń do użycia przy majowem nabożeństwie na 3 głosy z towarzyszeniem organ, komponował Filip Robotta, nauczyciel”.

Nie obeszło się wówczas również bez ataku na nauczycielstwo. Uczynił go sam Miarka. Rzecz trochę dziwna i ciekawa. Od blisko dwóch lat Miarka rozstał się z zawodem nauczycielskim, aby się poświęcić szerszej działalności publicystyczno-organizacyjnej, ale zrozumienie dla spraw nauczycielskich, zdawałoby się, zachować powinien. Tymczasem jednak wypowiedział się śmiało przeciwko tym nauczycielom, którzy stronią od opieki nad życiem ludu, a lud ciągle przewodników potrzebuje, zadając się najczęściej z Niemcami i udając panów. Niewątpliwie w tem było trochę racji, bowiem na sprawy narodowe i polityczne górnośląskie Miarka jako redaktor wojującego „Katolika” miał szerszy pogląd i nawet miał prawo moralne do zwrócenia na to uwagi. Uczynił to zresztą otwarcie i zdecydowanie w opowiadaniu o akcji wyborczej pt. „Walmani”. „Zwiastun” — jak zwykle — skory do polemiki ze swym przeciwnikiem, zamieścił skwapliwie odpowiedź jednego nauczyciela, który się podpisał jako Opepunkcik, nauczyciel górnośląski<sup>14</sup>). Opepunkcik jest prawdopodobnie skrótem albo okolicznościowym pseudonimem, może to nawet jest sam O(tto) P(arczyk) z dodatkiem punkcik. Otóż tak brzmi w głównej części nadesłana odpowiedź: „zapytajmy go (Miarki) się, dlaczego nauczycielem nie pozostał i do których

<sup>13</sup>) Nr 11 z 17. III. 1870 r. (dodatek).

<sup>14</sup>) Nr 6 z 9. II. 1871 r. (dodatek).



nauczycieli on się liczył, będąc nauczycielem w Pielgrzymowicach? Liczył się do tych nauczycieli we frakach i głupiej dumie, czy do tych, którzy lud gminy swojej poza szkołą dobrym przykładem przewodniczą i kółka ludowe zakładają? Jeżeli do ostatnich należał, proszę, żeby się nazad powrócił i jedynym nauczycielem w Górnym Śląsku był, któryby tak dobrymi przykładami jaśniał; należał do pierwszych, to dzięki Bogu, że jest na Królewskiej Hucie redaktorem „Katolika”, a nie nauczycielem w fraku. Suum cuique.” A jednak Miarka, jak się okazuje, należał do tych drugich, był „pisarzem gminnym, był i urzędowym sędzią polubownym — a niedość na tem, wnet był zawołanym adwokatem ludowym, słynnym w całej okolicy; pisywał ludziom do sądu i władz i prowadził za nich procesy w sądach i różne sprawy w urzędach. Przez długi szereg lat był on królem wsi i jej okolicy, wprowadził niekoronowanym, ale zato absolutniejszym”<sup>15</sup>). Nie szkodzi obecnie nawet fakt, że z tego miał znaczne dochody, ważniejszym jest, że wieś miała gorliwego opiekuna, którego niechętnie się pozbywała, kiedy zdecydował się przenieść się do Król. Huty na nowy teren swej pracy.

Ogół nauczycielstwa chciał zainteresować i zapewne cel osiągnął ks. W. S. krótką odezwą<sup>16</sup>) na temat tworzenia tak zwanych kółek młodzieży opieki nad zwierzętami. Przytacza autor nieodosobnione wypadki, „jak często słyszeć można skargi i użalenia na swawolnych i okrutnych chłopców wiejskich i miejskich, że dręcą i męczą zwierzęta, chwytają ptaki, psują gniazda, a nieraz młode drzewka przy drogach lub w sadach z nieczułą swawolą łamią i niszczą”. Otóż jeden z nauczycieli w Saksonji zorganizował młodzież swej szkoły w ten sposób, że z dotychczasowych szkodników uczynił pożytecznych ludzi, którzy tem, co przedtem niszczyli, teraz się troskliwie opiekowali. Wniosek stąd i rada: „Idź i ty uczyni to samo”. Książdz

W. S. powołał się w swych rozważaniach na gazetę w Saksonji wychodzącą, skąd zaczerpnął zasadniczą wiadomość. Niewątpliwie artykuł ten bez echa nie przeszedł, sprawa bowiem była jasna, ciekawa i łatwa do przeprowadzenia, ale dalszych uwag z tym tematem związanych trudno znaleźć w „Zwiastunie”.

Ważnem wydarzeniem była „Odezwa do szanownych panów nauczycieli przy górnośląskich szkołach”<sup>17</sup>), poruszająca sprawę nauczania języka polskiego. Ukazanie się jej poprzedziła wspomniana już korespondencja Miarki „O edukacji górnośląskiej”, można z całą pewnością twierdzić, że była jej wynikiem. Miarka swego artykułu nie doprowadził do końca, właśnie przerwano mu drukowanie dalszego ciągu w tem miejscu, kiedy miał pisać o gwarze śląskiej i jej stosunku do języka polskiego. „Odezwa” posłużyła zastępczo właściwemu celowi, jakkolwiek Miarka nie jest jej autorem. Autorem jest prawdopodobnie jakiś nauczyciel, obeznany z przedmiotem, który umiejętnie i dość zgrabnie opracował temat, brak w „Odezwie” ducha i intencji Miarki. Przypisanie autorstwa nauczycielowi jakiemuś w obecnej chwili może być tylko prawdopodobnym przypuszczeniem, opartem na następującej przesłance: Autor „Odezwy” i zaraz po niej drukowanego artykułu „Szkoła i kościół” jest ten sam, na co wskazywałby jasny i przejrzysty sposób wysławiania się oraz dodawanie w kilkunastu wypadkach nawiasowych tłumaczeń niemieckich poszczególnych wyrazów tam, gdzie zachodziłaby niemożność zrozumienia wyrazu polskiego, oraz takie zdania artykułu: „Bądźmyż więc, Szanowni koledzy, w każdym względzie wiernymi: wiernymi królowi i ojczyźnie, jako też Bogu i kościołowi. Trzymajmyż z tymże nietylko jako chrześcijanie i parafianie, lecz jako chrześcijańscy nauczyciele i wychowawcy młodzieży chrześcijańskiej”. Otóż ten zwrot „Szanowni koledzy” mógłby świadczyć, że tak pisał zapewne nauczyciel. W ten sposób odpaść powinno przypuszczenie przypisania

<sup>15</sup>) Jan Skryba (K. Prus). Karol Miarka. Katowice-Cieszyn 1924.

<sup>16</sup>) Nr 15 z 1870 (dodatek).

<sup>17</sup>) Nr nr 45, 47 z r. 1868.



autorstwa „Odezwy” Karolowi Miarce. Zre-sztą gdzie indziej była również o tem mo-wa<sup>18)</sup>. Zamieszczając „Odezwę”, redakcja „Zwiastuna” zwraca się z prośbą do duchowieństwa o podanie jej nauczycielstwu do wiadomości. Autor „Odezwy” z początku pi-sze, że „mowa jest drogą komunikacyjną dusz między sobą; jest skutkiem podziwienia godnego połączenia ducha z ciałem do two-rzenia świata wewnętrznego człowieka, ina-czej każdemu zamkniętego”, dalej wspomina, że rząd pruski „jest za ludzki, sprawiedliwy i liberalny, aby komu zabronić języka” ojczy-stego, nie może też mieć żadnych obaw, bo „tradycje i sympatje narodowe — — zupeł-nie są obce” ludowi śląskiemu. „Jeżeli więc język polski w kościele niezbędnie jest po-trzebnym, to go też w szkole trzeba uczyć; a inaczej pokolenie młode nie mogłoby kor-zystać z kazań, śpiewów i publicznych mo-dłów kościelnych, bo wszystko się odprawia w języku czysto polskim”. Należy zatem uczyć języka literackiego, książkowego, wy-zybując się cech gwarowych. Oczywiście trudno jest nauczyć dzieci, mówiące gwarą, ale i Niemcy podobne mają kłopoty z wła-snymi dialektami. Ażeby móc dobrze czy-stego języka nauczyć, sami nauczyciele mu-szą nim władać doskonale. W dalszym ciągu autor podaje szereg pisarzy dawniejszych, następnie śląskich, kończąc zaleceniem czy-tania „Zwiastuna”.

Nie wszystkie uwagi „Odezwy” były czemś nowem, wiele z nich wyczytać moż-na w poprzednich numerach „Zwiastuna”, o jednym wszakże „Odezwa” wymownie przekonuje, że sprawa języka polskiego była żywotną, że gdzie drukowano słowo polskie, tam troska o czystość języka polskiego przo-dowała.

Artykuł p. t. „Szkoła i kościół”<sup>19)</sup> zmie-rza do uzasadnienia konieczności szkoły wy-znaniowej, zwalczając szkołę bezzwyznaniow-ą. Liberalizm w Niemczech, i nietylko w

Niemczech, dochodził stopniowo do głosu, by w walce kulturalnej osiągnąć najwyższy stopień swego wpływu. Temu kierunkowi, o ile możliwości, przeciwstawiano się. Autor artykułu tłumaczy, że kościół to matka, a szkoła — córka, że „nauczyciel jest rządcą szkoły swej i pomocnikiem kapłana, oprócz tego członkiem kościoła i parafjaninem; kap-lan zaś — jako sługa kościoła — zrodzo-nym dozorcą i najbliższym przełożonym szkoły”. Pod opieką duchowieństwa jest nie-wątpliwie nauczycielstwu lepiej, aniżeli pod nadzorem władzy świeckiej. Znajdują się jeszcze inne argumenty, w dalszym ciągu popierające zasadniczą tezę, między niemi kwestja wolności. „Wolność zresztą — czy-tamy — ma granice bardzo niewyraźnie skre-słone, tak iż bardzo łatwo i prawie bez wie-dzy je można przekroczyć. Wyrażającą toż igraszkę słów (Wortspiel) znalazłem w ję-zyku niemieckim co do wyrazu Freiheit (wolność). Weź z niego tylko kropkę, a po-wstanie z Freiheit: Frechheit (zuchwałość), prowadząca do rozwiązłości”. Wpływ kościo-ła na szkołę ma dla niego doniosłe znacze-nie, chodzi tu nawet o jego egzystencję, bo, jak autor powtarza za jedną z gazet, pod po-krywką liberalizmu szkoła „ma się pozba-wić chrześcijaństwa”, dalej szkoła bezwyzna-niowa zajmuje względem kościoła nieprzyja-zne stanowisko i wreszcie „dla kościoła jest niepodobna środkami swemi sparałizować wpływ szkół liberalnych”. Przecież szkoły najpierw zakładali duchowni, dlatego nie-chętnie ze swych praw kościół będzie rezy-gnował, tem więcej, że dotychczasowy stan rzeczy nie był zły. „W osobie radców i in-spektorów szkolnych łączy się potęga władzy królewskiej i biskupiej, świeckiej i duchow-nej w sposób zadowalniający, jakby praw-dziwie lepiej być nie mogło, i katolicy śląscy mają wszelki powód z kościelnych i religij-nych stosunków swych szkół być kontenci”. Dlatego poprzednio przytoczone zakończenie ma swoją wymowę i swoją rację.

Zagadnieniem czysto szkolnem zajął się Otto Parczyk w artykule p. t. „Które są naj-główniejsze środki do kształcenia młodzieży

<sup>18)</sup> Dr Jan Dąbrowa, Z walk o język polski na Górnym Śląsku, Ogniskowiec, XI (1935), nr 3.

<sup>19)</sup> Nr nr 48, 49, 50, 51, 52 z r. 1868.

w szkole elementarnej”<sup>20</sup>). W nieco zawikłany miejscami sposób przedstawił autor sprawę nauki szkolnej. „Jeżeli za pomocą nauki — pisał — chcemy tylko siły dziecięce rozwinąć i ukształcić, nazywamy to nauką wychowania czyli formalną, od której różniamy naukę materjalną, której zadaniem jest obsypywać dzieci różnymi potrzebnymi i pożytecznymi wiadomościami. Dlatego nazywamy kształcenie formalne wykształceniem wszystkich sił dziecięcych przez czyn czyli karność; materjalne zaś kształcenie zapasem potrzebnych i pożytecznych wiadomości przez słowo czyli naukę”. Jak stąd widać Parczyk tworzy częściowo terminologię własną, ewentualnie przyjętym wyrazom nadaje specjalne znaczenie, w tym wypadku wyrazowi karność. Sądzić można, że dzisiejsze znaczenie wyrazu karność, jakkolwiek posiada szeroki zakres, odpowiada dawniejszemu. W pojęciu Parczyka karność to właściwie charakter. Nie zapomina również o wychowaniu moralnym, polegającym na opanowaniu złych skłonności. Trzy zatem rzeczy w wychowaniu są niezbędne: „Pierwsza jest potrzeba, aby dziecko czuwało nad sobą samem, nad swoim postępowaniem, druga, ażeby uważało na nasze słowa, tj. naukę i głęboko ją w pamięci zachowało dla własnego użytku”, wreszcie „przykładna osobistość nauczyciela — — jest najdoskońalszym środkiem do kształcenia młodzieży szkolnej”. Oczywiście wpływ religii na wychowanie istnieje i jest konieczny, czego zbyt szeroko Parczyk nie uzasadnia. Jeszcze jedną uwagę warto podkreślić, mianowicie pogląd na naukę szkolną, który nic dzisiaj nie stracił na swej aktualności: „Wszelka nauka szkolna musi być wzięta z życia, zastosowana do życia i wprowadzać człowieka w życie”. Ale czy te poglądy Parczyka są jego własnymi, czy powtórzonemi częściowo, trudno stwierdzić, tem bardziej, że na żadne źródło autor nie powołuje się. W każdym razie Parczyk niewątpliwie przedstawiał sobą typ świadomego swych zadań i obowiązków

<sup>20</sup>) Nr 51 z 23. XII. 1870 (dodatek).

nauczyciela, w poglądach swych był postępowym, na co wskazywałby jeden wiersz jego, niby bajka, rozwlekły i nudnawy, ale nie pozbawiony głębszej myśli. Tytuł: „Rak delikwent”<sup>21</sup>). Mowa w tym utworze jest o raku, który znalazł się kiedyś bardzo dawno w mieście, gdzie wogóle raków nie znano, nie było tam szkół i nie znano ich nawet z książek. Pewnego razu przez miasto przejeżdżały wozy, naładowane rakami, jeden rak spadł z wozu i od razu powstało zbiegowisko. Syn prezydenta miasta, chcąc mu bliżej się przypatrzeć, wziął raka do rąk, a ten kleszczami skaleczył mu nos. W następstwie tego odbył się sąd nad rakiem. Skazano winowajcę na śmierć, ale do wykonania kary zabrakło kata. Jeden z ławników radził go utopić w rowie, gdzie niegdyś „czarownice i cioty” pławiono. Cafe zaś zdarzenie należało opisać w kronice miasta. Cel tego utworu tak autor wyjaśnił:

Nietylko czytelników zabawić tu myślę,  
Główny cel tej powiastki następnie im skryśle:  
O postęp oto z czasem, bracia, się starajmy,  
Dawnym dziś już przesądom góry brać nie dajmy;  
Chcąc zaś temu położyć tamę jak należy,  
Nad wykształceniem silnie pracujmy młodzieży;  
Niech nam nigdy nie wraca czasu pora taka,  
Gdzieby, jak w tej powiastce, sądzono znów raka!

Myślowy związek ze współczesną epoką pozytywistyczną widoczny.

Zartobliwe opowiadanie, ale już napisane prozą, podał w dziale Rozmaitości Rassek pt. „Filut doskonały”<sup>22</sup>). Tym filutem jest syn budowniczego skarbcza okrutnego faraona. Ponieważ ojciec umierając wskazał mu i jego bratu tajne wejście do skarbcza, przeto chodził tam często, zabierał skarby i rozdawał gnębionemu ludowi. W tej pracy nietylko że nie został schwytany i ukarany, ale w następstwie tego i sprytowi zawdzięczając, zdobył sobie córkę faraona za żonę. Opowiadanie jest ciekawe, szczególnie dla młodzieży, dlatego słusznie umieszczono je (oczywiście w innym opracowaniu) w podręczniku do nauki języka polskiego do I klasy

<sup>21</sup>) Nr 10 z 9. III. 1871 (dodatek).

<sup>22</sup>) Nr 18 z 4. V. 1871 r. (dodatek).



gimnazjalnej<sup>23</sup>) w dziale czytanek o starożytnym wschodzie p. t. „Złodziej z Memfisu”.

W tym samym roku, tylko w parę miesięcy wcześniej, zamieścił Rassek krótki okolicznościowy wierszyk, związany z życiem bieżącym. Akurat wojna francusko-pruska dobiegała końca, wielu Ślązaków miało z niej wrócić, a niejeden spoczywał w grobie na żyznych polach Francji. Wiersz ma tytuł „Pociecha”<sup>24</sup>). Składa się z czterech czterowierszowych zwrotek. W pierwszej zwrotce mówi autor o tem, że matki powinny modlić się do Matki Boskiej o ich synów, a o ile ci nie wrócą, to spotkają się w niebie, gdzie niema smutku (druga zwrotka). Trzecia zaś zwrotka zawiera również radę dla żon, by się modliły o powrót swych mężów, a w czwartej dziewczęta niech się modlą o swych kochanków. Nastrój wiersza pełen powagi i rezygnacji chrześcijańskiej. Mówiąc jeszcze o pismach Rassa poważniejszej treści, warto wspomnieć artykuł o miłości macierzyńskiej<sup>25</sup>), tłumaczonej czy przerobionej z języka niemieckiego, co pod tytułem zostało zaznaczone. Dlatego też oryginalność autora jest tutaj minimalna, ograniczyć się tylko można do krótkiej wzmianki.

Rassek, jak z wspomnianego opowiadania „Filut doskonały” wynika, pisał rzeczy o zabarwieniu humorystycznym. Są to dłuższe albo krótsze anegdoty i dowcipy, których jest znaczna ilość głównie w dodatkach do „Zwiastuna”. Oryginalność ich wątpliwa. Nie zaszkodzi zapewne, jeżeli dla przykładu poda się dwie anegdoty. Pierwsza dłuższa brzmi mniej więcej tak: Żandarm prowadzi z Wodzisławia do Raciborza złodzieja podczas burzy i narzeka, ile dla niego musi znosić dolegliwości, wówczas delikwent oburzony oświadcza, że żandarmi powinni być wdzięczni złodziejom, bo właściwie do czego byliby wówczas przydatni. Drugi dowcip

z nienowym tematem, żydem. Major zwraca się do bataljonu: „Żołnierze! będzie krwawa bardzo bitwa, pójdzie chłop przeciw chłopu. Spodziewam się, że będziecie walecznymi. Żołnierz (z ludu izraelskiego): Aj, waj, aj, waj. Pan major raczył powiedzieć, iż pójdzie chłop przeciw chłopu, aj, waj, aj, waj, krwawa bitwa, aj, waj. Proszę więc Waćpana mego chłopu mi pokazać, radbym się z nim ugodził”.

Redakcja „Zwiastuna” starała się w ostatnich dwóch latach o urozmaicenia częściowo pisma przez nietylko wspomniane anegdoty, ale przez różnego rodzaju wierszowane zagadki, na które wierszem również odpowiadali niektórzy czytelnicy, między nimi i nauczyciele, nawet z poza obszaru Górnego Śląska, np. J. Osuchowski z Dębna w Galicji. Spotkać można kilka zagadek aż nazbyt ludowych, których lepiej wogóle nie powtarzać.

Trzy sprawy w końcowej uwadze należy podnieść. Po pierwsze udział nauczycielstwa w pracach głównych pisma był znaczny, o czym przekonać się można było w dotychczasowych uwagach, po drugie problem szkoły znalazł swój oddźwięk głównie w sprawie nauczania języka polskiego, kontaktu rodziców ze szkołą i wogóle wychowania szkolnego i wreszcie po trzecie w uprzyśtępnieniu i uprzyjemnianiu czytania „Zwiastuna” nauczyciele okazali pomysłowość i współpracę.

Jeśli też chodzi jeszcze o współpracę, to przypuszczać trzeba, że nietylko wymienieni nauczyciele nadsyłali artykuły, niewątpliwie było ich więcej, są oni między tymi autorami, którzy pod artykułami nie podpisywali się. Tak więc uczyniona z samego początku uwaga o pozytywnej współpracy nauczycielstwa ze „Zwiastunem”, jak sądzić można na podstawie przedstawionych rozważań, znalazła niewątpliwie potwierdzenie. W miarę swoich możliwości i zdolności nauczycielstwo ciążący na niem obowiązek społeczno-narodowy wypełniało.

<sup>23</sup>) Balicki i Maykowski: Mówią wieki, cz. I.

<sup>24</sup>) Nr 5 z 3. II. 1871 r. (dodatek).

<sup>25</sup>) Nr 17 z 24. IV. 1871 r.



## Toponomja śląska a polityka.

*Rozważania nad akcją „oczyszczania” nazw miejscowości na Opolszczyźnie.*

*Dokończenie.*

### III.

Kwestja „nazwania” łączy się nierozdzielnie z kwestją „własności”, „autorstwa”, z prawem nazwania przez twórcę swego tworu językiem własnym. Prawo to obowiązuje po dzień dzisiejszy i jest szanowane przez świat kulturalny. Twórca, odkrywca, wynalazca nazywa własny twór swego umysłu czy swych rąk nazwą według własnego widzimisię. Obserwujemy ten objaw na całej długiej przestrzeni wieków także w dziedzinie toponomastyki miejscowości.

Jeżeli naród spotyka na swej drodze twór obcego narodu, i usłyszy obcą mu nazwę, zatrzymuje tę nazwę, oczywiście w formie, dostosowanej do praw jego własnej wymowy, w postaci więc mniej lub więcej asymilowanej. Przejawia się tu poszanowanie obcej twórczości.

Tak też było tu na Śląsku w okresie osadnictwa niemieckiego. Nowi osadnicy niemieccy nie tworzyli nowych nazw, lecz przyjmowali nazwę polską wszędzie tam, gdzie osadę swoją oparli bezpośrednio o istniejący już twór osadniczy polski. Pojmowali więc swoją czynność osadniczą jako rozbudowę istniejącej już osady. Nastąpiła tylko asymilacja językowa pierwotnej polskiej nazwy. Natomiast korzystali niemieccy osadnicy ze swego prawa dowolnego nazwania nowotworu osadniczego nazwą swojską, czysto niemiecką, wszędzie tam, gdzie nowotwór był wyłącznym ich dziełem i powstał na nowiu, bez oparcia się o dawniejszą osadę polską.

Jak się zagadnienie to przedstawiało w okresie repolonizacji pasm osadniczych etnicznie niemieckich na Górnym Śląsku? Okres ten, od połowy XV w. się zaznaczający, potwierdza w zadziwiający sposób ogólnie

nie znaczenie powyższego prawa własności. Wszędzie tam, gdzie osada miała nazwę niemiecką, gdzie więc osada była wyłączną własnością twórczości niemieckiej, ludność polska czy polszcząca się nie tworzy nowej polskiej nazwy, zatrzymuje niemiecką nazwę, również oczywiście w dostosowaniu do wymowy polskiej. Powtarza się to samo, co widzieliśmy w okresie kolonizacji. Stąd owe Goczałkowice, Markłowice, Rydułtowy, Rudoltowice, Komprachczyce, Krywałdy, Szywałdy i t. d. Upodobnień niemieckich pierwotnie polskich osad oczywiście nie uznawała ludność polska (właśnie ze względów językowych) i przywracała (a raczej nadal używała) właściwe pierwotnie polskie nazwy; to znaczy o ile Niemcy osadę na pniu polskim stworzoną nazywali upodobnioną nazwą (n. p. Studnia — Staude), to teraz wróciła oczywiście pierwotna nazwa („Studnia”) do wyłącznego stosowania.

Ale to wiek XV i XVI — a jak się ma rzecz w naszych czasach? Odpowiedź brzmi: zupełnie tak samo, oczywiście tam, gdzie zasada naturalnego działania nie została przerwana sztuczną ingerencją. Najlepszych przykładów dostarcza nam znowu Górny Śląsk, choć owo wysunięte przezemnie powyżej prawo „własności” wcale nie ogranicza się tylko do tutejszego społeczeństwa, ale obowiązuje wszędzie.

Otóż wiadomo, że zwłaszcza w ostatnich dziesięcioleciach przed wojną cały szereg miejscowości w tutejszem zagłębiu przemysłowym rozrósł się do potężnych gmin, że ponadto niektóre twory przemysłowe tworzyły same dla siebie duże nowe osady, oraz że powstało kilka zupełnie nowych osad w miejscach, gdzie dawniej nie było osiedli. Jak zachowała się tubylcza ludność wobec zagadnienia nazw tych tworów osadniczych? Otóż

stwierdzamy tu zupełną analogję do podobnego postępowania w powyższych dawniejszych okresach. Urzędowo nadano wielkiemu przedsiębiorstwu na terenie dawnej osady Hajduki nazwę „Bismarckhütte” i nazwę tę przeniesiono następnie na całą osadę. Ludność polska jednak mawiała nadal „Hajduki”, jeżeli chodziło o miejscowość; jednak robotnik polski mówił, że pracuje „na Bismarku”, o ile miał na myśli zakład przemysłowy. Natomiast tam, gdzie nowa niemiecka nazwa odnosiła się do nowotworu osadniczego, powstałego całkowicie z inicjatywy i nakładem Niemców, bez oparcia się o dawniejszą osadę, tam ludność polska nie tworzyła swej własnej polskiej nazwy, a przejęła niemiecką. Tak n. p. mówiono: w „Giżywaldzie”, pracuje na „Oheimie” i t. d. Wiadomo, ile wysiłków czyniła n. p. tutejsza prasa polska już przed wojną, aby wśród ludności zaprowadzić polskie namiastki tych nazw niemieckich, a nie udało się to. I tu w podświadomości poniekąd odzywało się u ludności poczucie, że inicjatywa, autorstwo pomysłu i tworzy, zawiera w sobie także prawo nadania własnej nazwy przez inicjatorów i twórców, którą trzeba więc przejąć w oryginalnem brzmieniu, ma się rozumieć w formie, wygodnej dla wymowy polskiej.

I w tem miejscu byłaby sposobność nawiązania do rady, jaką daje prof. Krause w powyższym artykule w sprawie tworzenia namiastek niemieckich przez „dostosowanie” do brzmienia pierwotnego, że winno to nastąpić z „siłą języko-twórczą” (mit sprachschöpferischer Kraft). — Czy się to zawsze udaje?

Nie trzeba być prorokiem, aby przewidzieć, że wtenczas Śląsk Opolski w swej zniemczonej szacie (przynajmniej na mapach i w spisach miejscowości) otrzymałby fizjognomję jedyną w swoim rodzaju na ziemiach niemieckiego wschodu, której sztuczna struktura podpadłaby odrazu w swej odrębności od terenów sąsiednich, gdyby tam zrobiono „całą robotę”. Niewątpliwie wtenczas Śląsk Opolski nabrałby oblicza bardziej niemieckiego niż n. p. Brandenburgja czy Meklen-

burgja, gdyż te od długich wieków zniemczone kraje słowiańskie nie przechodziły nigdy nijakiej sztucznej akcji niemczenia ich nazw; wszystko tam powstało drogą naturalnej ewolucji językowej asymilacji i od wieków już utarły się dzisiejsze zasymilowane formy. Toponomja tych ziem, acz dziś jeszcze wyraźne znamiona słowiańskości niosąca, jest jednak wiekami uświęcona, a tem samem zabezpieczona przed sztuczną ingerencją niemczenia, i nie grożą jej dziś już żadne czyścicielskie zabiegi. Pozostaną więc nieknięte słowiańskie nazwy, jak Starogard, Rostock, Buskow, Doberan i tysiące podobnych drobnych osad o słowiańskich, a na Śląsku i Pomorzu polskich nazwach.

„Upodobnienie” nie jest bowiem sprawą, którą można narzucić z góry urzędowem rozporządzeniem. Cytowane u Krausego upodobnienia polskie pierwotnie niemieckich nazw (pochodzących z XVIII i XIX wieku) w województwie śląskiem, jak Hołdynów (Anhalt), Laryszów — z Larischdorf i t. p. są wynikiem naturalnej asymilacji dźwiękowej ze strony tutejszej polskiej ludności. Nie była tu czynna żadna ingerencja czynników urzędowych, a polskie dźwiękowe namiastki powstały wszędzie omal równocześnie z narzuceniem czy powstaniem tej nowej nazwy niemieckiej. Polskie Hołdynów (zam. Anhalt) nie nawiązało do formy „Anhalt”, lecz do pierwotnej również niemieckiej coprawda formy „Haldan” („Holt-an”), jaką nadali pierwotnie koloniści niemieccy tej swej osadzie (około r. 1770). Z „Holtan” powstało więc zupełnie prawidłowo (według zasad fonetyki i imieniotwórstwa polskiego) spolszczone „Hołdynów”, „Hołdunów”, a to również już w XVIII wieku!

Tak samo we wszystkich dalszych wypadkach, zresztą bardzo nielicznych, polski odpowiednik pierwotnie niemieckiej nazwy nigdzie nie jest dowolną namiastką sztuczną, lecz wszędzie jest naturalnym tworem językowej kultury polskiej tubylczej ludności.

#### IV.

Polska, przejmując pod swoją państwowość ziemię śląską, była właśnie w tem szczę-



śliwem położeniu, że na każdej piędzi górnośląskiej ziemi spotykała polską toponomastykę terenową, od niepamiętnych wieków utartą wśród tubylczego ludu śląskiego i nie zachodzi nigdzie potrzeba tworzenia sztucznych polskich nazw.

Przy objęciu przyznanego Polsce terenu w r. 1922 jedyne omal odchylenia od jednolite polskiego wyglądu językowego ziemi były nieliczne zresztą nazwy niektórych stacji kolejowych, które jako twory nowe, nie raz w pewnym oddaleniu od miejscowości, nazwane zostały nazwą niemiecką, wziętą czy to od pobliskiego zakładu przemysłowego, czy jakiej innej okoliczności. Nazwy takich przystanków kolejowych, jak Egerfeld, Lda-weiche, Emanuelssegen, Friedrichsgrube, Stahlhammer i t. p. były nadawane bez oglądania się za istniejącą już polską nazwą terenu, na którym przystanek wyrósł. Znosząc te niemieckie nazwy, czynniki polskie zastąpiły je prastaremi nazwami, jakie również od dawnych czasów ludność polska zwykła była stosować do danej osady, czy też danego terenu (choć czasem niezamieszkałego). Tak więc wróciły do oficjalnego znaczenia prastare nazwy Rzędówka, Ligota, Murcki, Jaśkowice i t. d. I tutaj nikt nie może słusznie zarzucić bezceremonjalnego polonizowania niemieckich nazw, gdyż każdy trzeźwo i sprawnie myślący uzna słuszność postępowania czynników polskich, okazujących więcej pietyzmu dla prastarych zabytków własnej językowej kultury tubylczej polskiej ludności, niż dla przygodnie dobranych przed kilkudziesięciami laty nazw przedsiębiorstw kilku obcych baronów węglowych, eksploatujących skarby polskiej ziemi.

Nazwy osad, które od samych początków nosiły brzmienie niemieckie, ludność tutejsza już w wiekach średnich upodobniła do wymowy polskiej i nazwy tu w tej formie zostały pod rządami polskimi nietknięte. Nazwy niemieckie późniejszych tworców osadniczych, n. p. kolonij fryderykowskich z końca XVIII w., które przeważnie otrzymały od dziedziców nazwy niemieckie, ludność również już w pierwszych latach ich istnie-

nia upodobniła do wymowy polskiej, a to tembardziej, że załoga tych kolonij była omal bez wyjątku polską, o ile chodzi o obszar województwa śląskiego. Ten sam los spotkał niemieckie nazwy folwarków dominjalnych. Wszędzie więc forma upodobniona do wymowy polskiej w wypadkach pierwotnie niemieckiej nazwy tworu osadniczego powstała w województwie śląskiem drogą naturalnej ewolucji i na podstawie naturalnych praw głosowych i nazwotwórczych przez ludność tubylczą, bez późnych uchwał czynników czy to samorządowych czy rządowych. Stąd też cała toponomastyka terenowa w obrębie województwa śląskiego ma wygląd wiernie historyczny, żadną sztuczną ingerencją nieskażony.

Trudnem do zrozumienia jest twierdzenie W. Krausego, że „Polska po przejściu województwa śląskiego w roku 1922 spolszczyła za jednym zamachem wszystkie nazwy miejscowości”. Słowa te świadczą wyraźnie o zupełnie błędnem nastawieniu autora do istoty zagadnienia nazw miejscowości. Krause nie czyni nawet ograniczającego zastrzeżenia, że chodzićby mogło tu o niemieckie nazwy miejscowości, gdyż mówi wyraźnie „alle Ortsnamen”, nie tylko „alle deutsche Ortsnamen”. Sądzi więc widocznie, że wszystkie tu u nas nazwy w województwie były niemieckie!

A jak było i jest w rzeczywistości? W rzeczywistości „Polska” nie spolszczyła ani jednej nazwy miejscowości na Polskim Górnym Śląsku!

Następująca anegdotka zawiera wyjaśnienie pewnego źródła tego właśnie błędnego nastawienia:

W kilka miesięcy po objęciu przez Polskę na Śląsku władzy państwowej, jedzie pewna poczciwa para starszych Niemców, która po plebiscycie przeniosła się z Rybnika na Śląsk niemiecki, w odwiedzinę do Rybnika. Na znanej im przestrzeni z Katowic do Rybnika widnieją jednak teraz polskie napisy stacji, więc Ligota, Piotrowice, Mokre i t. d. Zrezygnowani szepczą jeden do drugiego: O, co to z naszymi pięknymi nazwami niemieckie-



mi powyrabiali ci Polacy! — Ale cóż to, wysiadając w Rybniku, nie chce im się wierzyc oczom: nazwa nietknięta: na budynku stacyjnym widnieje dawny napis „Rybnik”! Wtenczas wydobywa się z piersi tego poczciwca westchnienie zadowolenia: „Na, Rybnik haben sie doch wenigstens deutsch gelassen”! (No — Rybnik przynajmniej zostawili Polacy nadal niemieckim.)

Jasnym jest, że jednym z źródeł jest tu brak wszelkiej świadomości w odróżnieniu „swego” od „obcego”, czyli co jest własnością zasobu kultury językowej jednego czy drugiego narodu. „Rybnik” anektuje ów Niemiec dla własnej kultury językowej dlatego, że z nazwą tą się otrząsał, że nazwa ta figurowała w urzędowych, niemieckich spisach w tej właśnie, notabene zupełnie polskiej formie. Jest to ciekawy przykład dla faktu, że w odczuwaniu jakiegoś brzmienia jako „swojskiego” nie decyduje u językowo nieświadomych ludzi jego właściwa przynależność do zasobu językowego danego narodu, a raczej odgrywa w tym kierunku rolę czynnik emocjonalny.

Niemiec (śląski) uznaje za „niemieckie” formy nazwy, jak: „Oppeln”, Strehlitz, Pohlom, Gleiwitz i t. p., choć wie, że pochodzą z polskich zasobów językowych; jednak w wymowie nie sprawiają mu trudności, mieszczą się w ramach pisowni niemieckiej, a przedewszystkiem ucho z ich brzmieniem tak się otrząsało, że nazwy te stały się dla Niemca swojskimi. Tak jest zresztą przy wszystkich nazwach miejscowości, których początki (etymologicznie) sięgają do czasów pradawnych i których postać dzisiejsza już w nowoczesnym zasobie języka danego narodu nie znajdzie odpowiednika. Tak jest zresztą i w polskich stronach. Pszczyzna, Łędziny i szereg innych, to dziś już jedynie brzmienia o całkiem konkretnym znaczeniu indywidualnej miejscowości; nie można w dzisiejszym zasobie języka polskiego odnaleźć składników tych nazw.

Lud polski od zarania czasów pokrył całą Śląsk barwną mozaiką swych nazw terenowych. Cała tutejsza toponomja w swej pier-

wotności nie wykazywała ani śladu niemieckości. Na ziemi górnośląskiej, obojętnie, czy był to teren zamieszkały, czy też stanowił część odległych ostępów leśnych, tutejszy mieszkaniec znał dla nich od wieków utartą i przekazywaną nazwę polską. Tak więc dla germanizatorów było trudno wśród miejscowej ludności zaprowadzić niemiecką nazwę dla nowotworu osadniczego w ostatnich dziesiątkach lat. Kilka przykładów wyjaśni tę sprawę:

Gdy na przetrzeni kolejowej Orzesze-Rybnik miał otrzymać swoją nazwę nowy przystanek kolejowy, wybrano niemiecką nazwę „Egerfeld”, nazwę w sąsiedztwie się znajdującego folwarku oraz kolonji z końca XVIII w. Przystanek znajdował się na nieosiedlonym terenie leśnym, który to rejon leśny miał prastarą u ludności tutejszej utartą nazwę „Rzędówka”. Tą nazwą też oznaczono dawniej kolonję domków z końca XVIII w. Kiedy więc obok budynku stacyjnego powstało jeszcze kilka dalszych zabudowań urzędniczych, cała grupa osadnicza u ludności polskiej zachowała nadal polską nazwę „Rzędówka”<sup>21</sup>). Nazwa niemiecka „Egerfeld” pozostała nazwą stacji na biletach i w rozkładach jazdy, a więc wyłącznie w mowie i w piśmie niemieckim. Tutejszy polski robotnik n. p. przy okienku na stacji żądał biletu do „Egerfeld”, jednak w następnej chwili, zwracając się do kolegi po polsku,

<sup>21</sup>) „Rzendowka”, tak pisana jest ta kolonja w zestawieniu śląskich miejscowości, jakie sporządził w roku 1855 Adolf Behunek: „Alphab. — tabell. Verzeichniss sämtlicher Städte, Flecken, Dörfer und anderer Orte Schlesiens”, Steinau a. O. 1855. Ale najlepsze to, że jeszcze oficjalny „Verzeichniss der an Polen abgetretenen Ortschaften” podaje pod Egersfeld (na str. 111) formę „Rzendowka” jako urzędową nazwę notabene nie polską, ale niemiecką! (Wogóle, również tak na ucho, — wydawcy tego spisu urzędowych nazw niemieckich z roku 1930(!) „dorobili” niechcący kilka nazw polskich, które w ostatnich spisach niemieckich wcale w formie polskiej nie były znane, jak np. „Wyry-Hof”, „Alt-Holdunow” i szereg innych. Przypuszczam, że to fatalna omyłka czy niedopatrzzenie ze strony autorów tego spisu!)

mówił, że kupił właśnie bilet do „Rzędówki”. Jednak wypadek ograniczał się tylko do najbliższej okolicy owej Rzędówki; już kilka wsi dalej ta polska nazwa nie była znana i ludność polska w razie potrzeby używała oczywiście niemieckiej nazwy. W redakcjach polskich dzienników i czasopism sprawiało to niemało kłopotów, gdy się napotkało na taki niemiecki nowotwór, dla którego nie było polskiej namiastki pod ręką. Radzono sobie tam jednak jakoś. W wypadku powyższym wysłano współpracownika redakcji do „Egerfeldu”, który też wnet u miejscowej ludności wydobyl polską nazwę, właśnie owe pierwotne terenowe określenie: Rzędówka, i odtąd redakcja już stale używała tej polskiej nazwy, dodając niemiecką nazwę w nawiasach.

Powyższy wypadek stanowi poniekąd ostateczność naturalnej zachowawczości polskiego dorobku językowego i przeforsowania rodzimej polskiej nazwy miejscowości, choć tu już trzeba było pewnego zabiegu propagandowego.

Tam, gdzie polska nazwa terenowa (obszaru nieosiedlonego) znaną była tylko miejscowym (leśniczym, robotnikom leśnym, woźnicom), na ogół jednak rzadko tylko była w używaniu nawet miejscowej ludności, tam nazwa polska obok niemieckiej nazwy przypadkiem tam powstającej nowej osady nie mogła się utrzymać, i od samych początków ustąpiła miejsca niemieckiej. — Wypadek taki mamy n. p. przy nowej osadzie „Gieschewald”. Ta nowa osada powstała pośród lasów w r. 1910. W tym późnym okresie znajomość dawnych polskich nazw rejonów leśnych tego nowego obszaru osadniczego ograniczała się tylko do kilku funkcjonariuszów leśnych i robotników leśnych. Ludność polska, najbliższej tego miejsca dawnej wsi, nie znała polskiej nazwy tego terenu leśnego, przeto też bez jakichkolwiek ceregieli przyjęto pełną formę nazwy niemieckiej omal bez zmian głosowych jako „Giżywald”. Propagowana przez prasę polską forma „Giszowiec”, jako bardziej odpowiadająca polskiemu procesowi tworzenia nazw miejsco-

wości zapomocą typowych sufiksów, początkowo jakoś u ludności polskiej nie chciała się przyjąć i nastąpiło to ostatecznie dopiero za rządów polskich. Podobna reakcja ze strony ludności polskiej wobec niemieckich nazw nowotworów osadniczych daje się zauważyć wszędzie tam, gdzie powstanie nowych osad o nazwach niemieckich odbyło się w takich samych okolicznościach zewnętrznych. Jednak wypadki takie można bez przesady policzyć na palcach.

Natomiast zrozumieć można onomastyczne kłopoty niemieckie na Śląsku Opolskim. Tam, to rzecz inna! Wspomniano wyżej, że dawnym czasem obcą była myśl traktowania zagadnień językowych z punktu widzenia polityczno-państwowych racji. W wypadku proponowanej przez autorów powyższej akcji zniemczenia polskich nazw na Opolszczyźnie, zachodzi właśnie nieznaną dawnym czasem sztuczna ingerencja w procesie, który na tym terenie do czasów zarządzeń z r. 1873 odbywał się w drodze naturalnej ewolucji.

Prof. Krause twierdzi, że nazwy polskie tam są nieużyteczne, że są niepraktyczne, że tak wymaga racja państwowa. Owszem, uznać należy i to. Nazwy polskie na ziemi Opolskiej mogą być trudne dla wymowy Niemca, który nie uważał za potrzebne zaznajomić się z językiem ludu od wieków tę ziemię zamieszkującego; są one nieużyteczne w razie potrzeby wykazania „niemieckości” tej ziemi, nawet wręcz niebezpieczne z punktu widzenia racji państwowej. To może się zgadzać.

Nie tak dawno kanclerz Rzeszy, Hitler, w przemówieniu swem zaznaczył: „Nie wydajemy żadnych wskazówek dla niemczenia nazw nieniemieckich, przeciwnie: nie życzymy sobie tego”<sup>22</sup>). O ile słowa te odnieść można także do nazw miejscowości, to padły one nieco za późno, gdyż krótko przedtem wspomniana „czystka” została właśnie ukoń-

<sup>22</sup>) „Wir geben keine Anweisung für die Verdeutschung nichtdeutscher Namen aus, im Gegenteil: wir wünschen dies nicht“. — Cytuję według „Ostland“, numer z czerwca 1935 roku.



czona i przypieczętowana przez władze. Poznikały do tego czasu wszelkie „nomina odiosa”, jakie dotąd na Śląsku niemieckim jeszcze były uszły zabiegom niemczenia. Najnowszy niemiecki spis miejscowości na Śląsku Niemieckim<sup>23)</sup> (z r. 1934) wykazuje w osobnym zestawieniu (!) około 60 nazw miejscowych, z których od roku 1913 zdjęto dotychczasową polską szatę a przybrano je w niemiecką. Pozaatem przez dokonane przed kilku laty scalenie przysiołków o polskich nazwach z gminą sąsiednią, poznikały również ze spisów urzędowych liczne nazwy polskie. Często spotykane określenie: „Polnisch” — przed nazwą miejscowości zostało tu wszędzie zniesione. Spis z r. 1934 wykazuje 28 zmian nazw miejscowości dokonanych przez skreślenie bliższego określenia „Polnisch”. (Bezstronność wymaga nadmienić, że i po stronie polskiej na Śląsku Górnym zmieniono określenie „Niemieckie” — przed kilku nazwami, zastępując to określenie przez „Wielkie” wzgl. „Małe”, n. p. Mała Wisła, Wielkie Piekary.)

Niewątpliwie nowe nazwy niemieckie przyjmą się w lot u Niemców, czy jednak zdołają wyprzeć polskie nazwy z mowy tamtejszego ludu polskiego? W to właśnie należy wątpić. Czy więc przy tej akcji „oczyszczania” Opolszczyzny z toponomastyki polskiej będzie się tam wskrzeszało od wieków zaginione trupy nazw niemieckich z okresu pierwszej fali kolonizacyjnej (co zresztą byłoby zupełnie legalnem postąpieniem Niemców), czy też będzie się stwarzało całkiem nowe nazwy niemieckie, to właściwie nic w polskim stanie posiadania nie zmieni. Nazwy niemieckie są dla użytku ludności niemieckiej, polskie dla polskiej, tak zawsze było i tego nie zmieni żadne zarządzenie.

Dopóty zresztą lud polski na Śląsku Opolskim posługiwać się będzie ojczystym językiem polskim, dopóty też nazwy polskie tam nie zaginą, ani jedna; — a sztuczne niemieckie nowotwory pozostaną tylko w ustach

mówiących po niemiecku. Tego prawa nie zmieni żadne przedsięwzięcie urzędowe.

## V.

Należałoby jeszcze zabrać głos w sprawie drugiego artykułu w „Ostdeutsche Morgenpost”, nawołującego społeczeństwo niemieckie do nieuznawania polskich nazw w województwie śląskim. Sprawa ta już częściej wyływała w prasie niemieckiej i nie znalazła ze strony polskiej należytej oceny. Zagadnienie to jest właściwie dwojakie i należy obie strony rozpatrzyć z osobna. Zredukowane terytorjalnie do Śląska możnaby zagadnienie to sformułować następująco: Czy t. zw. mniejszość narodowa ma prawo posługiwać się w obrębie przejawów własnej kultury narodowej nazwami nieoficjalnymi, jednak do zasobu ich kultury językowej należącymi? Druga strona tego zagadnienia: Czy t. zw. mniejszość narodowa ma prawo do nieuznawania nazw oficjalnych w życiu zbiorowo-państwowem? Odpowiemy na te pytania kolejno, przy równoczesnym rozpatrywaniu tak wywodów autora artykułu z „Ostdeutsche Morgenpost”, jak też przejawów tego problemu w praktyce życiowej na terenie śląskim jak i zagranicą. Sprawa ta jest zresztą silnie związana z poruszonymi w pierwszej części wywodami.

Autor w „Ostdeutsche Morgenpost” oburza się na to, „że wychodząca po stronie opolskiej Śląska prasa polska nie uznaje od 20 lat już zaprowadzonej czcigodnej nazwy „Hindenburg”, a pisze zawsze i wszędzie „Zabrze”. W myśl już nieraz przez samą prasę niemiecką dla własnego niemieckiego społeczeństwa wysuniętej zasady, zgodzi się chyba autor na to, że dla społeczeństwa polskiego nazwa „Zabrze” stanowi integralną część rodzimej kultury językowej. A co znaczą 20 lat używania przez ludność niemiecką nazwy Hindenburg wobec 600-letniego zaświadczonego, ciągłego przez polską ludność (a przed wojną nawet nietylko przez polską!) używania nazwy „Zabrze”! Przecież lud polski aż taką tradycją uświęconego zabytku swej kultury językowej nie może

<sup>23)</sup> Schlesisches Ortschaftsverzeichniss... Auf Grund amtlicher Unterlagen neu bearbeitete 12. Auflage, Breslau 1934.



porzucić z lekką miną! Ze trzyma się uporczywie swego posiadania narodowej kultury, to przecież okazuje tylko to, co zwłaszcza teraz tak silnie szerzy się wśród społeczeństwa niemieckiego: szacunek wobec przejawów własnej kultury narodowej!

Nie można mierzyć miarą dwojaką. Co się uznaje za przyrodzone prawo jednego narodu, tego drugiemu bronić słusznie nie można. Gazeta polska, pismo polskie, zwraca się w pierwszym rzędzie do swych ziomków, do rodaków; to samo przecież czynią i pisma niemieckie w Polsce. Stan posiadania kultury narodu panującego przez to żadnej szkody nie ponosi.

Tak więc tu w województwie śląskim, jak się codziennie każdy przekonać może, prasa niemiecka omal wyłącznie stosuje dawne nazwy z niemieckiego spisu urzędowego. Zresztą tu nazw właściwie niemieckich w ubocznych formach (obok polskich) jest stosunkowo niewiele (takie np. Goldmannsdorf, Timmendorf, Georgenberg i in.). W olbrzymiej części to, co Niemcy z nazw polskich wybili dla swej kultury językowej, ogranicza się do zamiany polskich „wice” na niemiecki „witz”, ale to „witzowanie” nikomu nie zaszkodzi. Nie można więc słusznie mieć zastrzeżeń przeciwko stosowaniu przez tutejszych Niemców tych nazw, które ich zdaniem są niemieckie (n. p. Kattowitz, Königshütte, Siemianowitz, Myslowitz i t. d.). Nikt nie może zabronić Niemcom tutejszym, żeby w rozmowie niemieckiej używali nazw, do których przywykli, jak nie można słusznie sprzeciwiać się używaniu tych asymilowanych nazw w prasie niemieckiej. To byłoby jasnym sformułowaniem zagadnienia. Jednak z drugiej strony przyznać należy to samo prawo mniejszości polskiej po tamtej stronie granicy. A jak wyżej wykazałem, nazwy tamtejsze mają tradycję starszą, wyrosły w pracasach, zrodzone przez dalekich przodków tej polskiej ludności i pielęgnowane były przez niezliczone pokolenia. Są ludzie (a nawet duże odłamy ludu), którzy nic nie mają prócz tego przycichłego brzmienia rodzimych nazw, którzy w tej kulturalnej bie-

dzie, do której ich przyprowadziła niesuamienna polityka wynaradawiająca, tulą do siebie te jedyne omal pamiątki językowe po wielkich swych przodkach. Któż się ośmieli wyrwać im tę pamiątkę i zniszczyć?

Jest jednak duża różnica w tem, czego bronią Polacy, a czego Niemcy. Jeżeli Polak trzyma się nadal swego „Zabrza” i t. p. nazw, za które podsuwa mu się obce namiastki, to staje on w obronie dobra własnej kultury narodowej, w formie zupełnie czystej niewątpliwie polskiej nazwy, integralnej części zasobu języka polskiego, polskiej kultury językowej. Jeżeli Niemcy stają w obronie nazw miejscowości z urzędowego spisu niemieckiego tych nazw, to czynią to w olbrzymiej części w stosunku do nazw niemieckich, a raczej tylko trochę „podniemczonych”. Bronią nazw takich jak Kattowitz, Berun, Myslowitz, Sohrau i t. p., nie występują w obronie zagrożonej kultury języka niemieckiego, gdyż nazwy te do zasobu tej kultury nie należą. Można by ich stanowisko zrozumieć przy ziemczeniach pełnych, jak: Georgenberg, Goldmannsdorf i t. p., lub też takich, gdzie przy przejściu ich z języka polskiego czynną była pewna zasada fonetyczna języka niemieckiego, jak Gleiwitz (i - ei), lub „Beuthen” (y na eu (oi)). Jednak w wypadku powyższych nazw o typie „Kattowitz” jasnym jest, że broni się tu fikcji, nazwy pseudoniemieckiej, z kulturą językową niemiecką żadnego wewnętrznego związku nie mającej.

A teraz sprawa druga: Niemiec czy w mowie czy piśmie nigdy inaczej nie powie ani nie pisze jak tylko „Mailand”, a nie Milano, tylko Florenz — nie Firenze i t. d. Tak jest też nawet na mapach przeznaczonych do użytku w kraju. Jednak chyba tylko całkiem nieuświadomiony zaadresuje list „in Mailand” zamiast „Milano”. — A poczta włoska w sprzyjających okolicznościach (t. j. jeżeli jaki włoski pocztowiec dopisze nazwę oficjalną), może nawet tak zaadresowany list dostarczyć adresatowi. Ale każdy zrozumie, że to nie w porządku, że to indywidualny wyjątek od zasady. Zasada mię-

dzynarodowa wymaga bowiem, aby w stosunkach urzędowych, służbowych, stosować nazwy oficjalnie w danym państwie uznane.

Tak więc, jeżeli jakiś członek redakcji wyżej wspomnianych pism polskich skierowuje list do Zabrza, to zaadresuje „in Hindenburg”; gdyby zaś na adresie figurowało „Zabrze”, to losy takiego listu są chyba wiadome autorowi artykułu w „Ostdeutsche Morgenpost”.

Czem innym bowiem są nazwy upodobnione do wymowy własnej, unarodowione poniekąd nazwy miejscowości zagranicznych, choć nie leżą w obrębie zwartego zamieszkania czy siedzib danego narodu. Jeżeli Niemiec mówi Mailand, Venedig (a Verona nawet w wiekach średnich u Niemców miała swojskie brzmienie: Bern), jak mówi Lütlich, Kopenhagen, Warschau, Krakau, Lemberg (choć w danym kraju tych form nie znają), to znaczy to, że z temi ośrodkami odbywała się silna wymiana dóbr kulturalnych, że nazwy tych miast tak często były na ustach niemieckich uczonych, polityków, kupców i innych ludzi, że nabrały z czasem brzmienia swojskiego, czyli dostosowane zostały do brzmień swojskich. Nie inaczej było w Polsce. I tu używa się czasem form innych, niż dzisiejsza forma urzędowa. Polak mówi i pisze n. p. Medjolan, gdyż z tem miastem łączyły zwłaszcza świat naukowy polski w okresie renesansu ściśle stosunki, a „Rzym” (Roma) już należy do bardzo dawnych uswojszeń polskich. Jednak skierowując korespondencję do tych miast, nikomu na myśl nie przyjdzie pisać Medjolan czy Rzym — to już leży w interesie własnym.

Jeżeli więc do mniejszości narodowej skieruje się postulat, żeby jednak we wszystkich wypadkach, gdzie słowo czy pismo wychodzi poza obręb wewnętrznej pielęgnacji kultury językowej danego narodu, zasadniczo stosowało nazwy oficjalne w danym państwie, to postulat ten może być uznany za słuszny. Wypadki, przypadające na pogranicze stykania się jednej i drugiej sfery, w której zachodziłaby wątpliwość co do stosowania nazw swojskich dla danej mniejszości, a ofi-

cialnych w danym państwie, interesowani rozstrzygnąć muszą według poczucia taktu i lojalności wobec danego państwa.

Autor artykułów w „Ostdeutsche Morgenpost” działa jednak według wskazówek wyższych, według planu postępowania, ustalonego w roku 1925 na zjeździe niemieckich geografów (Deutscher Geographentag) we Wrocławiu. Zjazd ten wydał do zainteresowanych kół społeczeństwa niemieckiego (wydawnictw podręczników geograficznych, atlasów, do szkół, do prasy i t. d.) odezwę, aby wszędzie tam, gdzie w toponomastyce zagranicznej istnieją uboczne formy niemieckie, dawano tym niemieckim nazwom pierwszeństwo. Rozpowszechnieniu tego zamiaru miał służyć „słownik niemieckich nazw miejscowości na pograniczu i zagranicą” (Wörterbuch deutscher Ortsnamen in den Grenz- und Auslandsgebieten), opracowany przez prof. dra Gradmanna, a wydany w Stuttgardzie w roku 1929. W przedmowie do tego słownika autor stara się rozproszyć wysuwane przeciwko używaniu nazw niemieckich w ruchu pocztowym z zagranicą trudności, pisząc: „Usunąć z świata niewygodę w ten sposób, żeby w tchórzliwym ustępowaniu poddać się poprostu wyrokowi obcej przemocy, zapomnieć o dawnych nazwach niemieckich a przyswoić sobie przeinaczone (verwelscht) drogą gwałtu formy, to byłoby poprostu zdradą narodu niemieckiego” (str. 4). Radzi więc stosować w korespondencji z zagranicą wyłącznie nazwy niemieckie, a tylko tam, gdzie poczta zagraniczna czyniłaby trudności w dostarczaniu przesyłek, można dodać, np. na drugim miejscu, oficjalną nazwę miejscowości. Jako przykład przytacza tu Gradmann: Lemberg — Lwów! — „Kto jednak — poucza dalej autor — na podstawie doświadczenia przekona się, że sama nazwa niemiecka wystarczy, aby list lub przesyłka została doręczona, ten jest zobowiązany używać wyłącznie nazwy niemieckiej.”

Świadczy to bardzo ładnie o uczuciach patriotycznych autora. Ale jakby ta sprawa wyglądała przy uogólnieniu tej zasady? Bo



co wolno Niemcom w interesie podtrzymania uczuć narodowych, to to chyba wolno i innym narodom, a więc i Polakom. I jak wtenczas rzeczby się przedstawiała? Analogiczny do słownika Gradmanna „słownik polskich nazw miejscowości na obszarach pogranicza i zagranicą” byłby oczywiście znacznie obszerniejszy od niemieckiego. Nasz słownik zawierałby naprawdę odwiecznie, rdzennie polskie nazwy, jakimi zasiana jest choćby tylko cała olbrzymia wschodnia połać Rzeszy Niemieckiej. Nie byłoby tam takich mieszkańców o zaledwie jednym piórku zabarwionem na modę niemiecką w rodzaju takich Lonkau, Lipine, Tschlaslau, Bogutschütz, Bielitz, Koschentin, Orawitza i t. d. i t. d., od których to nazw, mających wyobrażać „niemiecko-narodowy skarb językowy”, na każdej stronie owego spisu aż się roi. Pisalibyśmy wtenczas: Jawor, Ziembice, Świdnica, Oleśnica, Prudnik, Bolesławiec, Wro-

claw, Żegan, Zgorzelice, Krosno, Lipsk, Miśnia, Kamienica nad Sprewą i t. d. i t. d., a pocztowiec niemiecki, do którego przecież nie można zastosować określenia prof. Gradmanna, „że w niektórych okolicach wykształcenie urzędników poczty jest za niskie, aby zrozumieć obce nazwy”, otóż pocztowiec niemiecki wlot zrozumie te prapolskie nazwy i ze znaną akuratnością doręczy listy i przesyłki adresatom w powyższych miejscowościach, ongiś polskich (wzgl. słowiańskich), a dziś niemieckich. Proszę zrobić próbę.

Nawiasem dodać można, że uchwała wrocławska z roku 1925 nie dała w terenie pożądaných wyników. Zrodzona z uczucia zranionej dumy narodowej, nie liczyła się z życiem praktycznym, rzeczywistością życiową, a poza pewnemi próbami w rodzaju powyższych artykułów prasowych, nie czyniąc większych szkód, rozbiła się o zdrowy rozsądek społeczeństwa niemieckiego.

*Gustaw Morcinek.*

## Gamratka.

*Fragment z powieści p. t. Ondraszka<sup>1)</sup>.*

Dobrzy ludzie przywieźli skurczone zwłoki rektora Miscetusa, żeby je oddać żonie. Za wozem cisnęła się wrzaskliwa gawieź uliczna, pragnąca odchylić płótno i zobaczyć wykrzywioną twarz nieszczęśnika. Przepychano się więc, tłoczono, roztrącano łokciami, lecz co który uwiesił się rozwory i łokomą dłonią usiłował ściągnąć płótno, spadał z wozu. Na wozie bowiem siedział ponury Donocik i biczem dzielił przez natrętne łby.

Barbara akurat trefiła swoje czarne, bujne włosy, układała je w ciężkie pukle przed

zwierciadłem, kiedy postyszała zbliżający się zgiełk uliczny. Zaciekawiona postąpiła do okna. Potem szybko zawiązała włosy w ciężki węzeł na karku i wybiegła, albowiem zdawało się jej, że słyszy wołanie jakiegoś o rektorze.

— Toć to chyba jego wiozą! — pomyślała z odrazą. — Spił się u wójta Szebesty!...

Otrząsnęła się z niechęcią. Wszak znowu będzie musiała się bronić przed jego starcami karesami miłosnemi. Z gęby będzie mu cuchnąć gorzałką i starymi twarożkami, ślinić będzie jej usta w natrętne całowaniu, dotykać jej ciała zimnemi, dygocącemi paluchami, napierać małżeńskiej pieśczozy... Jeżeli naisto pijany, zamknie się w komorze, aż wytrzeźwieje. Potem nie ośmieli się na nią sięgać. Skamleć będzie tylko jak niemrawy żebak, pragnący jałmużny.

<sup>1)</sup> Fragment niniejszy, to piąty rozdział „Ondraszka”. Inne znajdzie czytelnik w poprzednich rocznikach „Zarania Śląskiego”, mianowicie: 1) Inkluz, VIII (1932), 194—199; 2) Na królewskiej drodze, IX (1933), 142—146; 3) Anabaptysta, IX (1933), 174—179; 4) Ślady na drodze, X (1934) 19—25; 6) Spotkanie, X (1934), 189—193. *Przypisek Redakcji.*



— Chłopa ci wieziemy umrzytego — zawołał na nią ponury Donocik, kiedy stanęła przed wozem.

— Pijany on, nie umrzyty! — rzuciła Barbara wzgardliwie.

— To sie podziwej! — rzekł spokojnie Donocik i biczyskiem zgarnął płótno z nieboszczykowej twarzy.

Zachnęła się Barbara gwałtownie, cofnęła przerażona, gdyż ujrzała na wozie rozwalone nawznak zwłoki swego męża. Wykrzywiona twarz zdawała się śmiać szyderczo, w rozchyłonych ustach czerniły się rzadkie, spróchniałe zęby, z kącików ust ciekła lepka ślina, a wytrzeszczone oczy ślepiły mętnie w słońce.

I na drobne mgnienie oka znowu wyobraziła go sobie, jak dopycha się do niej, jak ślini jej usta i wierzchołki piersi, jak je obmacuje spoconą, lepką i zimną dłonią, a z pomiędzy szczybatych zębów zieje odorem i szepieniami słowy o miłości.

— No co?... Długo tu będziemy stoli?... — ocucił się szorstki głos Donocika.

— Kto to jest? — zapytała nieprzytomnie.

Gruchnęła stłoczona gawiedz ogromnym śmiechem, mieszczki jęły już załamywać dłońe z oburzenia, a Donocik trącił ją biczyskiem i rzekł twardo:

— No, kto?... Nie cielę, jeny twój chłop!... Bierz go ze sobą do izby!...

— Jezus!... — krzyknęła nagle i zastonięła oczy. Potem roztrąciła krąg mieszczek i hołoty ulicznej, wpadła do sieni, uciekła do alkowy. Tam wcisnęła się w najciemniejszy kąt, za łóżko, zakryła oczy i, zanosząc się płaczem, dygotała z przerażenia.

— Ho, ho!... Uciekła!... Nie chce umrzyka, boby jej nie grzoł pod pierzyną!... — zarechotał Donocik.

— Bo mo inszycho. co ją grzeją!... — zakrzeczała stara Fąferkula.

— Gamratka! — jęły się zrywać wołania.

— Wszetecznicza!...

— Sumienie ją gryzie!...

— Młodego jej dać!... Ondraszka Szebistowego!...

Mnożyły się wołania i krzyki, mieszczki składały dłonie, kiwały głowami i pluły, zachęcając się nawzajem do pomstowania, mieszczanie zaś rzucali w głąb sieni obelgi i pogroźki.

Potem wnieśli zwłoki do izby i odeszli.

Barbara jeszcze tego samego dnia wymknęła się skrycie do swojej matki, mieszkającej po drugiej stronie miasta, koło figury cudownej Matki Bożej. Po mieście zaś rychno się rozniosło, że Barbara odbiegała od zwłok swojego męża, co niechybnie wskazuje, że prawda w tem jest, co ludzie o niej mówią. Zbierali się teraz na rynku mieszczanie i mieszczki, a wszyscy upewniali się nawzajem, że Barbarę trzeba będzie wyświecić za miasto, gdyż wszeteczna to stwora i plugawa, parająca się grzeszną miłością z gachami.

Każdy teraz sobie przypominał jakiś szczegół, który poświadczał prawdziwość domysłów ludzkich. Ten widział zakradającego się wieczorem młodego gaszka do jej okna od podwórza, tamten zaś zauważył, że idąc do kościoła, strzelała oczyma za uczniem swojego męża, Ondraszkim Szebestą, inny zaś widział ją w nocy na schodach w ciemnej sieni, obłapiającą się z młodym pacholikiem, a którym nikt inny chyba nie był, jak Ondraszek, co łącno można było poznać po piórze za magierką, stary Balarus zaś, trębacz zamkowy, obchodząc ulice nocną porą, widział światło w alkwie rektora Myszki, a na tle zasłoniętego okna dostrzegł wyraźnie dwa cienie, całujące się żarliwie.

— To może ze swoim mężem się całowała... — zauważył ktoś z gromady.

— Djaska tam z mężem!... Jako prawię, z gaszkiem przegrzeszonym... Dyc wiem dobrze, bo w ten wieczór rektor Myszka był w gospodzie...

Uczył się rumor na mieście, a kto zjadlejszy, pociągał z hołotą miejską pod mieszkanie jej matki, by tam spektakle czynić, kamieniami ciskać w okiennice i ludzkim łajnem próg, drzwi i ściany smarować.

Niedługo jednak trwała ich zabawa, boć rychno nadbiegli pacholkiwie miejscy, na-

ślani przez landvoita. Gawieź halabardami rozpedzili, żgając opornych pod żebra, a wszeteczną tę stworę przyprowadzili na ratusz.

Po trzech dniach, po skończonym pogrzebie zmarłego rektora Miscetiusa, landvoit Kurzydło zwołał sąd miejski, złożony ze sławnych rajców miejskich i burmistrza Kuchcika. Przybył także burgrabia zamkowy Voglik w zastępstwie jaśniepana hrabiego frydeckiego. Sąd odbywał się w sali ratuszowej, gdyż musiał jej użyć gwoli pomieszczenia w niej licznych świadków i co sławniejszych mieszczan i żon ich statecznych. I tak wszyscy nie pomieścili się w niej, i przed ratuszem stały ogromne tłumy, swarliwe i kłótniwe, które swym krzykiem i urąganiem obwinionej przeszkadzały w urzędowaniu. Landvoit Kurzydło polecił więc burmistrzowi Kuchcikowi, by ściągnął wszystkich miejskich pachołków i halabardników zamkowych, którzyby halabardami żgali niesforny tłum, gdyby nie chciał się uciszyć, lub zgola wyparł go do bocznych ulic, o ileby tamto nie skutkowało.

Wieczorem wydano wyrok, że wszeteczna stwora, Barbara z Mołdrzyków, wdowa po rektorze Miscetiusie alias Myszcze, za udowodnione jej niecne uprawianie *venusvurgivaga* z gachem niewiadomego imienia i nazwiska, za życia imćpana rektora Miscetiusa alias Myszkii Bartłomieja, dla przykładu batogiem publicznie będzie oćwiczona, poczem zakuta przez następny dzień w kunę przy kościele w czas porannego nabożeństwa, a następnie za miasto, na odległość pięć mil wzdłekę i pięć mil wzdłużkę, różgami wyświecona ma być po wieczne czasy, a jeżeliby nieuciwiwa ta białogłowa wrócić się chciała, gardłem przypłacić ma swoje nieposłuszeństwo.

Barbara milczała. Milczała nawet wtedy, kiedy ją nazajutrz wywleczono z ratuszowej piwnicy i na wozie powieszono na rynek. Oczy miała spuszczone, usta zagryzione. Naokoło wozu szalał tłum, ryczał i kobylińcami ciskał w nią. Raz tylko na święte słowa krzyknęła, kiedy w pośród wrzasku gawieźdi

wychynął przejmujący skowyt jej matki. Rzuciła się, jakby zeskokczyć pragnęła z wozu, szarpnęła ramionami, związanymi z tyłu, lecz rychło podbiegł jeden z towarzyszących jej pachołków i pchnął ją zpowrotem na ławkę.

Dopiero kiedy wóz na rynku przystanął, a mistrz oprawczy, ślepy na jedno oko Kozubek, jął z niej zdzierać suknie, zaczęła się bronić. Gryzła, rzucała się, wyła nieludzko, że barczysty Kozubek musiał ją cisnąć na bruk, butem przystąpił głowę, by móc dorezszty zedrzeć z niej szaty.

A kiedy uporał się z tą robotą, przy pomocy dwóch najsilniejszych pachołków podniósł ją z ziemi, na wóz podsadził i do dwóch pionowych drągów za napiątki przywiązał.

I stała teraz Barbara przed tłumem z ramionami wysoko rozkrzyżowanymi, naga do pasa, bezsilna i ścicha skamląca. Na rozkaz landvoita Kozubek rozwiązał jej włosy na karku, rozrzucił warkocze i jakotako okrył jej nagość.

Nastąpiła teraz w tłumie ogromna cisza.

Wszyscy patrzyli w niepomierne zdumieniu na Barbarę, wysoko ponad ciżbą stojącą. Ludzkie oczy odurzyły się w tej drobnej chwili jej niepojętą krasą a serca ludzkie tknęła litość ogromna i żal na widok jej bezbronności.

Włosy jej, czarne nad podziw, mieniły się w słońcu czarnem złotem i spływały w bogatych puklach po ramionach, po drobnych piersiach i plecach, sięgały niżej pasa, a nagic jej ciało, białe i jakby słońcem prześwietlone, wyzierało z pod rozrzuczonych włosów, delikatne i tak bardzo dziewczęce, subtelne i pełne tak niewypowiedzianej słodyczy, że serca wszystkich zadygotały z tajemnego wzruszenia, a tkliwość wielka wypełniła je po brzegi.

W tem okamgnieniu przepadła w nich wszelka zjadłość i nienawiść do grzesznej a nieuciwiwej stwory, przepadł gniew i pragnienie sycenia oczu widokiem smaganego ciała kobiecego, i ci wszyscy, co to jeszcze przed chwilą najzjadlejsz ciskali w nią łajnem i obelżywymi słowy, i ci drudzy, co zzymali się po-



zornie i wzdychali w udanem zgorzeniu, pacholikowie i stateczni mieszczenie, surowi chłopci i baby pyskate, wszyscy, ile ich tylko było od jednego krańca rynku po drugi krańiec, z okien patrzący i na dachach siedzący, młodzi i starzy — jęli teraz szemrać przeciwko zbyt surowemu wyrokowi landvoita i rajców miejskich i dziwić się swojemu zaślepieniu.

— Czary, czy co?... — bronili się jeszcze poniekąd przeciwko następującemu wzruszeniu, któremu nie sposób było się obronić.

— Uroki djabelskie na nas rzuca!... — zżymali się drudzy twardszego serca.

Lecz i ci rychło kruszeli na widok jej nagej krasy, gdyż zdawało im się, że to nie grzeszna wszetecznicza przed ich oczyma, lecz drobne ptaszę jakieś, kwilące bezradnie, bezbronne dziewczątka niewinne, sierotka biedna przez złych ludzi krzywdzona.

— Chryste Panie!... — szeptali brzuchaci mieszczenie i razporaz zęgnali się nabożnie, albowiem przypominała im się przypowieść ewangeliczna o Marji Magdalenie i Chrystusie, a o czem niedawno wielebny pan, ksiądz Foldyn, tak rzewnie kazał na ambonie.

— Maryjko święto!... — szeptały mieszczki, pochlipując przez nos z wielkiej żałości. — Na dyć to jeszcze takie młode, ale młode!...

— Ośmnaście wiosen zaledwie liczy...

— A on już był kęs po pięćdziesiątce...

— Niedziwota, że do młodego lgnęła...

— Każdaby inna to samo na jej miejscu czyniła! — rzuciła zjadle młoda Drobiczka, co również miała starego męża.

— Chudziątka biedne, szkoda tego, ale szkoda!...

— O, szkoda, moja kurzyczko roztomiło!

— Dyć to jeszcze dziecko!...

— Głupie to, nie wiedziało, co czyni!...

— Wyglądo na szesnostkę!...

— On był starym pnem!... Któżaby była takiemu wierno!...

— Już nie zdradził swoim pragnieniom!...

— Poco ją wiązoł ze sobą!... On winien, nie ona!...

— Szkoda tego!...

— Nie dejmy jej bić!... — wychynął zniecka czyjś twardy głos. Obejrzeni się najbliżej stojący, ujrzeli pacholika. Oczy ma błędne, wypieki na twarzy, szczęki zaciśnięte jak człowiek, co gotuje się do uderzenia.

— Nie dejmy!... — podchwycił ktoś i rzucił w tłum.

— Nie dejmy jej bić!... — rozleciało się groźne wołanie ze wszystkich stron.

Tymczasem landvoit skończył czytać wyrok i teraz dał znak mistrzowi oprawczemu, jednookiemu Kozubkowi, żeby zaczynał swoją powinność.

Ucichli znowu ludzie. Serca wszystkich dygocą, oczy się palą, pięści zwierają...

Na wóz wylazi Kozubek. Tęgi, kudłaty, z wysuniętą dolną szczęką, z niskim czołem, ślepiący jednym okiem. Z pod rozchełstanej czerwonej koszuli widać kosmatą pierś, szeroką. Stoi rozkroczony na wozie, zawija rękawy. Teraz ujmuje rzemienny batog. Patrzy przez chwilę na dygocącą Barbarę, wykrzywia usta, szczerzy drapieżne kłance w obłęnym uśmiechu, wargi śliniace oblizuje.

— Nie dejmy jej bić!... — wyleciał znowu z ciszy ostry krzyk pacholęcy.

— Nie dejmy jej bić!... — podchwycił zebrany tłum ogromnym, zbełtanym wraskiem. Podniosły się pięści, pacholcy stojący wkrąg około wozu nadstawili dziobce halabard w napierającą ciżbę.

— Nie bić jej!... Uwolnić!... — lecą coraz większe krzyki ze wszystkich stron.

Kozubek schylił czoło jak byk, kiedy ślepi, gdzieby uderzyć rogami. Potoczył zbójcekim wzrokiem po tłumie, roześmiał się chrapliwie, podniósł szybko batog i śmignął co sił w zgięte plecy Barbary.

— Jezus!... — zakwiliła Barbara, przegięła się boleśnie, szarpnęła gwałtownie.

Kozubek otarł cieknącą ślinę z ust, zamierzył się szybko, uderzył jeszcze mocniej.

— Jezus!... — zaskowyczała Barbara okropnym głosem. Krzyk ten przeleciał ponad osłupiałym tłumem, ostry jak klinga, bojący w serce.

— Nie bić!... Nie bić!... — ryczy tłum i napiera na halabardników,



Kozubek jednak nie ustaje. Bije mocno, z poza głowy, szybko raz po razie, stękając za każdym uderzeniem. Barbara zaś już nie krzyczy, lecz skomli coraz ciszej, i coraz słabiej.

Nagle stała się rzecz nieoczekiwana.

Znienacka bowiem wyleciał z tłumu spory kamień i trafił w nachylony łeb Kozubka. Kozubek zatoczył się, podniósł głowę, lecz w tej samej chwili zafurczał drugi kamień i ugodził go trafnie między ślepią.

Ryknął zalany własną juchą, zachwiał się i runął nawznak z wozu.

A w tej samej chwili zerwał się triumfujący krzyk tłumu, potem ogromny wrzask, wołania, przekleństwa, uczynił się srogie zamęt, że rzekłbyś — burza ogromna zwała się na ziemię. Wypłoszone z poddaszy kawki i gołębie jęły kołować nad miastem, klaskając w przerażone skrzydła, tłum zaś zafalował szeroko, rozłamał zaporę halabardników, runął w wolną przestrzeń koło kaźni. I kiedy jedni kruszyli halabardy i tratowali powalonych na ziemię pachołków, inni zaś lagami i pięściami okładali leżącego pod wozem Kozubka, kłuli nożami, kopali i pluli, to co zwinniejsi wyskoczyli na wóz, przecięli więzy Barbary, porwali ją omdlałą na ręce, narzucili na skrwawione plecy zdartą z kogoś opończę i zmieszali się z szalejącym tłumem.

Tłum zaś ryczał, wyrывał kamienie z bruku i miotał nimi w ratuszowe okiennice, rozbiegał się po mieście, wyłamywał zaparte drzwi w domach burmistrza i rajców, wyrzucał z ich okien garnki i połamane sprzęty, gonił za skamlącymi pachotkami miejskimi, krzyczał i wył, opętany furją, spragniony krwi.

Na ziemi zaś, pod rozbitym wozem, charczał konający Kozubek. Kopał nogami, rzucał się i krwią bluzgał z poderżniętego gardła. Odcięte od wozu konie biegały po rynku, z przerażeniem w ślepiach, tratowały ludzi, kwiczały i gryzły, aż wkońcu legły z poprzetrącaniami nogami, ciężko zdychające.

A kiedy opętany tłum rozszalał się do ostatnich granic, na frydeckim zamku rozwarła się narozcież szeroka brama sklepiona, a z jej głębi jęły się wynurzać miarowym krokiem składne szeregi zaciężnych żołdaków frankońskich, dudniące ostrym, urywanym rytmem, patrzące z podeńba z pod okapów hełmowych, najeżone schylonemi kopykami i halabardami.

Na blankach zaś jęły się wysuwać szerokie otwory muszkietów.

Padła cudzoziemska komenda.

A wtedy kopje i halabardy werznąły się w krzyczący tłum, a z blanków rzygnęły strugi ognia.

## Z cyklu: Wiersze o Śląsku.

### Z wagonu.

Patrz, Vater; Flieder sam kwitnie —  
mówi do męża żona.

O cegły zczerniałe domów  
bez opart swe ramiona.  
Litośnie wtula się w każdy  
domów ceglanych załom  
i na zszarzały krajobraz  
jasną się rzuca plamą.

Kwitnie — kwitnie liljowo  
ich ulubiony Flieder;  
osłania śląską pustkę,  
osłania śląską biedę.

(Pod ziemią tego kraju  
siła — skarby się tłoczą;  
z okien wagonu, gdy patrzeć,  
wzrok niema na czem spocząć.)

W żarze czerwcowej spiekoty  
żółkną ubogie trawy, —  
barwnym się kształtem odcina  
tylko ten bez — łaskawy.

Ludzie, nim zejda do pracy  
w kopalni — z kilofem w dłoni,  
wchłaniają chciwym oddechem  
cud słodkiej, liljowej woni.

I w mowie swej, zniekształconej  
dźwiękami obcemi, rytmem,  
pieszczą, jak umią to zdanie:  
Patrz Vater, Fieder sam kwitnie.

— — — — —  
(A nas — podróżnych nie razi,  
lecz dławi dziwna ta mowa,  
wiemy, jak w ziemi przemysłu  
ciężko się żywić i chować.)

W jedenś-my sposób mówili  
Kiedyś, za Reja — przed wieki

Obce im słowa narzucił  
Przybysz z okolic dalekich.

Zawładnął pracą i chlebem,  
Chciał zmienić mowę i ducha —  
Lud trwał przy swoim, aż wreszcie  
Sam siłą — zerwał łańcuchy.

Nic nas już więcej nie razi,  
Ściskamy proste te dłonie —  
I każdy z nas poprzez okna  
Cud kwiatów liljowych chłonie.

Bez kwitnie — wizja dni wiosny  
w głębokich kopalni mrokach;  
wśród domów z cegły, traw żółkłych —  
jedyna radość ich oka.

### Droga ku wzniesieniu.

O drogo ku wzniesieniu,  
jak ty mnie męczysz, drogo!  
Ty nigdzie nie prowadzisz,  
stworzonaś dla nikogo.  
Wyglądasz stąd bezkresna,  
odległa, nieskończona!  
A zaraz za wzniesieniem,  
gdzieś w ślepej wyjściu konasz.

Z dusznej gardzieli ulic,  
przesiąkniętych dymem, sadzą —  
drzew pełna i zieleni —  
wydajesz się — oazą.

I ludzę się, że stwarzasz  
dalekie horyzonty,  
by w najpiękniejszy świata  
wprowadzić mnie zakątek.

Lecz zaraz za wzniesieniem  
urywasz się i giniesz;  
na ciasnym widnokregu  
majaczą znów kominy.

Po smutnem, szarem niebie  
dym się kłębam i spiętrza;  
a w piersi wali serce;  
powietrza, tchu, powietrza!

O drogo ku wzniesieniu,  
jak ty mnie męczysz, drogo!  
Drzewami sadzona  
wydajesz się bezkresna  
i wiedziesz  
jakby do oazy,  
w najpiękniejsze świata krainy.

Tymczasem  
w ślepe wyjściu konasz  
i nigdzie —  
nie prowadzisz.  
Tam za tobą — mającą kominy!

O drogo ku wzniesieniu,  
ja kocham ciebie, drogo;  
choć nie prowadzisz nigdzie,  
stworzonaś dla nikogo.

Marja Pilchówna.

## „Polok“ czy „ślązok“.

— Pasja mnie bierze — mówił raz w towarzystwie inżynier, małopolanin, zajęty przy budowie kolei w naszych pięknych Beskidach — na to robienie różnicy między tutejszymi robotnikami, a przybyszami z innych dzielnic kraju.

— Oho, przyszli zaś jacysi polocy do roboty...

— Cóż u diabła? A wyście francuzi, austrjacy, niemcy, czy co?

Roześmialiśmy się mimowoli wszyscy troje, z krwi i kości „ślązocy” z uniesienia spokojnego zwykle i lubianego powszechnie „poloka” inżyniera.

Chcieliśmy powiedzieć: znamy to. Wychowano nas w tem. Lecz nie bierzemy tego poważnie. Tak jakby naprzykład ręka wypierała się mówiąc: nie jestem ciałem, tylko ręką, mimo, że mam tę samą skórę, nerwy, kości. Poprostu ciasnota, brak uświadomienia narodowego. Lecz to już przechodzi. Resztki...

A przecież — kiedyś, a były to czasy mojego dzieciństwa, bardzo się przejmowałam temi „kwestjami”, nie zdając sobie oczywiście sprawy z ich źródeł i znaczenia. Sądzę, że zanim zupełnie przejdą do przeszłości, warto o nich pomyśleć poważnie. Może to być taki maleńki przyczynek do dziejów od-

rodzenia narodowego jednego zakątka Śląska, w tym wypadku „zielonego” od zielonych lasów i gróni.

Było to dwa, czy trzy lata po wojnie, a wydaje mi się, jakby co najmniej pół wieku upłynęło. Tak wszystko dokoła się zmieniło.

Chodziłam do ówczesnej trzyklasowej szkoły „ludowej”, oddziału drugiego, we wsi, znanej już wtedy jak i dzisiaj z dwóch rzeczy: góry Baraniej i drewnianego podówczas zamczku myśliwskiego arcyksięcia (zdaje się Albrechta), u stóp tej góry, na Zadnim Groniu. Ze szkoły przypominam sobie jeden, jedyny podręcznik „do wszystkiego” w zielonej, grubej oprawie, z portretem cesarza Franciszka Józefa na tytułowej stronie. Było w tej (nudnej i nieinteresującej, bo bez obrazków) książce dużo ustępów o wodzie, żelazie, kruszczach, o cesarzu Józefie II za pługiem, o Marji Teresie, o Tyrolu, Istrii, Lodomerji i innych prowincjach cesarsko-królewskich a nic, zupełnie nic o Polsce.

Potem nagle przyszły podręczniki, w których było o Wandzie, Krakusie, Smoczej Jamie, Sobieskim, ptakach, rybach, płazach i to z obrazkami („same gupotki” — jak mawiali starzy), a nic, zupełnie nic o Austrii. Były to książki polskie.



Wtedy „nastała” Polska.

Jednej rzeczy nie rozumię tylko, myśląc o tych czasach. Skąd mi się już wtedy wzięło to, co dziś nazwalibyśmy uświadomieniem narodem — miłość Polski. Przecież nie ze szkoły, kościoła, a już tem mniej z otoczenia. Dość że byłam „żartym polokiem” i stawałam, gdzie się dało w obronie Polski.

Pamiętam, jak dziś, rozmowę mogącą zilustrować myśli i uczucia ówczesnego odłamu społeczeństwa śląskiego, konserwatywnego, schodzącego już dziś do grobu.

Stają mi przed oczyma: izba, ciemno — w tym czasie, kiedy jest już po robocie, a nie chce się jeszcze zapalać lampy „u powały” — bo poco? Czeką się na wieczerzę, wystarczy „roźnióno szczypa” z bukowego drzewa przy piecu i blask ognia z „pod blachi” na izbę. Chłopi co przyszli od roboty siedzą na ławach pod ścianami, palą fajki i rozmawiają albo żartują między sobą. Musiała to być jakaś ważna uroczystość domowa, skoro był u nas w ten wieczór „starzyk” (ojciec matki) z Dziechcina, zjawiający się tylko w ważniejszych wypadkach w naszym domu. Może zabijanie świni, może przenoszenie „koszora” pod owce na Bukowej, może zwożenie ścieli... Już nie pamiętam. Dość, że szykowałam się uroczysta wieczerza. I był nastrój...

Dziadek mój nie lubił zbyt dosadnych i ordynarnych żartów. To też w jego obecności rozmowa wkraczała zwykle na poważne tory, dotyczące zwykle przeszłości, a miał taki jakiś wpływ na ludzi, że nikt, nawet wiecznie „błoznujący” kobieciarz, Wisełka, nie mógł mu się sprzeciwić. Dziadka, choć nigdy nie powiedział głośniejszego słowa, wszyscyśmy się bali. Nie można było przy nim, nam dzieciom, głośniej przemówić, a już o hałasowaniu i bieganiu po izbie ani mowy.

— Próżnioki, do kąta, a jak, tóż spać.

Siedzieliśmy też pocichutku na „gnotkach” w kącie, tem bardziej, że był jeszcze Pinkas „Zobuczana”, komornik, co to „nie rod moc mówił”, ale jak się popatrzył... Zwłaszcza ja go się jakoś dziwnie bałam i podziwiałam. To był chłop, który nigdy nie

skłamał i nie „obiyroł sie” z plotkami. Żato jego żona...

Za jedno tylko nie lubiłam go. Nie znosił wszelkich nowinek o t. zw. Polsce, z szyderstwem i ironją odnosił się do nowych porządków.

— A cóż sie też teraz uczycie we szkole? Jisto jeny to „Boże coś Polskę”, same gupotki — pytał mnie z szyderczym uśmiechem, gdy przy oraniu rzucałam za nim ziemniaki na świeżą bródzde.

A potem inne pigułki „patrijotyczne”: — uf, ile mi to krwi napsuło. Ale wtedy:

Słucham, słucham, a tu dziadek (jakoś przyszła rozmowa na tematy interesujące mnie) mówi:

— Och, na jesi też to je prowda, że ta naszo Wisła wpado kansi aż do morza?... (O morzu nie wiedział, a o Polsce miał wiedzieć?)

Nie odpowiedziałam, bo czy mnie ośmioletniemu bąkowi uwierzą? Zresztą ktoś przytaknął...

A potem rozmowa zesłała na wieś Wisłę, jej założenie i Imka Wisetkę. Czytałam wtedy świeżo książeczkę o nim napisaną przez Bogumiła Hoffa.

— Nale zaco jego też jeny wygnoł ten książe z Cieszna, że aż tu musioł do lasów...

Nie wiem skąd mi się wzięła ta śmiałość. W jednej chwili, nie patrząc ani na Zobuczana, chłopów pod ścianami, mamę przy piecu — znalazłam się na środku izby i wypaliłam:

— Bo był polokę i nie doł niemcom na poloków nic powiedzieć, i wyrznył jednego kryglę, aż go zabił...

Nic mi nie odpowiedzieli. Zdało mi się, że dziadek popatrzył się na mnie, pochylił głowę i pykając fajkę zadumał się nad czemś po swojemu... A ja prędko, przerażona własną śmiałością cofnęłam się na swoje miejsce za piecem.

Tych co znali stosunki panujące na Śląsku Cieszyńskim w dawniejszych czasach i po plebiscycie, nie zdziwi ta niechęć do polskości chłopów, mówiących gwarą z czasów Kochanowskiego, przechowujących jak najświętsze

relikwie staropolską biblię i postyle Mikołaja Reja, ks. Samuela Dambrowskiego i wielkiego kaznodziei Grzegorza z Żarnowca. Ofiarowywane one bywały — jak wskazuje dedykacja — królom polskim Zygmuntowi Augustowi i Stefanowi Batoremu.

Chłopom od niepamiętnych czasów nie mówiono w szkołach (nie było ich wiele), ani z ambony (reszta to nie ważne), że są polakami. Co gorsza, podsycano, gdzie się dało nienawiść narodowościową (zwłaszcza na tle religijnem: — „polak to katolik”), pogardę dla polskiego brudu i polskiej gospodarki.

Oczywiście w czasach plebiscytu „prym” tutaj dzierżyli ślązacy-renegaci, za pieniądze niemieckie, czy czeskie. Głównie czeskie. Pamiętam nazwisko zdraycy Koźdonia i obóz „ślązakowców” z ich organem, „Nowym Czasem”, napadającym pod płaszczykiem wyznaniowym, jeszcze długi czas po wojnie na polskość.

Mówiło się spokojnemu i obojętnemu na te sprawy chłopu: „Wyście tu są ślązocy, nie żodni polocy. Śląsk dla Ślązaków. Te „łaty zawszóne”, co im się robić nie chce, będą wam rozkazywać. Katolicy. Będą poniewierać wami, prześladować was ewangelików. Nie deście się. Bedziecie mieć będę. Głosujcie raczej na Czechów.”

A chłop, uczący się czytać na biblij, a śpiewać na czeskim „kancynole” odpowiadał zwykle: „Ty rzeczy mnie nie obchodzi. Niech przydzie czech, polok, niemiec, francuz — jo tu je we swoim domu. Przydzie czas, jako napisane w słowie Bożem, że bydzie jeden pastyrz, jedna owczarnia. Ludzie sie bydą zgodzać jedni z drugimi. To bydzie pokój...”

(Jeżeli pacyfiści sądzą, że idea braterstwa ludów jest ich wynalazkiem, grubo się mylą.)

Nie wiedział oczywiście chłop śląski, bo nikt mu tego nie wytłumaczył, że by czas taki przyspieszyć, nie można się zasklepić jak ślimak w swojej skorupie. Że świat jest wielki i takich skorup dużo.

Że, by móc przyczynić się do powstania tego „królestwa pokoju” na ziemi — należy rozszerzać stopniowo swoje horyzonty myśli i uczuć.

Że, do tego koniecznie przejść trzeba szczebel miłości kraju, ojczyzny...

Być wolnym, a nie niewolnikiem.

— To był dobry chłop ten Koźdoń. Dboł o chłopstwo. Przywoził, dy nie było co jeść, mąkę, zboży... Jo tam na niego nic nie powię...

Dobry chłop. Ten umiał zerować na ciasnocie narzuconej przez zaborców, na obojętności narodowej rodaków. Sprzedał Śląsk Czechom.

Lecz to nie jest najważniejsze. Grunt, że Wisła i Olza, jak płynęły tak płyną, a góry i lasy „hóczą szumnie”.

Dziś na miejscu dawnego, drewnianego pałacyku myśliwskiego arcyksięcia, do którego podobno przyjeżdżał na polowania sam cesarz niemiecki Wilhelm II, stoi murowany zameczek Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

Spotykam (jak to na wakacjach) moją małą koleżankę (gdybym dziś, jak w tych czasach chodziła do szkoły). Pasię w chwilach wolnych krowy.

Ta niema już wątpliwości, czy jest ślązaczka czy polką. I to i to. Roześmiała by się, gdyby jej kto inaczej powiedział.

— Nam to dobrze, że mieszka u nas Pan Prezydent. Zawsze idziemy śpiewać ze szkołą gdy wyjeżdża, albo przyjeżdża. A pani Prezydentowa — to się zawsze do nas śmieje z wagonu (oto trzymała takiego ładnego pieska) i rozmawia z nami.

— A Hanke od Kubiczka i Samcównę z Czarnego, jak jej składały „powinszowanie” gdy wyjeżdżała, to pocałowała, to potę długi czas od nich woniało temi perfumami, co Pani Prezydentowa jest naperfumowana.

I temu były rade..

Ognisko harcerskie, połączonych drużyn: pierwszej wiślańskiej, męskiej i obozującej tu przez wakacje ciechanowskiej — u wejścia do doliny Dziechcińskiej. Pierwsi harce-

rze wiślańscy, w wieku od 15—18 lat, z braćmi z synami dalekiego Mazowsza — składają przyrzeczenie na wierność Bogu i Polsce.

Mimo ulewnego deszczu, grzmotów i błyskawic płyną słowa pełne przejęcia i zapału: „Wszystko, co nasze Polsce oddamy”.

„Po bukowym lesie — echo pieśni niesie”...

„Odrodzimy, odmłodzimy starą światła twarz”.

Zwycięzą nie takie burze.

Wielka plama światła, strzelającego radośnie iskrami aż pod wierzchołki dwóch smreków — zda się przyciągać migocące w ciemnościach światelka chałup, w których udają się na spoczynek...

Ognisko — symbol młodej Polski.

A moi „epigoni”? To moja pasja.

„Ja dziwczę — my są nauczeni do starych czasów, my już ni możemy sie z temi nowemi pogodzić”. Jedni z nich dawno „na groniczku pod trawnikiem”, ci, co zostali czują się dziwnie osamotnieni. Odrodzona polskość ciśnie się do ich chat, „włazi w oczy, uszy” gdzie się obrócić, głównie ze szkoły, odczuta najmocniej jak zwykle przez tych najmłodszych.

Stają wobec tej nowej Polski dziwnie nieśmiali. Jakto, język niemiecki, do którego żywili szacunek wprost religijny, jako języka panów — jest dzisiaj prawie niepotrzebny?

Niema prześladowań wyznaniowych, gospodarka polska nie może być gorszą od czeskiej, czy niemieckiej, skoro tyle rzeczy przybyło: kolej, szosy, o jakich się nikomu nie śniło, szkoła, domy zborowe, młodzieży i inne... Czują się obcy, „zbyteczni”. A przecież zrobili swoje. Należy im się szacunek. Mieli swoje zasady, kulturę i poczucie własnej godności.

Taki na przykład stary, długoletni wójt Wisły, nieboszczyk Raszka, zwany „królem Wisły”. Tęga głowa. Nauczył się sam bez niczyjej pomocy pisać i mówić płynnie po niemiecku (po polsku również), jeździł po Wiedniu, urzędach, z największym rozczuleniem opowiadał, jak to za swoich młodych lat siedział w stroju góralskim przy boku następcy tronu, arcyksięcia Rudolfa na przyjęciu w Ustroniu — a podpisywał się nie z niemiecka jak jego krewni z inteligencji i pół-inteligencji (ta najgorsza...) Raschka, tylko po swojemu Raszka.

Albo choćby taki Pinkas-Zobuczán, czy dziadek, uparci i przywiązani do swego stroju, tradycji, przeszłości. Takim typom zawdzięczamy głównie utrzymanie polskości, jej odrodzenie w następnych pokoleniach.

Po długim śnie — musiało przyjść zdrowie i tem wyraźniejsze przebudzenie...

Sądzę, że o tych sprawach warto dziś powiedzieć bez blagi i patryjotycznego patosu.

Wisła, w sierpniu 1935 r.





Rafał Malczewski.

**Stacja załadowcza kopalni Mysłowice.**



## Ustęp z dziejów kontrreformacji katolickiej na Górnym Śląsku.

Przed kilku miesiącami ukazało się w druku ciekawe ze wszech miar, obszerne, z wielką erudycją i znajomością przedmiotu skreślone dzieło ks. Hermanna Hoffmanna: „Jezuici w Opolu”<sup>1)</sup>. Autor — znany jako wybitny badacz historii kościoła na Śląsku, zwłaszcza w epoce nowożytnej, i wydawca osobnego wydawnictwa, poświęconego jego dziejom (Zur schlesischen Kirchengeschichte) — obrał sobie ostatnio za cel wszechstronne zbadanie dziejów zakonu jezuickiego na Śląsku. W dziedzinie tej, poza studjami o finansowych podstawach śląskich domów jezuickich i o początkach śląskiej prowincji jezuickiej, dał w latach 1927—1935 siedm wyczerpujących monografij o kolegjach i rezydencjach jezuickich w Głogowie, Żeganiu, Świdnicy, Brzegu, Deutschwarthenberg, Jeleniogórze, a ostatnio w Opolu, dążąc wyraźnie do ogarnięcia zczasem w podobny sposób reszty ośrodków jezuickich na Śląsku.

Ostatnia praca ks. Hoffmanna o jezuitach w Opolu rozwiązuje temat szerszy, ogarnia bowiem całokształt działalności zakonu Towarzystwa Jezusowego na dawnym pruskim Górnym Śląsku, t. j. w byłych księstwach opolskiem i raciborskiem oraz w posiadłościach udzielnych Bytomia i Pszczyzny. „Dla księstw opolskiego i raciborskiego sporządzono przyczynek, mający na celu zbadanie katolickiej restauracji po stratach okresu reformacji, o ile przytem wchodziła w ra-

chubę działalność jezuitów” — wyjaśnia autor w przedmowie. W istocie książka o jezuitach w Opolu stanowi ważny ustęp z dziejów kontrreformacji katolickiej na Górnym Śląsku, przedstawiający wszechstronnie i szczegółowo działalność tego ruchliwego zakonu, który z głównego ośrodka swego w Opolu i z pomniejszych rezydencji i misyj w Głogówku, Ziemiencicach, Tarnowskich Górach, Piekarach, zasięgiem pracy duszpasterskiej, katechetycznej, apologetycznej, wreszcie nauczycielsko-szkolnej ogarnął całe terytorjum górnośląskie, wyciskając na jego życiu religijnem wyraźne i nieprzemijające znamię. Ale nietyle samo szczegółowe omówienie rozwoju zakonu Towarzystwa Jezusowego na pewnym odcinku terytorjalnym stanowi walor dzieła ks. Hoffmanna. Dla polskiego czytelnika jest ono — niezależnie od tego ogólnego punktu widzenia — może jeszcze cenniejsze jako pierwszorzędny, niezwykle interesujący i bodajże dotychczas jedyny większy fragment z życia religijnego i intelektualnego masy polskiej na Górnym Śląsku w XVII i XVIII stuleciu.

Pojawienie się zakonu jezuickiego na Śląsku nastąpiło stosunkowo dość późno. Pierwsze kolegium (i to na terytorjum wchodzącem w skład dawnej diecezji praskiej) powstało dopiero w samym końcu XVI wieku (1597 r.) w Kładzku. Właściwe jednak rozszerzenie się Towarzystwa Jezusowego na Śląsku przypada na czasy wojny trzydziestoletniej jako wynik zwycięskich przewag katolickich wojsk cesarskich nad protestantyzmem. Wówczas to utworzono: pierwsze kolegium i gimnazjum jezuickie we właściwym Śląsku, w Nissie (1622), założone przez arcyksięcia Karola wraz z seminarjum duchownem i kursami filozofji i teologii, dalej kolegium w Głogowie (1626), uposa-

<sup>1)</sup> Die Jesuiten in Oppeln. Die Tätigkeit der Jesuiten in den Fürstentümern Oppeln und Ratibor, den Standesherrschaften Beuthen und Pless, in Oberglogau und Ziemientzitz, in Oppeln, Tarnowitz und Piekar, in den Volksmissionen und den neuen Niederlassungen von Hermann Hoffmann. Breslau 1934. Franke Verlag und Druckerei, Otto Borgmeyer, str. 441.



żone w części dobrami zniesionego protestanckiego gimnazjum akademickiego w Bytomiu t. zw. Schönaichianum, kolegium w Żeganiu (1628), szczególnie bogato dotowane przez Wallensteina, w Świdnicy (1635) i we Wrocławiu (1638) — to ostatnie zamienione w 1702 r. na Akademię jezuitów. Jeszcze później, bo dopiero w drugiej połowie wieku, zakładają jezuitów swe kolegia na Górnym Śląsku: w Opolu (1668) i Cieszynie (1674).

Jeśli migracja i przenikanie zakonu Towarzystwa Jezusowego na Śląsk Dolny i Środkowy szło głównie z prowincji zakonnej czesko-morawskiej, to o pozyskanie Górnego Śląska i wciągnięcie go w orbitę działalności misyjnej jezuitów rozegrała się ciekawa walka między zniemczoną i stojącą całkowicie na usługach dynastji habsburskiej prowincją czeską, a różniącą się od niej pod względem narodowym prowincją polską. Na ziemi śląskiej — jak ongiś w średniowieczu — spotkały się i starły z sobą dwie tendencje, dwa kierunki: jeden wynaradawiający, niemiecki, który szedł z Czech, drugi narodowy, ojczysty, idący z Polski.

Pierwsze ślady migracji jezuitów na Górny Śląsk, sięgające samego początku XVII wieku, wychodzą z prowincji czeskiej. Zapoczątkowują ją w 1605 i 1606 r. z inicjatywą magnata górnośląskiego, Niemca Jerzego hr. Oppersdorfa w jego posiadłości Głogówku trzech jezuitów kolegium ołomunieckiego: Leon Classovitius, Krzysztof Dombrius i Jan Ladnicerus. Odtąd przy życzliwym poparciu Oppersdorfa pojawiają się oni tu często (w 1611, 1615 i t. d.), a w końcu po niedoszłym do skutku w 1623 r. zamysle otwarcia kolegium, zakładają regularną misję, która na skutek usilnych starań Jana Jerzego i Franciszka Euzebjusza Oppersdorfa działa z małymi przerwami, spowodowanymi wypadkami toczącej się wojny (w 1634, 1639, 1642 r.), do 1677 roku.

Drugim ośrodkiem, w którym wcześniej pojawia się zakon Towarzystwa Jezusowego, było miasto Raciborz. — W 1614 roku

przybywają tu z kładzkiego kolegium dwaj jezuitów: Baltazar Gulden i Jerzy Meridies, rodem z Gliwic. Większe znaczenie od ich przelotnego pobytu miała działalność misyjna w latach 1629 i 1630 dwóch innych jezuitów z kolegium ołomunieckiego: Wolfganga Cygnäusa i Ezechiela Leandra w Opolu, Prądniku (Neustadt), Wielkich Strzelcach, Pyskowicach, Krapkowicach, Koźlu i Raciborzu, która pod wrażeniem świeżych dragonad „duszpasterskich” oddziałów Lichtensteina zbiera duże, choć nietrwałe pokłosie dla katolicyzmu.

Niezależnie od tej doraźnej migracji jezuitów, idącej głównie z Ołomuńca, próbują w tymże samym czasie jezuitów prowincji polskiej rozciągnąć systematycznie swą działalność misyjną na Górny Śląsk. Motywy do podjęcia tej akcji były głębsze i opierały się na naturalnych podstawach: z jednej strony formalnej, gdyż spory szmat ziemi górnośląskiej (dawny dziekanat bytomski) pod względem kościelnym należał do diecezji krakowskiej, z drugiej istotnej, gdyż nie kto inny, tylko jezuitów polscy byli przecież najodpowiedniejszym elementem do pracy duszpasterskiej wśród tej bezspornej masy polskiej Górnego Śląska, rzadka przetykana napływową ludnością z Niemiec.

Dwie takie próby działalności misyjnej jezuitów polskich, nieznanie autorowi „Jezuitów w Opolu”, pozwolimy sobie przytoczyć na tem miejscu z ważnego i bezwzględnie wiarygodnego źródła, mianowicie z jezuitów Jana Wielewickiego „Dziennika spraw domu zakonu oo. jezuitów u św. Barbary w Krakowie”. Jedną z nich odbyła się w okresie Wielkanocy 1617 r. w okolicach Bytomia. Kulminacyjnym jej punktem była dysputa, urządzona staraniem konwentu bytomskiego franciszkanów w tamtejszym kościele parafjalnym (wówczas zagarniętym przez luteran), w której jeden z misjonarzy jezuitów z powodzeniem zwalczał mini-

strów luterzańskich<sup>2)</sup>. Druga, reprezentowana przez jezuitów: Łukasza Wociechowicza i Jana Smeńskiego (Smetnius)<sup>3)</sup>, odbyła się znów w okresie Wielkiego Postu 1629 r. we wsi Mokrej (alias Mokre) — zapewne w powiecie pszczyńskim<sup>4)</sup>, — własności Eljasza Koreckiego. Wątpić nie można, że podobnych misyj z Polski, o których tylko przypadkową wiadomość podał Wielewicki, musiało działać w tym czasie na Górnym Śląsku bez porównania więcej.

Jeżeli hr. Oppersdorfom przypada prymat w założeniu pierwszej misji jezuickiej na Górnym Śląsku, to natomiast kobiecie polskiej należy się bezsprzecznie sława utrwalenia i rozprzestrzenienia wpływów zakonu Towarzystwa Jezusowego w tej ziemi. Była nią Felicjana z Cieciszowskich Stadnicka, wielka zwolenniczka zakonu, która przez zapis w swym testamencie z 1639 r. dóbr Ziemiencic, Przechlebia (wieś należąca do parafji ziemienickiej) i Golejowa (parafja rybnicka) dla wzniesienia i uposażenia przyszłego kolegium jezuickiego, pierwsza rzuciła trwałe podstawy materialne pod rozwój zakonu Towarzystwa Jezusowego na Górnym Śląsku. Fundacja jej, jakkolwiek powstała na ziemi cesarskiej, była — można powiedzieć — czysto polską. Świadczy o tem nietylko sam akt fundacji, sporządzony w języku polskim, ale także ta okoliczność, że powstała ona w dużej mierze dzięki staraniom jednego z najwybitniejszych jezuitów polskich pierwszej połowy XVII wieku, czynnego także czas jakiś w prowincji czesko-morawskiej, Mikołaja Łęczyckiego. Nie bez znaczenia jest także fakt, że pierwszym jezuitą, który od 1637 r. a więc jeszcze za życia fundatorki, podejmuje pracę w Ziemiencicach, był Tomasz Elżanowski z prowincji polskiej. Dodać należy, iż rezydencja w Ziemiencicach w cza-

sie swego istnienia od 1642 do 1668 roku stanowiła główny ośrodek pracy misyjnej jezuitów na Górnym Śląsku. Dopiero osiedlenie się zakonu w Opolu w 1667 r. spowodowało likwidację fundacji ziemienickiej. Odtąd rezydencja opolska, podniesiona w dniu 12 stycznia 1673 roku do rzędu kolegium, staje się głównym punktem oparcia i centralą całego ruchu jezuickiego na Górnym Śląsku aż po kasatę zakonu. Tu rychło na oddanym przez cesarza, podobnie jak we Wrocławiu, placu pozamkowym dawnych ks. opolskich (wraz z resztkami starych budowli, „weil es nur lauter rudera sind“<sup>5)</sup>), powstaje otwarty 6 listopada 1668 główny zakład naukowo-szkolny, gimnazjum, obejmujące swym wpływem i zasięgiem cały Górny Śląsk, dalej nowy, wspaniały kościół pod wezwaniem św. Trójcy (1673), wreszcie seminarjum (internat dla chłopców) pod imieniem Borgii (1674).

Z powstaniem kolegium opolskiego następuje definitywne przejście Górnego Śląska pod wpływ ziemczoniej prowincji czeskiej. Ostatni wysiłek misyjny, jaki podejmuje prowincja polska na Górnym Śląsku w osobie ks. Abramowicza, od 1661 r. działającego w Pszczynie, a czas jakiś ponadto (1664—1665) w Tarnowskich Górach, poszedł całkowicie na marne. Sprawozdania roczne prowincji czeskiej — jak podaje ks. Hoffmann — przypisywały wyraźnie niepowodzenie misji Abramowicza brakowi z jego strony znajomości języka niemieckiego oraz zasadniczej różnicy między charakterem narodowym polskim a niemieckim<sup>6)</sup>. Ale nietylko to. O niepowodzeniu akcji Abramowicza, które w rezultacie wpłynęło na zaniechanie ze strony jezuitów prowincji polskiej wszelkiej działalności misyjnej na Górnym Śląsku, najwięcej bodaj zadecydowała głucha, podziemna wal-

<sup>2)</sup> *Scriptores rerum Polonicarum* XIV 203—204.

<sup>3)</sup> *Scriptores rerum Polonicarum* XVII 320.

<sup>4)</sup> Inna wieś tej samej nazwy znajduje się w pow. głupczyckim, o 1½ mili od Głupczyc (Słownik geogr. VI 623-4).

<sup>5)</sup> Wyrażenie urzędowego aktu z 13 XI 1667 r. „in puncto der Introdution u. Aufrichtung eines Collegii Patrum Soc. Jesu in Oppeln“ (Hoffmann, op. cit., str. 53).

<sup>6)</sup> H. Hoffmann, op. cit., str. 177.



ka, toczona w kościele górnośląskim między napływowym elementem niemieckim a miejscowym polskim. Jak wiadomo, Abramowicz przyszedł do Tarnowskich Gór na wezwanie miejscowego proboszcza Marcina Guttmanna w 1664 r. Przybyły niezadługo na miejsce Guttmanna nowy proboszcz A. Klaybor, który „w niewiarygodny sposób nie znał zupełnie języka polskiego” („übrigens ungläublicherweise nicht der polnischen Sprache mächtig”<sup>7)</sup>) usunął zaraz jezuitę polskiego, a brat jego Franciszek Klaybor powołał w to miejsce w 1671 r. jezuitę niemieckiego<sup>8)</sup>.

Na straconej placówce w Tarnowskich Górach, do której przenikali już od 1650 roku jezuita z Ziemieniec z kazaniem niemieckimi, powstaje rychło, bo w 1675 roku z ramienia i kosztem cesarza Leopolda I nowa rezydencja jezuitcka, stanowiąca — można powiedzieć — otąd główny bastjon i forpoczta wpływów niemieckich. Przebija to wyraźnie i ponad wszelką wątpliwość zarówno ze źródeł współczesnych, jak i baczniejszego przyjrzenia się rozwijanej tu przez jezuitów działalności. Tendencję tę stwierdza też całkiem wyraźnie memoriał jezuity Krzysztofa Zange’a do Kaspra Knittla, prokuratora jezuitów na dworze cesarskim, za utrzymaniem misji zakonnej w Tarnowskich Górach z 5 września 1696 roku<sup>9)</sup>.

„WW. OO. misjonarze francuscy (mowa o zgromadzeniu oo. misjonarzy czyli lazarystów) — stwierdza memoriał — przez najjaśniejszą królową polską, tegoż roku owdowiałą, z królestwa francuskiego powołani i przed niewielu laty wprowadzeni do Królestwa Polskiego<sup>10)</sup>, próbowali wejść w sąsiedztwo Piekar i Tarnowskich Gór,

<sup>7)</sup> Tamże, str. 176.

<sup>8)</sup> Tamże, str. 177.

<sup>9)</sup> W. Schulz, Korespondence jezuitów prowincje české z lat 1584—1770 (Historický Archiv XVII), 1900, str. 177-8.

<sup>10)</sup> Zgromadzenie ks. misjonarzy, zwane we Francji lazarystami, sprowadziła do Polski właściwie już królowa Marja Ludwika Gonzaga, żona Jana Kazimierza w 1651 r.

czyli podległą J. Cesarskiej Mości dziedzinę; po przedstawieniu im, że Jego Cesarska Mość ma na ten terytorjum Tarnowskich Gór swych misjonarzy (t. j. jezuitów), którzy wedle najtąskawszego jego życzenia tamże wypełniają duchowne powinności i obowiązki, powrócili w okolice Polski. A oto znów usłyszeliśmy niedawno, że gdy cesarska misja zostanie zwinięta, przyjdzie na jej miejsce francuska, które to następstwo można łatwym sposobem przeprowadzić, skoro kościół w Tarnowskich Górach znajduje się w diecezji krakowskiej, a wielebniej te same diecezji plebani bardzo usilnie za nimi orędują, mało zważając na najdosłojniejszego fundatora i konserwatora misji Tarnowskich Gór.”

Obok tego wysunął Zange motyw inny: pożytek, płynący z rezydencji jako placówki nadgranicznej dla posłów i wystanników cesarskich, dążących do Polski. Tymczasem w razie osiedlenia się misjonarzy zniknie to ważne oparcie dla cesarza i jego przedstawicieli, bo jak zaznaczał: „Polakom, misjonarzom francuskim nie należy ufać”<sup>11)</sup>.

Rezydencja w Tarnowskich Górach przedstawiała sama w sobie groźbę dla polskości i polskiego stanu posiadania w tych okolicach. W 1714 roku otwarto mianowicie przy rezydencji niższe, czteroklasowe gimnazjum łacińskie (do syntaksy włącznie) z językiem wykładowym niemieckim. Wznieciło ono od samego początku duże obawy Uniwersytetu krakowskiego, kształcącego w swych murach dotychczas większość młodzieży górnośląskiej, zwłaszcza z dekanatu bytomskiego. „Uniwersytet krakowski —

<sup>11)</sup> „4 a. Per Tarnomontum ob ordinariam postam caesaream est transitus diversarum legationum in Poloniam. Ablegati, qua animi contestatione id hactenus probaverint, quod Sua SC Mtas e Societate Jesu missionarios patres suae provinciae in confinibus Poloniae, cui nos utique perquam vicini sumus, haberet, salutationes et benevolentiones nostrae similium hospitum adventantium abunde expertae fuerunt non absque iterato audita voce: Polonis, missionariis gallicis non fidendum.“



podkreśla słusznie monografista jezuitów polskich — był, jak to już powiedziano, przeciwny urzędzeniu tej szkoły łacińskiej, nie tylko dlatego, iż obawiał się stracić uczniów na rzecz ich gimnazjum, lecz także dlatego, ponieważ w Tarnowskich Górach scholarzy zbyt łatwo uczyli się po niemiecku; on nietylko może pragnął, by studenci dopiero na Uniwersytecie uczyli się niemieckiego, jego obawa szła dalej. Lękano się mianowicie, że gimnazjaliści z Tarnowskich Gór, podobnie jak zresztą opolscy, nie zechcą potem uczyć się w Krakowie, lecz będą studjować filozofję i inne nauki w swym państwie („im Reiche”) na jednej z trzech wyższych uczelni swych nauczycieli gimnazjalnych: we Wrocławiu, Ołomuńcu lub Pradze<sup>12)</sup> (wszystkie trzy znajdowały się pod egidą jezuitów). Na te tendencje germanizatorskie szkoły tarnowskogórskiej wskazuje najdobitniej bodaj memoriał ministra Hoyma do króla Fryderyka II z grudnia 1772, pisany w sprawie utrzymania rezydencji w Tarnowskich Górach: „weil man dadurch den Schulunterricht besonders in der deutschen Sprache in der Stadt befördert und dem in der dortigen Gegend noch wohnenden Adel Gelegenheit zum Schulunterricht gegeben würde“<sup>13)</sup>.

W imię bezstronności przyznać trzeba, że jezuita w Tarnowskich Górach opiekowali się też polskim elementem. Wygłaszali — jak wiemy — polskie kazania (w adwencie 1675 r. np. mieli kazania polskie trzy razy tygodniowo, niemieckie jeden raz, potem w następnych latach w wielkim poście i adwencie naprzemian polskie i niemieckie), wydawali książki religijne w języku polskim, np. w tysiącu egzemplarzy katechizm polski („*Libellus quaestiones fidei nostrae per ordines digestas complectens*”), przy sposobności znowuż wprowadzenia w 1704 r. nabożeństwa Serca Jezusowego rozdawali obrazki z polskimi modlitwami, a nawet

w razie potrzeby kierowali pielgrzymkami do Częstochowy, wreszcie przyłożyli się waleśnie do powstania w 1747 roku bractwa religijnego górników, złożonego z członków niewątpliwie narodowości polskiej, za czem świadczy księga tegoż bractwa, wydana we Wrocławiu w t. r. w jezuickiej drukarni akademickiej p. t. „Przeświętne Bractwo Barbary S. Panny Meczenniczki Cristusowej”.

Jeśli rezydencja w Tarnowskich Górach przedstawiała raczej tendencje proniemieckie w życiu kościelnym, — to naodwrot powstała w kilka lat później po niezwykle ciężkich i dramatycznych walkach z krakowską kurją biskupią rezydencja w Piekarach wytknęła sobie inne zgoła cele. Miała ona stanowić „przedmurze duchowe, dzięki któremu ulegną wzmocnieniu związki w wierze katolickiej między Polską i Śląskiem przeciw sąsiednim heretykom i przez które serca między Polakami i Niemcami przy tej także sposobności więcej jeszcze się złączą”<sup>14)</sup>.

Czy jednak tak rzeczywiście było, jak pisał i jak zapewne sobie życzył jezuicki annalista w Piekarach? Piekary, w przeciwieństwie do Opola, stanowiącego ośrodek oświatowy działalności Towarzystwa Jezusowego na Górnym Śląsku, wysunęły się momentalnie jako miejsce żarliwego kultu i dewocji religijnej, miejsce niezwykłych uniesień i wizyj mistycznych, miejsce gorącej wiary i cudowności. Jakkolwiek kultowi obrazu dali początek nie jezuita, jeno tamtejszy proboszcz Jakób Roszkowski, to jednak zapobiegliwości, niestrudzonej energii i bezprzykładnemu wprost poświęceniu jednego z jezuitów działających na Górnym Śląsku, mianowicie *Wacława Schwertfera* zawdzięczał obraz rozgłos i szyb-

14) „...ita fore propugnaculum spirituale, quo limites absque ullo alias propugnaculo Poloniam inter et Silesiam in catholica fide contra vicinos haereticos stabiliantur, et animi Polonos inter ac Germanos, hac etiam occasione amplius connectantur“ (Historia residentiae et templi Societatis Jesu Piekarii, Katowice 1932, str. 2).

<sup>12)</sup> H. Hoffmann, str. 199-200.

<sup>13)</sup> Str. 209.

kie pozyskanie serc wiernych, a wkońcu, mimo wszystkie objeccje, nieoficjalne stanowisko obrazu słynącego cudami. Autor „Jezuitów w Opolu” zdaje się niedoceniać walki o inkorporację Piekar do kolegium opolskiego i zmagani o kult obrazu, sprowadzając je do pojedynku między jezuitą Schwertferem a prałatem A. Grabianowskim, kanclerzem krakowskiej kurji biskupiej. Przedewszystkiem mała uwaga. „Słabiutki stary ojciec” (Schwertfer) nie był tak słabym, skoro miał za sobą całkowite poparcie cesarza Leopolda I, dzięki któremu istotnie w 1679 r. udało mu się dopiąć celu, t. j. urzędowo sprowadzić jezuitów na probostwo piekarskie. W walce tej chodziło bezporównania o coś więcej. Górny Śląsk, niezależnie od swej częściowej przynależności do diecezji krakowskiej, znajdował się wówczas w promieniach przemożnego wpływu kultu Matki Boskiej Częstochowskiej. Osiadłszy na Górnym Śląsku, nie mogli jezuita zapoznawać tego faktu. Stąd też nie tylko słyszymy o prowadzonych początkowo przez nich pielgrzymkach do Częstochowy, ale o sporządzeniu zaraz z polecenia tegoż ojca Schwertfera dokładnej kopji obrazu częstochowskiego do nowego kościoła jezuitów w Opolu. Nagle w 1676 r., równocześnie z odkryciem obrazu piekarskiego, urywa się kult Matki Boskiej Częstochowskiej w kołach jezuitów górnośląskich. Odtąd Piekary stają się odrazu dzięki ruchliwemu ojcu Schwertferowi i jego towarzyszom głównym miejscem pielgrzymek polskiej części Górnego Śląska. Dość powiedzieć, że w tymże 1676 r. wedle obliczeń jezuitckich przybyło przeszło 100.000 pielgrzymów do Piekar a komunikowało się ponad 60.000 osób.

Rychło też rozpoczyna się napływ pielgrzymów z pobliskich okolic Polski. Początkowo przybywa głównie szlachta, i to indywidualnie, w pojedynkę. Później dopiero zaczynają się zjawiać całe pielgrzymki. „Rzecz szczególna, iż w tym roku 1688 z odległej Polski z plebanami swymi, co nigdy dotąd nie bywało, przybyli czciciele” notuje

diarjusz piekarski<sup>15</sup>). Pielgrzymowała do obrazu piekarskiego zarówno szlachta i magnaci (Lanckorońska, ks. Lubomirski), jak osoby duchowne, zakonnicy (wcale licznie bożogrobcy miechowscy), kler świecki (m. i. często kanonicy krakowscy), zarówno mieszczanie, jak wieśniacy. Czytając diarjusze rezydencji, rzuca się jednak w oczy zwłaszcza duży przyrwyw szlachty polskiej. „Magna nobilitas e Polonia ac Silesia”<sup>16</sup>), „communicantes de nobilitate Polona et Silesia”<sup>17</sup>), „peregrinantes copiosi Tarnomonto, Bithomio, e Polonia nobilitas et aliis vicinis locis”<sup>18</sup>), „locum sacrum copiosa nobilitas Polona devenerata est”<sup>19</sup>) — oto najczęstsze pozycje ówczesnych diarjuszów piekarskich w odniesieniu do Polski. Czy wzmianki te były wynikiem uznania dla wyższości społecznej szlachty, czy też w rzeczy samej odzwierciedlały szczególny kult obrazu u szlachty, trudno coś pewnego powiedzieć. Natomiast stwierdzić należy, iż zasięg terytorjalny kultu Piekar był naogół w Polsce niewielki, bo ograniczony głównie do nadgranicznego pasma przylegającego do Śląska, od Żywca po Częstochowę, Kalisz i Koziegłowy.

Rzecz przytem niemało charakterystyczna, że nawet na tak neutralnym terenie, jaki przedstawiały Piekary, zaznaczały się różnice narodowe i państwowe wśród przybywających pątników. O jednej z nich podaje ks. Hoffmann ciekawe szczegóły. Oto kustosz raciborski Marcin Krüger wydrukował większą ilość obrazków z podobizną cesarza Leopolda i króla rzymskiego Józefa i rozdawał je następnie wśród pątników. Gdy to zobaczyli Polacy, zaczęli mówić: „Co czynią

<sup>15</sup>) Historia residentiae et templi Soc. Jesu Piekarii, str. 29.

<sup>16</sup>) Por. „Diarium residentiae Societatis Jesu Piekary 1711—1731“, rkps Archiwum Prowincji Małopolskiej T. J. w Krakowie, nr. 406, nlb. pod dniem 15 VIII 1712.

<sup>17</sup>) Tamże, pod 4 IX 1712.

<sup>18</sup>) Tamże, pod 29 IX 1712.

<sup>19</sup>) Historia residentiae et templi Soc. Jesu Piekarii, str. 44.



nasi kapłani dla naszego króla? Jezuici robią tyle dla swego cesarza”<sup>20</sup>).

W okresie swego największego rozgłosu i sławy stają się Piekary dziwnym zrządzeniem losu miejscem głośnym w ówczesnych dziejach Polski. Dnia 20 sierpnia 1683 r., spiesząc z odsieczą wiedeńską, odwiedza je król Jan III Sobieski. W czternaście lat później (29 lipca 1697) jego następcą, August Mocny przed obrazem Matki Boskiej Piekarskiej składa publiczne wyznanie wiary katolickiej i zaprzysięga przed delegacją senatorów duchownych i świeckich pakta konwenta.

Nagły rozrost Piekar wzbudził rychło poważne obawy u paulinów częstochowskich, a także — warto podkreślić — w Uniwersytecie Krakowskim, zdawien dawna walczącym z jezuitami o monopol nauczania w Polsce. „Z pewnością obawiał się ten lub ów z akademików krakowskich — zapisuje z ironją annalista jezuicki — byśmy na wsi (powstrzymajcie śmiech przyjaciele!) nie wzniesli akademii. Tak 2 stycznia (1678 r.), w święto św. Fabjana i Sebastjana wielmożny pan Jan Mieroszowski, starosta i sędzia księstwa siewierskiego, jawnie przy stole oznajmił, że akademicy krakowscy nastawają o wyrzucenie nas z Piekar, abyśmy ich przywilejów nie uszczuplili przez wzniesienie kiedyś w wiosce piekarskiej akademii”<sup>21</sup>).

Z tem wszystkim, nawet w okresie swego największego rozwoju nie zdołały Piekary zaciąć całkowicie Częstochowy. Po dawnemu służy systematycznie z Górnego Śląska na Jasną Górę tłumne pielgrzymki, często pod kierunkiem członków innych zakonów (np. franciszkanów, reformatów i t. d.). Prowadzono je nieraz wystawnie, z muzyką, chorągwiami i jarzącymi świecami. Przechodząc przez Piekary pątnicy wysłuchiwali zazwyczaj mszę i przyjmowali błogosławieństwo. Jezuici z konieczności obsługiwali pątników, nawet przedłużali im paszporty<sup>22</sup>), choć cza-

sem przy tem wrywały się im cierpkie uwagi, jak np. w dniu 10 maja 1712 r.: „*adferunt peregrini Czestochovia reduces Hulciznenses confessi et communicarunt, commodius fruti hic devotione pia*”<sup>23</sup>).

Rychło jednak, bo już w pierwszej połowie XVIII w. zaczął blask Piekar gasnąć, mimo umiejętnej propagandy, jaką jezuitci rozwinęli przez rozsyłanie kopij cudownego obrazu różnym wielmożom (np. Jakóbowi Sobieskiemu w 1708 r.) oraz kościołom, wydawanie broszur informacyjnych równocześnie w języku polskim i niemieckim<sup>24</sup>), rozdawanie wśród pielgrzymów pamiątkowych obrazków z polskimi i niemieckimi modlitwami i t. d. Przyczyniło się do tego głównie przeniesienie na stałe obrazu do Opola (w 1702 r.). „To wiele serc wziętych o jego powrocie od nas odwróciło” — notuje annalista piekarski<sup>25</sup>). Poza tem polskich pątników odstraszały jeszcze gwałty werbowników pruskich, którzy przemocą wcielali pielgrzymujących do armji fryderycjańskiej.

Oczywista, że w innych ośrodkach pracy jezuickiej, więcej opartych o łaskę magnatów niemieckich, starali się oni otwarciej propagować i popierać niemieckość. Tak np. w czystopolskim Głogówku, jak się zdaje, uczyli dzieci nauki religiji po niemiecku, skoro — jak czytamy — po ukończeniu nauki prowadzili je razem przy śpiewie niemieckich pieśni nabożnych do zamku hr. Oppersdorfa<sup>26</sup>) i w tym też języku wydali katechizm i zbiór pieśni duchownych<sup>27</sup>). Gorzej, że nie

*tres personae Tessinio civiles ut passus earum huc determinatus extenderet Czestochoviam, subscriptis rev. pater superior*“.

<sup>23</sup>) Tamże.

<sup>24</sup>) P. T. Matka Przedziwna w Piekarach, Sandomierz 1726. — *Die Wunderbarliche, und gegen ihre Schutz-Kinder Wohlthätige Mutter Jesu von Pekar, Königgrätz 1726.*

<sup>25</sup>) *Hist. residentiae et templi Soc. Jes. Piekarii*, str. 42.

<sup>26</sup>) „*unter Gesange deutscher Kirchenlieder*“ (Hoffmann, str. 33).

<sup>27</sup>) „*Spirituales cantilenae*“ (tamże, str. 32).

<sup>20</sup>) Hoffmann, str. 247.

<sup>21</sup>) *Historia residentiae et templi Soc. Jesu Piekarii*, str. 8-9.

<sup>22</sup>) Rkps Archiwum Prow. Małop. T. J. nr 406 pod dniem 28 VI 1712: „*Advenerunt*



zawsze, jak się zdaje, przybywali do pracy duszpasterskiej w gminach czysto polskich jezuiti znający ten język<sup>28</sup>).

Nie inaczej też w gruncie rzeczy przedstawiała się sprawa w głównym ośrodku jezuickim na Górnym Śląsku — w Opolu. Jakkolwiek znaleźli się oni tutaj wśród zdecydowanej większości polskiej, to jednak mimo to zaraz przystąpili do pracy duszpasterskiej w obu językach. Cóż się jednak okazało? Oto kazania polskie były przepelnione, niemieckie „fast halbleer”, tak że jeszcze z końcem t. r. (1676) trzeba je było zawiesić. W miarę jednak lat coraz to większą przewagę wykazuje na ambonie jezuickiej język niemiecki. Z ogłoszonego przez ks. Hoffmanna zestawienia okazuje się, że np. w 1735 r. jezuiti opolscy wygłosili w kościele św. Krzyża tylko jedno kazanie polskie, a piętnaście niemieckich<sup>29</sup>).

Rzecz jasna jednak, że mimo wszystko jezuiti musieli się liczyć z realnymi warunkami. Toteż swe wydawnictwa dewocyjne drukowali zazwyczaj dwójnasób więcej w języku polskim aniżeli niemieckim, a pewne tylko po polsku. W 1734 r. np. wydrukowano zeszytik z pieśniami i modlitwami do św. Ignacego wraz z jego biografją w dwustu kopjach niemieckich i czterystu polskich; w 1736 r. wydano w samym języku polskim katechizm (nakład siedmset egzemplarzy) oraz w pięciuset egzemplarzach inne dzieło polskie p. t. „U b i h o c e s t s c r i p t u m”, a w roku następnym nową książkę polską p. t. „I t a e t n o n” pewnego jezuitę w tysiącu egzemplarzy.

Również i w szkole siłą faktu musiał brać górę język niemiecki. „Nie można uważać jezuitów za tak naiwnych — stwierdza

---

<sup>28</sup>) Por. charakterystyczny ustęp z listu jez. Geinitiusa do prowincjała z 9. XII. 1655 r.: „Sic haben mir für den P. Vinzenz Sonnius den P. Matthäus Pohl geschickt. Ich kann ihn aber nicht brauchen, er kann nicht polnisch u. soll doch in drei Dörfern, besonders in Kleinitz polnisch predigen. Schicken Sie mir P. Bankowsky, wenn das nicht geht, P. Kirmisius, die können polnisch...” (H o f f m a n n, str. 49).

<sup>29</sup>) Str. 91.

autor „Jezuitów w Opolu” — by nie wiedzieli, że władze, szlachta, mieszczaństwo w całej prowincji zakonnej przeważnie mówili po niemiecku. Prowincja mogła posiadać ojców, którzy nie rozumieli po polsku lub czesku, ale nie mogła posiadać takich, którzyby nie rozumieli po niemiecku<sup>30</sup>). Rzecz jasna, że od rozpoczęcia przez Fryderyka II świadomej polityki germanizacyjnej w kościele i szkole stosunki te znacznie się pogorszyły.

A jednak — rzecz ciekawa — zdarzały się osobliwe wypadki, iż wychowawcy gimnazjum opolskiego po ukończeniu go wstępowali nie do czeskiej, jeno do polskiej prowincji, „co tem więcej należy podkreślić — stwierdza słusznie ks. Hoffmann — iż z tem równocześnie wiązało się opuszczenie państwa niemieckiego i przejście do Polski<sup>31</sup>).

Zczasem żywioł niemiecki opanował całkowicie kolegium opolskie. Gdy w 1797 r. zmarł nagle kaznodzieja polski ojciec Haldan, musiano, z braku choćby jednego eksjezuitę, znającego język polski, zwrócić się o pomoc do dominikanów, którzy delegowali do wygłaszania kazań brata Wojciecha Czecha, a niedługo potem, w październiku 1798 r. zniesiono wogóle regularne kazania niedzielne w języku polskim w byłym kościele jezuickim.

Przytoczone wyżej przykłady z życia i działalności poszczególnych ośrodków jezuickich na Górnym Śląsku zdają się wskazywać, że jednak działalność Towarzystwa Jezusowego — niezależnie od swej ogólnokatolickiej doniosłości — zaciążyła raczej niekorzystnie na życiu narodowym polskiej większości Górnego Śląska. „Jezuiti na Górnym Śląsku ani nie germanizowali, ani też przeciw Polsce występowali” — powiada autor<sup>32</sup>). Jednakowoż na innym miejscu sam przyznaje, iż ogromnego znaczenia był fakt, iż „założenie (kolegium) wyszło z czeskiej, a nie polskiej prowincji, gdyż czeska prowincja jezuicka była w istocie prowincją niemiec-

---

<sup>30</sup>) Str. 148.

<sup>31</sup>) Str. 39.

<sup>32</sup>) Str. 149.

ką, której niejednokrotnie z trudnością przychodziło uzyskać konieczną ilość mówiących po czesku członków". „Co się tyczy kultury, którą wyższe uczelnie wówczas dawały — stwierdza dalej ks. Hoffmann — to jednak nie było równoznacznem, czy miała ona polskie czy niemieckie znamię, czy wyływała ona z polskich czy niemieckich źródeł”<sup>33)</sup>.

Jakże pod tym względem inaczej kształtowała się działalność innych zakonów, np. dominikanów lub franciszkanów na Śląsku, którzy należąc do macierzystej prowincji polskiej, pielęgnowali w swych klasztorach tradycje polskie i więź przynależności narodowej, a w pewnych razach byli ostoją polskości na Śląsku, jak tego dowodzi np. działalność Abrahama Bzowskiego na stanowisku przeora konwiktu dominikanów u ś. Wojciecha we Wrocławiu w latach 1607—1609. Tymczasem w ośrodkach jezuickich, zależnych od ziemczonę prowincji czeskiej, wspartej łaską cesarzy i miejscowych magnatów niemieckich, siłą faktu musiał górze brać element germański, stając się — mimo dużych zasług w dziedzinie misyjno-duszpasterskiej — nieświadomym propagatorem niemieczyzny w tej czysto polskiej ziemicy. Nic dziwnego też, że skutkiem tego działalność jezuitów górnośląskich wywoływała tak częste konflikty z miejscowym klerem, w przeważnej mierze polskim.

Ale nietylko pod względem narodowym zaciążyli jezuiti w życiu Górnę Śląska. Jak wszędzie, gdzie weszli, tak i tu byli oni krzewicielami nowych form życia religijnęgo i motorami niebywałęgo wzrostu pobożności. „To było nowe katolickie odczucie życia”... stwierdza autor „Jezuitów w Opolu”. „Jezuici mistrzowie w psychologicznem traktowaniu poszczęólnych jednostek i mas ludzkich, przynieśli je do Opolu. To już nie była więcej owa postawa duchowa, która czuła się zadowoloną tu oto egzystować i tylko tu egzystować, i nie dać się całkiem przewyższyć protestantyzmowi, jeno inna, nowa, zwycięska, która chciała nie tylko bronić się, lecz także zdobywać, nie tylko strzec, lecz

także zyskiwać. Katolicyzm barokowy został wprowadzony do Opolu jako pierwszy stopień i odbicie kościoła tryumfującęgo w sprawach spornych, który chciał wszystkim głowom i sercom przez uszy, oczy i zmysły dać wyobrażenie o wielkości Boga, jęgo kościoła, a także Towarzystwa Jezusowęgo”<sup>34)</sup>.

Istotnie, choć jezuiti już stracili dawny rozmach epoki kontrreformacji katolickiej, epoki religijnych wzlotów niestęchanej siły i napięcia z okresu św. Ignacego Loyoli i towarzyszyów, energję bezwzględnej walki z różnowierstwem, to jednak przez swój styl w urzędaniu życia religijnęgo, gorliwość i oddanie w służbie wiary, zaważyli niesłychanie doniośle w życiu duchowem Górnę Śląska XVII i XVIII stulecia, stanowiąc prostopu w jęgo dziejach epokę.

Jedną z najważniejszych cech — jakie wnieśli jezuiti, było kultywowanie ducha zbiorowęgo, dążenie do oparcia dotychczas indywidualnęgo życia religijnęgo o ściśle ramy bractw pobożnych, ogarniających możliwie najszersze warstwy społeczeństwa, z zachowaniem oczywista różnic stanowych. Zniżono się nawet — rzecz u jezuitów charakterystyczna — do nizin społecznych. Już w 1682 r. zawiązuje się w Opolu pod egidą jezuitów związek chłopów pod wezwaniem patrona rolników św. Izydora. Od 1675 rozwija tu działalność „Bractwo biednych dusz”, skupiające miejscowy żywioł mieszczański narodowości polskiej, a od 1701 r. złożone z Niemców „Coetus agoniae”. W Tarnowskich Górach, a może także i w Piekarach<sup>35)</sup>, organizują bractwo górników pod

<sup>34)</sup> Str. 61.

<sup>35)</sup> W każdym razie urzędali tu — jak wiemy — uroczyste nabożeństwa w dzień św. Barbary. Por. np. notatkę pod dniem 5 XII 1712 r.: „Mineralium fossores in ordine ad peragendam hic... suam erga S. Barbaram V. M., singulari omnium fossorum mineralium patronam, devotionem. Hanc autem devotionem totam peragerunt concionem sacrum audiendo, offeritorium sub eodem cum sevaceis condelulis accensis singuli obeundo et sub eodem flexis genibus ante aram B. N. certam de S. Barbara cantilenam cantando“ (rkps Archiwum Prow. Małopol. T. J. 406).

<sup>33)</sup> Str. 54.



wezwaniem św. Barbary. Zapominać nie można też o obejmującej wyższe sfery społeczeństwa kongregacji marjańskiej, składającej się z aktualnych i byłych wychowawców gimnazjalnych, oraz członków honorowych ze starszego pokolenia.

Drugą dominującą cechą wniesionego przez jezuitów nowego stylu religijnego była barokowa wystawność i przepych w urządzaniu nabożeństw. Miały one działać na zmysły wiernych, dając im pojęcie o wielkości Kościoła. Zwłaszcza z niesłychaną błyskotliwością i pompą organizowano przy każdej sposobności procesje: procesje pokutne w Wielki Piątek, procesje w dzień resurekcji, w Boże Ciało, w dniu założyciela zakonu św. Ignacego Loyoli, dalej pochody członków kongregacji marjańskiej we wszystkie ważne święta Matki Boskiej, procesje uczących się religii dzieci, wreszcie uroczystości z powodu nadzwyczajnych zdarzeń kościelnych (kanonizacje nowych świętych, zwłaszcza zakonnych, A n n o S a n t o). Do czego wystawność w ich urządzaniu dochodziła, dowodzi przytoczony przez ks. Hoffmanna szczegół<sup>36)</sup>, iż w 1708 r. w procesji na Nawiedzenie Matki Boskiej niosło ruchome sceny alegoryczne stu pięćdziesięciu wieśniaków. Ogromne znaczenie miały też niezależnie od perjodycznych przedstawień szkolnych dostępnych dla szerokiej publiczności, także czysto religijne widowiska pasyjne, Bożego Ciała, urządzone dla gminu w języku polskim, dla szlachty w języku łacińskim i niemieckim. Autor jednak zdaje się przeceniać znaczenie teatru jezuickiego, upatrując w nim przede wszystkim — nie wiem czy słusznie — „reakcję przeciw wyłącznemu panowaniu intelektualizmu w gimnazjach” i zdrową dążność do zbliżenia się ku realnemu życiu.

Trzecią cechą jezuickiej religijności było wprowadzenie czci nowych świętych i nieznanych dotąd na Górnym Śląsku form kultu. Należały tu: czterdziestogodzinne nabożeństwo, nabożeństwo Serca Jezusowego, nabożeństwa wielkopostne, wielkoczwartkowy ceremoniał mycia nóg. Z nowych świętych

wprowadzono przede wszystkim kult dwóch świętych zakonnych: św. Ignacego Loyoli — patrona kobiet rodzących i opiekuna przeciw upiorom i czarom, oraz św. Ksawerego, wielkiego cudotwórcę i lekarza zakonu, patrona przeciw zarazie, a także obrońcę żeglarzy. Obok nich wysuwają się z początkiem XVIII wieku dwaj nowi święci zakonni (kanonizowani w 1727 r.): św. Stanisław Kostka i św. Alojzy. Św. Stanisław jako Polak nie doczekał się jednak wybitniejszego kultu, natomiast św. Alojzy uzyskał szybko ogromną cześć wśród młodzieży, której wyrazem było m. i. wprowadzenie nabożeństwa sześciu alójzjańskich niedziel. Z innych świętych zdobywa dużą popularność narodowy święty czeski Jan Nepomucen, którego kult w ciągu XVIII w. równa się nawet — rzecz znamienna — czci oddawanej głównym świętym zakonu. Od 1753 r. pojawia się kult św. Leonarda, patrona i chronicieľa bydła od zarazy. Wkońcu na osobne podkreślenie zasługuje szczególne nabożeństwo do Matki Boskiej, pielęgnowane zwłaszcza w kongregacjach marjańskich.

Wprowadzając nowe nabożeństwa, nie burzyli jednak jezuita zwyczajów kościelnych zdawien dawna tu istniejących; wielkanocnego objazdu pól z chorągwiami i przy biciu dzwonów, święcenia mięsa w resurekcje, owsa w dzień św. Szczepana (26 grudnia), wina i innych napojów w dzień następny (św. Jana Ewangelisty), świąt zwyczajnych, np. patronki górników św. Barbary. Kultułowali też, jak to wiemy z diarjusza piekarskiego, śpiewanie starodawnych pieśni polskich, np. kolend w noc wigilijną<sup>37)</sup> itd.

<sup>37)</sup> Por. zapiskę w rkpsie Archiwum Prow. Małop. T. J. 406 pod d. 24 XII 1712 r.: „De nocte huius SS-mae Vigiliae post 11-am i 1-ma vice maiori campana; post dimidium 12-mae 2-da vice omnibus campanis fuit pulsatum pro matutino unius nocturni ultimi, pro quo matutino ad aram maiorem R. P. Superior pluvialatus (4 ministris assistentibus solenniter intonuit: „Domine labia mea aperies“ et „Deus in adiutorium meum intende“, post hoc decantatum in choro invitatorium et hoc finito, loco hymni, decantatum: „Dzieciątko się narodziło“. Quo finito cum R. P. Superiore... P. Georgius et P. Vicarius (nonnihil

<sup>36)</sup> Str. 168.



Stykając się ciągle z ludem, warstwą najmniej wykształconą, pełną zabobonów i guseł, z konieczności przystosować się musieli jezuici do ich pojęć i w niejednym wypadku dla przeciwdziałania wprowadzić nowe wierzenia, talizmany i amulety o znaczeniu magicznym. I tak dzięki propagandzie jezuitów św. Ignacy uchodził jako szczególnie pomocny przeciw upiorom, woda św. Ignacego jako skuteczny ogień przeciw duchom, czarom i urokom. Obrazek św. Ignacego, przybijany na drzwiach wchodowych, chętnie nawet przez protestantów, miał chronić cały dom od wszelkiego złego. Pyłek z grobu św. Jana Nepomucena uchodził za cudowny, ziarenka św. Joanny uważane były za pomocne przeciw upiorom, febrze, czarom, chorobom; podobnie jak baranek woskowy (tzw. Innozenswachs), poświęcony przez kapłana miał posiadać własności lecznicze we wszystkich dolegliwościach fizycznych, czarach, zarazie i t. d.

adiuvante Luca Rosarifice) in choro decantarunt praedicti nocturni 3-es psalmos. His finitis lectiones omnes tres eiusdem nocturni ibidem dixit solus R. P. Superior. Post 1-am lectionem, loco responsorii decantatum in choro: „Aniol pastierzom mówił“, post 2-am „Już pochwalmy“, post 3-am „Te Deum laudamus“, intonante illud ad aram R. P. Superiore et finito orationem praescriptam adiungente. Haec absoluta, subsecuta sacra... 3. Ad aram maiorem cantatum habuit R. P. Georgius a SS. Bartholomaei R. P. Superior et ad S. Josephi P. Vicarius lecta. Finito cantato rursus ab universo populo, choro praecinente, decantatum: „Dzieciątko się narodziło“. Et sic omnis huius SS-mae. „Noctis devotio fuit terminata“...

Wiek XVII i XVIII stanowi bezsprzecznie najcenniejszą część dzieła ks. Hoffmanna, stąd też tę partję staraliśmy się w niniejszym sprawozdaniu szczegółowiej omówić. Natomiast ostatnie karty książki, poświęcone działalności jezuitów na Górnym Śląsku w ciągu XIX i XX stulecia, nie mają już tego znaczenia. Noszą one charakter krótkiego posłowania, rejestrującego w sposób raczej kronikarski najpierw działalność wielkich misyj jezuickich (głównie ks. A. Antoniewicza) z lat 1851 i następnych — bez istotnego jednak zrozumienia i odczucia ich roli dla rozwoju polskośći, — dalej pobyt jezuitów w Rudzie w latach 1870-72, wreszcie założenie nowych rezydencji jezuickich w Rudzie (1922), Opolu (1923) i w Bytomiu (1928). Charakterystyczne jest to ostatnie ponadnarodowe i ponadpaństwowe wzniesienie się autora, zajmującego się — mimo ustanowienia kordonów i nowego porządku politycznego — rozwojem misyj jezuickich zarówno na niemieckim, jak i na polskim Górnym Śląsku. Ten obiektywny i spokojny ton, wykluczający możliwość jakichkolwiek narodowych zadrażnień, cechuje przez cały czas tok erudycyjnej, ściśle źródłowej, choć może zbyt apologetycznej w stosunku do jezuitów pracy ks. Hoffmanna. Znać, że pisał ją człowiek, dla którego głównym celem i ideałem jest przedewszystkiem miłość bliźniego i prawdziwa służba dla chrystjanizmu.

## „Znicz“,

*pismo zbiorowe młodzieży polskiej we Wrocławiu, 1851—1852.*

Towarzystwo literacko-słowiańskie, założone jako organizacja młodzieży akademickiej we Wrocławiu w roku 1836 staraniem Teodora Teofila Mateckiego, ówczesnego słuchacza medycyny, a bardzo popierane przez Jana Purkyněgo, czeskiego profesora fizjologii przy wszechnicy wrocławskiej, przechodziło różne koleje. Profesor doktor Purkyně stał na czele tego towarzystwa jako prezes i opiekun aż do roku 1850, w którym został powołany do Pragi.

Po odejściu Purkyně'go, Towarzystwo literacko-słowiańskie w roku 1851 przystąpiło do wydawania pisma zbiorowego młodzieży polskiej pod tytułem „Znicz”. Format tego pisemka był ujęty w małą ósemkę. Właściwym wydawcą i nakładcą był Kazimierz Szulc we Wrocławiu, ówczesny prezes wspomnianego towarzystwa. Ekspedycja wydawnictwa znajdowała się przy Altbüssergasse pod nrem 45. Pismo to było drukowane czcionkami C. H. Storcha i Spółki we Wrocławiu. Podane na karcie tytułowej tak poszytu pierwszego jak i drugiego motto brzmi:

Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,  
W jedno ognisko duchy.

W rozprawie wstępnej do poszytu pierwszego, objętej dwunastu stronicami, na której jako „motto” podano, iż

W słowach tylko chęć widzim,  
W działaniu potęgę,

przedstawiono konieczność pielęgnowania oświaty, która jest „środkiem nieomylnym, gojącym zaszarżane rany, pokrzepiającym narodowe ciało i jemu nowe życie wlewającym”<sup>1)</sup>.

Połączyć młodzież pod godłem „Zjednoczenie i Praca” było myślą zasadniczą wydawcy „Znicza”. Wołano więc:

„Do pracy polska młodzieży! W twojem łonie drzemie genjusz przyszłości, na twoich barkach ona ma spocząć, twojemi pojeściami i pracą masz naród twój o jeden szczebel postawić bliżej celu, a pomnij na słowa wieszczca:

Człowieku! gdybyś wiedział, jaka twoja władza,  
Kiedy myśl w twojej głowie jako iskra w chmurze  
Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza.  
Ludzie! każdy w was mógłby samotny, więziony  
Myślą i wiarą zwać i podźwigać trony<sup>2)</sup>.

W końcu rozprawy wstępnej podano, że „celem wydawców<sup>3)</sup> Znicza nie może być chęć pouczenia narodu, skromnym ich celem jest, aby młodzież umieszczonemi w tem piśmie rozprawami, podanemi materiałami i źródłami, które po bibliotekach zagranicznych licznie są rozrzucone, ułatwiała sobie wzajemnie pracę w rzeczach narodowych i tym sposobem zapobiegła niedostatkowi w kształceniu się. Wydawcy Znicza życzą sobie, aby pismo to zbiorowe zastępowało brak wyższej uczelni narodowej, w którejby usunięci od wpływu bezpośredniego na kształcące się pokolenie uczeni nasi i światli mężowie głos zabierać chcieli i wskazywać drogę, na jakiej młodzież z rzeczywistością dla przyszłości korzyścią pracować może; w którejby z drugiej strony młodzież pragnąca tego głosu starszych, wstawionych braci, i za nim pójść gotowa, z pierwszymi pracami swojemi występować mogła, zbierać, porządkować, porównywać materiały i źródła do historii, geografji, statystyki, zwyczajów i obyczajów narodowych, dawać pomysły z literatury, prawa polskiego, filozofji, zgłębiała z wszystkich gałęzi nauk wykładania

<sup>2)</sup> Tamże, str. 11.

<sup>3)</sup> Oprócz Kazimierza Szulca musieli być jeszcze zainteresowani wydawnictwem, prawdopodobnie członkowie ówczesnego zarządu towarzystwa.

1) Znicz z. 1-szy, str. 4.

nych po uniwersytetach; a to wszystko w tym celu, aby każdy młody Polak umysłowo się kształcający w pracach, wymagających dużo zachodów i usilności, miał gotowe, obrobione już materiały, które pracę jego ułatwić mogą.”

„Chcąc nadać pismu naszemu i utrzymać w niem barwę czysto naukową, wyłączamy zeń kwestje polityczne i religijne, w przyjmowaniu zaś wierszyków, powiastek i t. d. będziemy bardzo oględniymi”<sup>4)</sup>).

Dalsza treść poszytu pierwszego obejmowała pracę Stanisława Marońskiego p. t. „O sołtysach w Polsce”. Jest to praca historyczna z podaniem bardzo licznych źródeł i przypisów.<sup>5)</sup> Następuje potem praca bez podania autora p. t. „Filologia słowiańska podstawą wykształcenia narodowego”<sup>6)</sup>. Po tym artykule umieszczono korespondencje z pobliskich i dalszych wszechnic naukowych, mianowicie ze Lwowa z stycznia 1851 r.<sup>7)</sup>, z Pragi czeskiej z roku 1850<sup>8)</sup>, z Wrocławia<sup>9)</sup> i z Berlina z lutego 1851 roku<sup>10)</sup>.

Korespondencja z Wrocławia przedstawia szczegółowo życie akademików polskich we Wrocławiu w roku 1851, podają ją przeto w całości:

Wrocław. Młodzieży polskiej uczęszczającej na uniwersytet, lub po ukończeniu kursów w celu zdawania egzaminu lub po złożeniu egzaminu tu prze-

<sup>4)</sup> Znicz, I, str. 12.

<sup>5)</sup> Tamże, str. 13—50.

<sup>6)</sup> Tamże, str. 51—64.

<sup>7)</sup> Tamże, str. 65—81.

<sup>8)</sup> Tamże, str. 81—83.

<sup>9)</sup> Tamże, str. 84—86.

<sup>10)</sup> Tamże, str. 87—91. Z tej korespondencji wynika, że Polaków, kształcących się wówczas w Berlinie było ogółem 52. Z tych było 33 akademików, a w szczególności na prawie 19, na medycynie 7, na filologii i filozofji 8. Wyższa szkoła architektoniczna liczyła 5 Polaków. Nadto poza obrębem uniwersytetu pracowało w wydziale prawa 6, a w wydziale lekarskim 1, w wydziale filologicznym 3. Do egzaminu dojrzałości przygotowywało się 2. Krótko przedtem złożył tam egzamin państwowy na lekarza praktycznego Święcicki Tadeusz.

bywającej jest 68. — Z liczby tych: trzech prawników, zdawszy egzamin auskultatorski, aplikuje się przy tutejszych sądach; dwóch doktorów filozofii składa egzamin na nauczycieli gimnazjalnych, jako też i jeden kandydat filologii; jeden doktor medycyny zgłosił się do egzaminu urzędowego. Zostaje przeto uczęszczających na kursa 61.

Z tych kończy:

szóste lub ósme półrocze . . . . .	7
piąte . . . . .	3
czwarte . . . . .	9
trzecie . . . . .	4
drugie . . . . .	16
pierwsze . . . . .	22
Summa . . . . .	61

Z tych jest:

na wydziale prawniczym . . . . .	31
na wydziale teologicznym . . . . .	4
na wydziale medycznym . . . . .	4
na wydziale filozoficznym . . . . .	22

Z zapisanych w wydziale filozoficznym, czterech słucha nauk przyrodzonych, ośmiu historii, dziesięciu filologii. Większa część uczniów jest rodem z W. Ks. Poznańskiego; z Prus zachodnich jest dziesięciu, z Krakowa jeden.

Chociaż wszyscy oddają się fachowym studjom, jednakże nikt niezapomina o obowiązku zapoznania się z dziejami polskimi i literaturą polską. Wyznajemy, że to rzecz trudna dla młodzieńca przebywającego w obcym mieście, będącego bez przewodnika, biblioteki! Ale co dla jednego z osobna jest rzeczą trudną — dla sił zjednoczonych jest łatwą do pokonania. Poznali się na tem nasi poprzednicy i założyli towarzystwo literacko-słowiańskie, którego celem jest zapoznanie się z historią i literaturą polską i słowiańską; środkiem ku temu jest wzajemne pouczanie się przez prace literackie i biblioteka, która przez te 14 lat swego istnienia do tyła się powiększyła, iż wystar-



cza na zaspokojenie pierwszych i najważniejszych potrzeb umysłowych. Zawiera w większej części dzieła treści historycznej i prawniczej; dotkliwie czuć się daje brak dzieł beletrystycznych.

Nie myślę opisywać kolei, jakie towarzystwo przechodziło, wspomnę tylko o ostatniej jego reformie. — Konieczną jej potrzebę każdy, który bywał na posiedzeniach, uznać musiał; bo rozprawom czytany przez członków zbywało na gruntowności i systematycznym połączeniu. Członkowie towarzystwa, ażeby złemu zaradzić, postanowili podzielić tow. na 3 sekcye, t. j. historyczną, prawniczą i literacko-filologiczną, z tym warunkiem, żeby te 3 sekcye nie 3 osobne towarzystwa, ale raczej organiczne części tego samego towarzystwa stanowiły. Członkowie jednej sekcji wspólnie pracują nad jednym tematem. Ukończycywszy wszechstronny rozbiór tematu na posiedzeniach sekcyjnych, jednemu z członków polecają wypracowanie przedmiotu. Praca tak wykończona przedstawia się ogółowi członków do rozpoznania.

W taki sposób towarzystwo zreorganizowało się t. j. dopisało kilka paragrafów do swych statutów, mówię: dopisało — bo nie wykonało. — Ale jestem aż zanadto przekonany, że taki rozbrat między słowem a czynem stąd jedynie pochodzi, iż znamy — tyle przysłów uniewinniających takie nasze postępowanie. Jeden powie na własne zaspokojenie „nie od razu Kraków zbudowany” — drugi odeprze „powoli dalej zajdziesz” — trzeci „festina lente”, — inny zaś „że znać się winnym już jest poprawą”. Oczywiście! idąc za taką filozofią nie zdobędziem sobie tej energii ducha, aby wedle jasnej i pewnej myśli czynne rozpocząć życie. Do takiego hartu i sprężystości niedoprowadzą nas wzwyż przytoczone i rozpowszechnione zasady, lecz ta prawda, że stokroć gorszy

jest ten, co wie, że źle czyni, aniżeli ten, co źle czyni — ale tego nie wie, on bowiem znajdzie dla swej niewiedomości przebaczenie — tamten dla swej gnuśności potępienie. Mamy przecież nadzieję, że tow. postępować będzie nowo obraną drogą — choć nie biegiem Achilleza (który wedle dawnych twierdzeń żółwia wyprzedzić niezdola) — ale tak sobie — powoli Mościpanie.

Jest też w Wrocławiu ustanowiona katedra języków słowiańskich i literatury — ale profesora nie ma, gdyż p. Czelakowski od dwóch blisko lat opuścił nas. Brak profesora wszyscy głęboko czujemy — choć może niejeden znając liczbę słuchaczy byłego profesora literatury zaprzeczy temu. Przyczyną że tak mało brano udziału w prelekcjach tak znakomitego badacza języków słowiańskich było to, że p. Czelakowski w ostatnich latach prawie wyłącznie wykładał porównawczą gramatykę słowiańską, a nigdy literaturę. Może p. Cz. powodował się tą myślą, że wprzód trzeba poznać języki — potem literaturę. Nam się zdaje, że odwrotna droga byłaby skuteczniejszą, bo zamiłowanie literatur pewno pociągnęłoby za sobą zamiłowanie języków.

Słowem, ubolewamy dziś nad nieskończonością wakansu katedry — i dwa razy już do senatu akademickiego udaliśmy się z prośbą o rychłe powołanie profesora.

Zawsze nas pocieszano odpowiedzią, że się senat o to stara — lecz skutku tego starania do tych czas żadnego niema — a ponieważ powiedziano, że ta rzecz ostatecznie od wysokiego ministerium zależy, zamyślamy po wielkanocy wprost do tegoż za pośrednictwem senatu udać się z prośbą naszą. Do ostatniej naszej petycji przedłożonej senatowi przypisało się także grono Górno-Szlązaków, którzy z chwalebłą starannością przykładają się do języka polskiego; przyłączyli się

zaś mianowicie dla tego, że z wykładów lektora polskiego języka, p. Fritza, nie mogą tak korzystać, jakby sobie tego życzyli. Zresztą przyznać trzeba, że usiłowania p. Lektora są bardzo znakomite, albowiem ofiarował się na bieżące półroczne z wykładem nie tylko gramatyki języka polskiego, ale i rosyjskiego i nawet gramatyki porównawczej wszystkich języków słowiańskich.

Poszyt drugi był drukowany u Józefa Górzkowskiego w Chełmnie, zaś ekspedycja wydawcy znajdowała się we Wrocławiu na Neumarkt nr 8. Wydawca i nakładca: Kazimierz Szulc. Treść poszytu składała się z następujących przedmiotów: Dwa wiersze Teofila p. t. „Znicz” i „Do poezji”<sup>11)</sup>, Romana „Dwa ustępy z Sagi Frithjofie Izajasza Tegnera”<sup>12)</sup>, dalej obszerniejsza praca nieznanego autora p. t. „O stosunkach włościńskich w Polsce przed ustanowieniem statutu Wiślickiego”<sup>13)</sup>. Po tem następowało dokończenie z poszytu pierwszego pracy Stanisława Marońskiego p. t. „O softysach w Polsce”<sup>14)</sup>. Jak w pierwszym tak i w drugim poszycie są pod koniec ogłoszone korespondencje z wszechnic, mianowicie: z Berlina z 21 lipca 1851 roku<sup>15)</sup>,

<sup>11)</sup> Znicz, z. 2-gi, str. 1—5.

<sup>12)</sup> Tamże, str. 7—22.

<sup>13)</sup> Tamże, str. 23—78 (przypiski od str. 65—78).

<sup>14)</sup> Tamże, str. 79—96.

<sup>15)</sup> Tamże, str. 97—103. W semestrze latowym było na wszechnicy berlińskiej Polaków 50. Zaimmatrykułowanych w uniwersytecie było 38, w wyższej szkole architektonicznej 2. Z pozostałych część przygotowywała się do egzaminu dojrzałości, część pracowała w tamtejszym sądzie. Wydział prawniczy w tym semestrze zyskał wielką przewagę nad fakultetami innymi. Z pomiędzy 38 akademików przypadało na

wydział prawa . . . . .	21
wydział medyczny . . . . .	7
wydział filologii i filozofji . . . . .	10

z Warszawy z września 1851 roku<sup>16)</sup>, z Krakowa z czerwca 1851 roku<sup>17)</sup>, ze Lwowa z czerwca 1851 roku<sup>18)</sup> i z Brukseli z 5 maja 1851 roku<sup>19)</sup>.

Autorem korespondencji z Brukseli był znany profesor Lelewel. Pisał on tam m. i. że „z żywym uradowaniem przyjął „Znicza” i pomnożyło się bez miary ukontentowanie jego, gdy chciwie mimo trudów przebiegał kartki „Znicza” i dostrzegał dążność i szczęśliwy obrót do gruntownego rzeczy traktowania. Życzył Lelewel wydawnictwu: „Znicz Wasz niechaj nie znika; nie sprawi on zniszczenia ale wznieci u Was i w drugich wzrost myśli i nauki”.

W końcu Lelewel dodał: „Winszuję Wam korekty, jakiej poznańskie drukarnie upornie znać nie chcą. Zwykle utyskują oni na zecerów, a to wina nieładu drukarni i ostatecznego korektorów niedbalstwa.”

Czy „Znicz” wyszedł jeszcze w roku 1853 i w latach następnych, nie zdołałem stwierdzić. Jednakże wobec tego, że właśnie w roku 1853 władza rozwiązała Towarzystwo literacko-słowiańskie, należy przypuszczać, że „Znicz” upadł.

Gdy w roku 1855 profesor Gitzler u władz wyjednał zatwierdzenie zreorganizowanego towarzystwa pod nazwą: Akademickie towarzystwo literacko-słowiańskie, przetrwało takowe do 3 lipca 1886 roku, w którym to dniu zostało ostatecznie rozwiązane przez ministra Gosslera. „Znicza” już nie wzbudzone.

Egzamin na nauczycieli gimnazjalnych w tym semestrze złożyło 2 Polaków.

<sup>16)</sup> Znicz, z. 2-gi, str. 103—114.

<sup>17)</sup> Tamże, str. 114—121.

<sup>18)</sup> Tamże, str. 121—133.

<sup>19)</sup> Tamże, str. 133—135.



## Wycieczki Górnoślazaków do Krakowa.

Dla podtrzymania ducha narodowego w czasach niewoli doniosłym czynnikiem były wycieczki Polaków z zaboru pruskiego i rosyjskiego do Krakowa. Sam widok pamiątek historycznych Krakowa nastrojał na ton patriotyczny; tu można było mówić swobodnie po polsku, tu można było zaintonować narodową pieśń. Nie dziw, że pokrzepieni na duchu wracali bracia nasi i tem wytrwalej stawali opór uciskowi zaborców.

Dzięki większej swobodzie politycznej w zaborze austriackim mógł Śląsk Cieszyński nawiązać bliższe stosunki współpracy z instytucjami narodowymi w Krakowie. Coroczne wycieczki Ślązaków cieszyńskich do Krakowa należały do stałego programu tej współpracy. W towarzystwie takich wycieczek, organizowanych głównie przez Dra Seidla, prezesa „Jedności”, przybywała także garstka Górnoślazaków po zwalczeniu licznych trudności, któremi zabór pruski szykanował wszystkich bojowników narodowych. Później dopiero zachęceni serdecznem przyjęciem, urządzali Górnoślazacy gremjalne wycieczki do Krakowa, budząc tu podziw malowniczymi strojami.

Jedną z pierwszych wycieczek była wycieczka w r. 1899 na Zielone Święta wspólnie z braćmi z pod Cieszyna, Bogumina i Morawskiej Ostrawy. Wizyta gości śląskich przybrała w Krakowie formę wielkiej manifestacji narodowej. Komitet demokracji krakowskiej z drem Jordanem na czele, z przedstawicielami młodzieży akademickiej i „Czytelni dla kobiet”, powitał przybyłych gości na dworcu kolejowym mowami, w których drgała nuta radości i dumy na widok tych, którzy bohatersko walczyli o polskość za kordonem. „Chór akademicki” witał ich pieśnią, a następnie znakomita orkiestra krakowskiej „Harmonji” przygrywała w czasie pochodu, zmierzającego do katedry na Wawel. Po wysłuchaniu mszy św. udali się goście na zwiedzanie pamiątek Krakowa; wiecz-

rem byli na przedstawieniu „Kościuszki pod Racławicami” Anczyca, reagując z entuzjazmem i wzruszeniem na sceny, pełne patriotycznego polotu. W drugi dzień Zielonych Świąt uczestniczyli goście ze Śląska w nabożeństwie na Skałce, następnie udali się na Kopiec Kościuszki a popołudniu byli na festynie, urządzonym dla nich w parku Dra Jordana.

Ucztą w hotelu Saskim żegnał Komitet drogich braci. Wzruszający był moment, gdy chór młodzieży śląskiej odśpiewał kilkanaście pieśni patriotycznych: bo oto ta pieśń stwierdzała niezbicie, że duch narodowy tkwi głęboko w świadomości ludu śląskiego.

Odtąd rok rocznie gościły wycieczki górnośląskie w Krakowie. Co więcej, przybywały nietylko po otuchę do tej Świątyni narodowych pamiątek, ale zarazem przybywały z dorobkiem swojej trudnej pracy twórczej, tem cenniejszej, że lud górnośląski rozwijał się wśród ucisku i surowych represyj ze strony wroga.

Nastąpiły czasy Wrzeźni; terror pruski rozszalał. I wtedy to na Wielkanoc 1902 roku przybyła do Krakowa liczna drużyna włościańska z pod Katowic, by pokazać, jak „otrzęśli się z pleśni niemieckiej”. Prowadził ich przemysłowiec katowicki Szymkowiak i Helena Sołtysowa, żona redaktora „Gazety Polskiej” z Zabrza.

Organ krakowskich demokratów, „Nowa Reforma”, i jej redaktor naczelny Michał Konopiński, witał w serdecznych słowach braci ze Śląska „zawsze miłych, a teraz miłszych i droższych niż kiedykolwiek. Tam w zaborze śląskim koncentruje się ból i duma narodu”.

W „Sokole” odbyło się święcone wśród dźwięków orkiestry i pieśni patriotycznych. „Z piersi ludu śląskiego płynie silny akord wiary w przyszłość”, temi słowy zapewniali Ślązacy braci swoich o niezłomnem postano-



wieniu dalszej walki z groźnym i podstęp-  
nym wrogiem.

Następnego dnia, w niedzielę 7 kwietnia, otwarł miejski Teatr gościnne swe wrota dla sztuki górnośląskiej: bo oto na scenie krakowskiej odegrała amatorska drużyna z pod Katowic dwa obrazki dramatyczne: Karola Miarki „Kulturnik” i Piotra Kołodzieja „Dziesięć tysięcy marek”. Przedstawienie wywarło głębokie i wzruszające wrażenie. Z ust germanizowanych Ślązaków płynęło słowo polskie, pełne wyrazistej dykcji, a gdy w międzyaktach usłyszano dzieci śląskie, deklamujące pacierz polski, publiczność nie mogła się oprzeć łzom rozczulenia, a zarazem ogarnęło ją uczucie wiary i otuchy.

Część publiczności odprowadziła miłych gości na dworzec kolejowy. Żegnano ich z przeświadczeniem, że „Polska może być spokojna o piastowskie Kresy śląskie, że dzielnych braci tamtejszych nawet stokroć sroższe wysiłki wroga nie zdołają już wynarodowić”.

Za przykładem drużyny teatralnej z pod Katowic poszły później inne drużyny amatorskie, stale wykonując jedną ze sztuk dramatycznych Piotra Kołodzieja. O tym zasłużonym pisarzu ludowym i jego działalności nad odrodzeniem narodem Śląska dzisiaj zapomniano. Pominął go także Alfred Jesionowski\*), jakkolwiek osobny rozdział poświęcił starszemu pokoleniu pisarzy śląskich; jest więc i Lompa i Damroth, Bonczek, Stalmach, Jaroń i Krząszcz, a brak Piotra Kołodzieja, któremu stała się przez to krzywda.

Urodzony w Siemianowicach, ukończył Kołodziej tamtejszą ośmioletnią szkołę elementarną i rozwijał żywą działalność patryjotyczną jako wiceprezes towarzystwa św. Alojzego. Jego liczne obrazki dramatyczne zdobyły wielką popularność amatorskich teatrów ludowych na Górnym Śląsku i w Poznaniu.

\*) Alfred Jesionowski, Współczesna twórczość literacka Śląska, Instytut Śląski w Katowicach, Komunikat nr 34.

skiem. Oto ich spis: Bogata wdowa, Sąsiedzi, Dziesięć tysięcy marek, Wyczuźnik, Poczciwy młynarz, Czarownik, Pan fabrykant mioteł, Obieźysasi, Górnicy, Pilnuj obowiązku swego, Rocznicza, Janek doktorem, Szopka betleemska.

Trzy z tych obrazków grane były w Krakowie. „Treść ich dydaktyczna, umoralniająca, opiera się na wątem opowiadaniu, ale przepojona jest szlachetną tendencją i najprostszymi środkami osiąga cel zamierzony” — tak scharakteryzował obrazki Kołodzieja sprawozdawca „Nowej Reformy”, gdy w r. 1903 przybyła w styczniu do Krakowa drużyna teatralna z Gliwic, złożona z 30 osób i w malowniczych kostjumach śląskich odegrała „dwie sztuczki popisowe” Piotra Kołodzieja: „Sąsiedzi” w 3 aktach i „Bogata wdowa” w dwóch aktach. W obydwóch sztuczki akcję urozmaica muzyka: śpiewy solowe, duety, chóry męskie i żeńskie kompozycji Franciszka Ksawerego Zaremby.

Przedstawienie odbyło się 4 stycznia o godzinie 3 popł. w Teatrze miejskim na budowę domu polskiego na Górnym Śląsku. Orkiestra „Harmonji” grała między aktami cykl pieśni patryjotycznych. Na przedstawieniu stawili się wszyscy, którzy „współczuli z dolą braci z Górnego Śląska, by dać dowód sympatji i życzliwości dla nich”.

Z ówczesnych dzienników krakowskich czerpiemy treść wszystkich trzech odegranych obrazków dramatycznych Piotra Kołodzieja.

W sztuczce „Dziesięć tysięcy marek” chciwy i skąpy szewc Baltazar pozwala swemu synowi poślubić ubogą sierotę, bo dowiedział się, że ona ma los loteryjny, na który padła w ostatniem ciągnięciu wygrana 10.000 marek. Po ślubie dowiaduje się, że w liście wygranych znalazła się pomyłka!

Drugi obrazek „Sąsiedzi” przedstawia zgubne skutki niezgody sąsiedzkiej i manji procesowania się, z morałem, że wobec gnębiącego nas wroga powinny ustać wszelkie nieporozumienia sąsiedzkie wśród ludu polskiego.

Akcja „Bogatej wdowy” obraca się około losów zamożnej, owdowiałej gospodyni, która pada ofiarą wyzyskiwacza-zalotnika.

Najsilniej przemawiały do publiczności krakowskiej sceny zbiorowe, bezpośrednie w swym efekcie. Przepyszne stroje, tańce i śpiewy potęgowały niezwykle wrażenie.

„Sąsiadów” grali Ślązacy w Krakowie jeszcze w r. 1909 w niedzielę, 18 kwietnia, gdy z inicjatywy „Straży polskiej” przybyła amatorska drużyna teatralna z Rożdżeniana dla zwiedzenia pamiątek historycznych Krakowa. Dyrektor Teatru ludowego Edmund Rygiel oddał im do dyspozycji

swą scenę i po przedstawieniu dziękował im za to, że przybyli i zadokumentowali, jak „wytrwale lud górnośląski walczy w obronie polskości”. Przemówił również M. Magiera i podniósł, że „włościanie dali świadectwo, jak droga im jest mowa polska, którą od wieków darmo się stara wydrzeć im zacięłość krzyżacka”.

Goście górnośląscy odśpiewali na zakończenie „Z dymem pożarów” i mazurek Dąbrowskiego; tłumnie zgromadzona publiczność stojąc wysłuchiwała pieśni.

W Krakowie, w sierpniu 1935 roku.

## Materiały.

### Śląsk w pamiętnikach Staszica.

W związku z artykułkiem p. Ludwika Musioła, zamieszczonym w „Materiałach” w poprzednim numerze<sup>1)</sup>, a przytaczającym dwa wyjątki z pamiętników Staszica, odnoszące się do jego przejazdu przez Śląsk, zwrócił mi uwagę p. Wacław Olszewicz, że tylko drugi ustęp, opowiadający o przejeździe Staszica przez Śląsk w roku 1790, jest wyjątkiem z jego pamiętników, pierwszy natomiast pochodzi z pamiętników Bohusza, barszczanina.

Powodem nieporozumienia jest cytowanie przez p. Musioła wydanie „Dziennika podróży” ks. Stanisława Staszica, w opracowaniu Aleksandra Kraushara<sup>2)</sup>. Kraushar bowiem, ogłaszając „Dziennik”, ocenił rękopis Bohusza za rzecz Staszica i ogłosił ją drukiem, przyznając mu bezsporne autorstwo. Badania późniejsze nad „Dziennikiem” Staszica i nad jego życiem wogóle, prowadzone przez Czesława Leśniewskiego, docenta uni-

wersytetu warszawskiego, doprowadziły do zupełnie odmiennych wniosków<sup>3)</sup>, różniących się zasadniczo od poglądów Kraushara, a część „Dziennika podróży” okazała się zapiskami Ksawerego Michała Bohusza<sup>4)</sup>. Szczegółowe dociekania Leśniewskiego nad zagadnieniem powyższym znajdzie czytelnik w cytowanych poniżej pracach i ponownym wydaniu „Dziennika podróży”, dokonaniem również przez Leśniewskiego, gdzie na szczególniejszą uwagę zasługuje wstęp wydawcy<sup>5)</sup>.

Drugi ustęp w artykuliku Musioła kończy się zdaniem „Od Bielska zaczyna się kraj

<sup>1)</sup> Ludwik Musioł, Śląsk w pamiętnikach Staszica, Zaranie śląskie, XI (1935), zeszyt 3, str. 206—208.

<sup>2)</sup> Ks. Stanisław Staszic, Dziennik podróży, 1777—1791, Wydał Aleksander Kraushar, Warszawa 1903, t. I, str. 92 i t. II, str. 20.

<sup>3)</sup> Czesław Leśniewski, Stanisław Staszic, jego życie i ideologia w dobie Polski Niepodległej (1755—1795), Rozprawy historyczne Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, t. V, Warszawa 1926, str. 30 i nast.

<sup>4)</sup> Czesław Leśniewski, Bohusz — nie Staszic, Przegląd historyczny, 1927, zes. 3, str. 385—397.

<sup>5)</sup> Dziennik podróży Stanisława Staszica, 1789—1805, Z rękopisów wydał Czesław Leśniewski, Kraków 1931, Polska Akademia Umiejętności (Archiwum do dziejów literatury polskiej, XVII), str. LXVI, 515.



śląski", a warto przytoczyć dalsze jeszcze ustępy o Śląsku Cieszyńskim<sup>6)</sup>.

„Z Cieszyna nocowaliśmy w Tesznowicach, wsi należącej do niejkiej pani Ozarowskiej, wdowy, szlachcianki. Chłop po trzy i po pięć dni pańszczyzny robi. Karczmarz na rok płaci z tej karczmy zł. ryń. 500. Wieś rozrzucana. Lud z Węgier i Morawy przechodzący, skarżył się wszędzie równie na urbaryusz; jedni woleli przeszłe zarządzenia pańszczyzny, drudzy woleli urbaryusz. Lecz wszyscy powiadali mi, że podatków z urbaryusza wypadłych nie wydołaliby płacić, gdyż teraz sprzedają bydło.

Dnia 30 kwietnia 1790 z Technicy przejeżdżaliśmy przez Fredek, miasteczko grafa Prażmy. Są to dwa miasteczka, jedno stare, drugie nowe, a ich środkiem płynie rzeka Fredeczka. Miasteczko rozległe, częścią muryrowane, częścią zabudowane. Graf ma swój zamek stary nad Fredeczką. Niziny bardzo żyzne i łąki użyteczne.

O kilka staj od miasteczka Fredek leży miasto dziedziczne książećcia Koloredo, także rozległe, częścią zamurowane, częścią zabudowane. Rzemieślników liczno. Tamstąd o ćwierć mili jedliśmy obiad w nowo zakładającej się wiosce, Lutrzyńkowie...

Droga z Bielska do Cieszyna nieskończona, zła i górzysta. Drogi są bardzo użyteczne pewnie podczas wojny i w każdej porze czasu dla furmanów, ale niewygodne dla wojażujących. Góry wszędzie śniegiem były okryte, chociaż jeszcze dalekie od gór najwyższych. Deszcze w nich muszą wielkie robić przerwy, gdyż widać po korytach rzek obszerne zawały kamieni. Kamień jest piaskowcem. Budynki włością nierównie porządniejsze od naszych, także słomą lub szkudami pokryte. Kominy wszędzie. Okna od naszych większe. Szkołki po wszystkich wsiach. Dzieci, o  $\frac{1}{4}$  mili i o pół mili idące do szkoły, chleb, ser albo jaki owoc z sobą niosą na

<sup>6)</sup> Cytuję według wydania Leśniewskiego, str. 14—15. Po słowie „Lutrzyńkowie“ jest mowa o części już morawskiej i tę opuszczam, natomiast w dalszym ustępie jest mowa o drogach i tę znów podaję.

obiad, gdyż dopiero wieczór powracają do domu. Zwykle żyta mierzycza po 2 ryńskie, a korzec owsa po 12 zło. pol. sprzedaje się.”

Tyle podczas podróży do Wiednia i do Włoch, przedsięwziętej w roku 1790. „Tosznowice” objaśnia wydawca jako „Toszanowice, m-ko na Śląsku Czeskim, w okr. cieszyńskim”, co okazuje się błędnem, bo chodzi zapewne o wieś Toszonowice. I dalej: Ozarowska — „Ożarowska — która? Według archiwum m. Toszanowic, należało ono ok. r. 1790 do Skrzydłowskich i Harasowskich”. I tu oczywiście chodzi o wieś Toszonowice. Technica — to nazwa jakaś błędnie z pewnością zanotowana przez Staszica, bo takiej trudno się doszukać w okolicach Frydku. Również mylnie nazywa Staszic Ostrawicę, notując ją jako Fredeczkę.

Podczas podróży z Warszawy do Paryża przejeżdżał Staszic dnia 14 października 1804 roku przez Wrocław<sup>7)</sup>. Ciekawe jego wrażenia i spostrzeżenia ze stolicy śląskiej zasługują na osobne omówienie i ogłoszenie, natomiast notatkę z drogi powrotnej, przez Śląsk Cieszyński, warto jeszcze przytoczyć w związku z poprzedniemi<sup>8)</sup>.

„Dnia 23 [lipca 1805]. Z Freybergu czy z Przyboru do Fridka i Mistka jest gład, gładziopień i mnóstwo pudynków. Tu po drodze robią most z kamienia zlepowisk, od Jabłonki przywiezionego; dowód Jabłonka i Cieszyn. W okolicach Skoczawy same wapienne ościenne opoki i glinełopienie i margiele; dowód Skoczawa<sup>9)</sup>.

Dnia 24. W Bielsku nocowałem. Okolice jego składają góry z wapieniów, z margielów, z glinełopieniów. Są opoki margielu, którego ławice prześcięta glinełopień. Kierunek ławic od południa ku północy, a pochyl w głąb na wschód. Tego samego gatunku góry są w kolicach Kętów i Wadowic...”

Drogą Bielsko-Cieszyn-Frydek przejeżdżało wiele innych jeszcze „znakomitości”,

<sup>7)</sup> Wydanie Leśniewskiego, str. 392 i nast.

<sup>8)</sup> Wydanie Leśniewskiego, str. 413—414.

<sup>9)</sup> Skoczawa — to oczywiście Skoczów, mylnie objaśniony przez wydawcę jako miasto w powiecie bielskim.



wędrując z kraju na zachód względnie na południe. Kazimierz Brodziński w swym „Dzienniku wojskowym z 1813 roku” również o drodze tej opowiada<sup>10)</sup>, o czym osobno pisał przed kilku laty prof. Ludwik Jasek<sup>11)</sup>, a nie jest wykluczone, że i w innych pamiętnikach o trakcie tym znalazłyby się wzmianki.

Przejazd K. M. Bohusza i jego zapiski, przypisane przez Kraushara Staszicowi, są ciekawym przyczynkiem do dziejów barszczan i ich związków z Cieszynem. Pisał już na ten temat prof. Ludwik Jasek<sup>12)</sup>, tu i ówdzie znajdzie się o tem jakaś notatka<sup>13)</sup>, lecz ciągle jeszcze brak jaśniejszego obrazu tych ciekawych dziejów.

I Staszic — skoro przy nim jesteśmy — w swym „Dzienniku” (wyd. Leśniewskiego, st. 308) napomknął o konfederatach barskich w Cieszynie. Kiedy w Wiedniu pokazywano mu stolik ambasadora rosyjskiego Golicyna, nie zbliżył się do niego. „Niecne narzędzie służyło mu — pisał Staszic o stoliku — do machiawelicznych układów, które zgubiły poczciwych, w dobrej wierze i słowie zaufanych Polaków, przez związek Baru broniących swojej ojczyzny, a na słowie poczciwości siedzących w Cieszynie. Na tym stole robił (Golicyn) bezecne układy pierwszego rozszarpania mojego narodu.”

*Ludwik Brożek.*

<sup>10)</sup> Kazimierz Brodziński, Wspomnienia mojej młodości i inne pisma autobiograficzne, Wstępem i objaśnieniami zaopatrzył dr A. Łucki, Kraków 1928, Biblioteka narodowa I 113, str. 88 i nast.

<sup>11)</sup> Ludwik Jasek, Przemarsz wojsk księcia Józefa Poniatowskiego przez Cieszyn i Śląsk austriacki w roku 1813, Gwiazdka cieszyńska, 1928, 35 (nr jubileuszowy).

<sup>12)</sup> Ludwik Jasek, Konfederaci barscy w Cieszynie, Gwiazdka cieszyńska, 1925, 95, 97, 99, 102; 1926, 4, 6.

<sup>13)</sup> N. p.: Zabytki po konfederatach barskich w Łodygowicach, Gwiazdka cieszyńska, 1875, str. 28—29, 36.

Z źródłowych dociekań nad nazwami oraz nazwiskami w poemacie Rożdzieńskiego „Officina Ferraria”.

Wydanie przez prof. Pollaka unikatku polskiego druku z roku 1612 p. t. „Officina Ferraria” wywołało już żywe zainteresowanie tak w świecie literackim, jak u historyków. Zainteresowanie tem osobliwym dziełem przejawia się również w kołach nauki niemieckiej. Ze względu na doniosłe znaczenie tego zabytku zwłaszcza dla dziejów przemysłownictwa Śląska i wogóle Polski zachodniej, możliwe zupełne wyświetlenie podanych w tem dziele szczegółów drogą sprawdzających badań historycznych jest ze wszęch miar wskazane.

Dzieło Walentego Rożdzieńskiego przetkane jest bowiem licznymi wzmiankami natury topograficznej oraz nazwiskami osób, związanych z powstaniem przemysłu na Śląsku. Przy zamiarze sprawdzania historyczności tych osób oraz zlokalizowania naprowadzonych tam nazw topograficznych i innych danych nie wystarczą częstokroć odnośne źródła drukowane. Tu z konieczności sięgać trzeba do materiałów źródłowych lokalnych, jakie dotąd spoczywają w rękopisach po różnych archiwach. I rzeczywiście okazuje się, że takie postępowanie przynieść może pożądane wyniki.

Dlatego też, idąc po śladach wyliczonych u Rożdzieńskiego kuźnic, dotarłem do archiwum miasteczka Woźnik, gdzie zachowało się sporo dawnego materiału archiwalnego z XV i XVI wieku, m. i. księga miejska z protokołami z lat 1483—1598. W tej to księdze wspomina się niejednokrotnie o kuźnicach nad rzeką Małpadwią, oraz o ich właścicielach — kuźnikach. Wiadomości w tem źródle zdawają się potwierdzić zupełną wiarygodność naprowadzonych u Rożdzieńskiego powyższych danych, o ile chodzi o okres współczesny Rożdzieńskiemu lub wogóle o wiek XVI.

Poniżej przytaczam poszczególne wzmianki o kuźnicach nad Małpadwią, jakie mogłem odnaleźć w księdze miasta Woźnik, wyprzedzając każdą wzmiankę odpo-

wiednim cytatem z poematu W. Roździeńskiego:

1.

Zaczynam tych czasów te wszystkie kuźnice  
Małpadewskimi zowią, co są na tej rzece.  
Których jest siedm: od góry zielonego pierwsza...

Otóż ta „Kuźnica Zielonego” lub „Kuźnica Zielona” (na mapie Wielanda z roku 1736 ma także niemiecką nazwę „Grünhammer”) wspomniana jest w Księdze Woźnik jako „Borunowska Kuźnia” w roku 1595. W tym roku „Michał Zielony wyrzeka się Borunowskiej Kuźnicy, którą miał po nieb. Jędrzeju, oycu swym własnym” (str. 15).

2.

Wtórą zowią miodkowską tę, co jej jest bliższa.

Miodkowska Kuźnica, w miejscu, gdzie dziś miejscowość „Miotek”, wspomniana jest w naszym źródle kilkakrotnie. Na mapie Wielanda z roku 1736 nosi nazwę: „Metkauer Hammer”. Sama miejscowość wzmiankowana jest w woźnickiej księdze w roku 1484: „Stanislaus z Gmedka”. Następnie razem z Kuźnicą Kuczowską w r. 1560: „...a na kuznicach było mu winien u Myodka y u Kucza...” (str. 177). Obszerniejszą wiadomość o kuźnicy miodkowskiej zawiera zapisek z roku 1589, w którym syn starego kuźnika nosi niemieckie przezwisko „Fux”! Oto dosłowny cytat: „Tomasz Fux, Jana Miodka Kuźnika nieboszcika syn, dobrowolnie iest wyznał, że mu za then dział, czo po nieb. ojcu swym na Kuźnicy Miotkowskiej miał, od Je. Mił. pana Jana Kamiencza z Kamienia a na Woznikach, pana jego dziedzicznego, za bratha Jego Jacuba Miotka, który tho dział mu bel tenze Jacob Miodek odbicz y zaplaczicz powinien, sie iest upełna zapłata stała” (str. 159). Że tu syn ma inne przezwisko od ojca, nie powinno nas dziwić, gdyż wówczas przewartościowania rzadko się dziedziczyły i nieraz każdy z rodzonych synów przybierał inne nazwisko. Dziedziczyło się tu nazwisko „Miodek” tylko na syna, który obejmował kuźnię, co powszechne było u „kuźników”.

3.

Pod tą jest bardzo stara kuźnica Kuczowska.

Przytoczyłem powyżej zapiskę z roku 1560, gdzie jest mowa m. i. o kuźnicy „u Kucza”. „Kucz” może być nawet upodobniony do wymowy polskiej „Gocz” (skrót od imienia „Gotschalk”), które to niemieckie imię (ongiś bardzo pospolite) na Śląsku spotyka się w bardzo licznych odmianach, raz z niemiecką, raz więcej z polską urabiających, m. i. jako: Gotsche, Gutsche, Kotsche, Kutsche, Koczy, Kotschy, Kotz, Kutzia, Koczias, Kocz, Kucz i t. d. Goczałkowie (= Gottschalkowitz) n. p. pisane są w XVI wieku także „Koczialkowitz”!

Roździeński nazywa Kuczowską kuźnicę „bardzo starą”. Może do niej odnosi się zapisek w naszej księdze miejskiej z roku 1485 (str. 61): „Martinus alias Woznicza de fabrica a magistro Nico”. Ów Marcin Woźnica z kuźnicy mistrza Niki występuje tu jako świadek między innymi świadkami z Psar pod Woźnikami, więc w bezpośrednim sąsiedztwie Kuczowskiej Kuźnicy.

4.

Czwarta niżej pół mili leży jędrykowska.

Roździeński w innym miejscu wspomina jeszcze o tej kuźnicy określeniem: „u Jędryska”.

O tym „Jędrysku” (i dziś jeszcze gmina, wyrosła w miejscu dawnej kuźnicy, nazywa się: Jędrysek!) — również znajdujemy wzmianki w naszym źródle: W spisie danin parafjan woźnickich dla kościoła w Woźnikach zaznaczono na rok 1505: „Jędrysek tenetur tydzyen ferri” oraz „item tenetur Jedrysek 5 curros ferri”. Uiszczal więc daninę w gotowym żelazie, i albo przez tydzień pracował w kuźni dla kościoła, lub dostarczał 5 wozów żelaza.

Na tem urywają się wiadomości o kuźnicach w najstarszym protokolarzu miasta. Drugi protokolarz, obejmujący lata 1598 do 1684 niewątpliwie zawierać będzie dalszy materiał o tutejszych kuźniach. Wiadomości, zawarte w księdze starszej, pochodzą z cza-



sów przeważnie wcześniejszych od pamięci Roździeńskiego (urodzonego w Roździenu około r. 1570), który wiadomości te czerpał chyba przeważnie od ojca swego, pochodzącego z kuźnicy bruskowskiej w Lublinieciem.

Przy tej sposobności jeszcze kilka uwag o osobach, wspomnianych w dziele Roździeńskiego: W licznych miejscach wspomina autor o „Mysznarach” t. j. o przybyszach niemieckich z „myszyńskiej ziemi”, którzy w tutejszych stronach śląskich i w zachodniej Polsce mieli zaprowadzić po raz pierwszy mechaniczne kuźnice (hamernie). Pisze Roździeński dosłownie:

Tento kuźnik, iż wyszedł z myszyńskiej krainy, Mysznarem od Polaków w Polsce był przewzany.

Nazwisko to występuje także w protokolarzu miasta Woźnik, choć ów wynika dokładnie z protokołu, że ów Mysznar był obywatelem Woźnik, czy Bytomia, czy też wogóle jakim kuźnikiem. Według treści protokołu z roku 1503 napadli złodzieje w lesie pod Woźnikami niejakiego „Misznara” i „męczyli” go. Ujmuje się za nim rada miasta Bytomia. Nazwisko „Mysznar”, „Misznar”, jest z niemiecka urobione, a w innych źródłach nazwisko to w XIV wieku brzmi „Myssener”, a dziś brzmiałoby „Meissner”. Należałoby poszukiwać za dalszymi „Mysznarami” na Śląsku Górnym.

Jeszcze jedna uwaga do rzekomego wyvodu rodowego Roździeńskich od Brusków, a tych od „Hercygów”. Warto wspomnieć, że nazwisko „Hercyg” (Herzig), jest, biorąc językowo, tylko uboczną, dialektyczną formą regularnej postaci: Herzog. W licznych zapisach, w których język ma zabarwienie dialektyczne, forma ta występuje ze zmienioną wokalizacją (o na i). Dla przykładu przytaczam tylko odstępek z protokołu zeznań świadków, ziemiaństwa ziemi pszczyńskiej, pisanego w Żorach (w roku 1559) w języku niemieckim: „amichtman des herczigk Kesemir” (= Herzog Kasimir = urzędnik Księcia Kazimierza) i wszędzie tu wyraz „herczog” oddano przez „herczigk”. W związku z tem należy przypomnieć, że rodzi-

na „Herczogów” (przezwisko tak pisane) istotnie odgrywała obok Glawerów także na Śląsku rolę w uprzemysłowieniu Śląska i jeszcze w roku 1664 jest wspomniany niejaki „Herczog”, jako zarządca kuźni w Altenbergu w obwodzie jeleniogórskim. Nazwisko Herzygów po dziś na Śląsku istnieje. Z „serccm” (Herz) lub przymiotnikiem „herzig” (serdeczny) nazwisko to niema nic wspólnego, choć później było w tym sensie rozumiane nawet przez samego Roździeńskiego<sup>1)</sup> i w języku polskim na „Serdeczników” przełożone, a nawet herbem tak nazwanym ród ten darzono. Poszukiwania za rodem Herzygów będą się więc musiały rozciągać również na nazwisko „Herzog”.

Dalsze uwagi o kuźnicach nad Małpadwią, Rybną, Rawą i Kłodnicą odkładam na czas późniejszy. Nadmieniam tylko, że materiały archiwalne, nie publikowane dotąd, zawierają bardzo ciekawe wiadomości o dawnym uprzemysłowieniu Śląska i mogą istotnie wpłynąć na zmianę dotychczasowych poglądów na tę dziedzinę gospodarki.

Ludwik Musioł.

### Historyczny Klimczok.

#### *Przyczynek do dziejów rozboju w Beskidach.*

Czy legendarna postać rozbójnika Beskidów śląskich, Klimczoka, rzeczywiście ma jakie oparcie o fakta historyczne? Owszem! Dokładnie przed dwustucierdziesiąt laty zakończył autentyczny Klimczok swój burzliwy i niechlubny żywot rozbójnika w torturach sądu cieszyńskiego.

Z dziwnym uczuciem czytamy umieszczone poniżej relacje współczesne (z lat 1694 i 1695) o tym rozbójniku i jego szajce. Dziwnem jest także, że nazwisko takie mogło się w tradycji ludowej przechować przez półtrzecia wieku i jeszcze w naszych dniach podobać pisarzy do tworzenia „epopei” roz-

<sup>1)</sup> Dawna to familja i dom starożytny,

A od serca śmiałego ma imię Serdeczny.

Roman Pollak, Staropolski poemat o górnikach i hutnikach, Przegląd współczesny, nr 138 (październik 1933), str. 114.



bójniczej, której bohaterem jest właśnie Klimczok<sup>1)</sup>.

Wartoby wszcząć poszukiwania za dalszym materiałem źródłowym do „działalności” Klimczokowej szajki, jako ilustracji do dziejów bezpieczeństwa w drugiej połowie XVII wieku.

Oto następują relacje współczesne, z których pierwsza jest rozpaczliwym wołaniem duchowieństwa dziekanatu pszczyńskiego skierowanym do biskupa krakowskiego (oryginał łaciński), dalsze zaś notatki, to tylko przygodne wspomnienia o Klimczoku w zeznaniach świadków w pewnej rozprawie sądowej w Pszczynie z roku 1695. — Oba źródła przechowywane są w archiwum ksiądzem w Pszczynie:

1.

*Pismo z roku 1694 duchowieństwa dziekanatu pszczyńskiego do biskupa krakowskiego*<sup>2)</sup>.

Najwyższy książę, najjaśniejszy a przewielebny Panie, Panie Patronie i Dobrodzieju najłaskawszy!

Ojcowska opieka Waszej Najjaśniejszej Wysokości tak rozprzestrzenia się ustawicznie między duchowieństwem całej diecezji Krakowskiej, że chyba nikt nietylko w Koronie Polskiej, ale także daleko i szeroko poza nią nie znajdzie tak zapadłego miejsca, gdzie sława ta nie znalazła swego głosiciela.

<sup>1)</sup> Poniżej podajemy opracowania literackie wątku zbójckiego z postacią Klimczoka, jako bohaterem głównym, które ukazały się ostatnimi czasy:

1) Jan Tadeusz hrabia Klimczok; anonimowa powieść sensacyjna z ilustracjami, drukowana w roku 1933 w całostronicowych dodatkach dziennika „Siedm groszy”, wydawanego przez Zakłady Graficzne i Wydawnicze „Polonia” S. A. w Katowicach.

2) Karl Herma, Räuberhauptmann: Klimczok, Ein Roman aus der alten Stadt Bielitz, Berlin 1932, Ernst Polak Verlag, Druck: Johann & Karl Handel, Bielitz, 8<sup>o</sup>, S. VIII, 327, 1.

3) Piotr Śmietana-Sokółski, Hrabia Klimczok, Dramat w pięciu aktach, Nakładem księgarni Tadeusza Mikulskiego w Katowicach (bez daty), str. 2, 46. — Rzecz dzieje się na Śląsku w połowie XIX wieku.

<sup>2)</sup> Przekład z oryginału łacińskiego.

Do teje więc opieki przeto my, dziekanatu pszczyńskiego pasterze, często się uciekamy, prosząc uniżenie, abyś raczył niżej naprowadzonej uniżonej prośbie naszej nachylić łaskawie swe ucho i podać swą pomocną dłoń. Niewątpliwie wiadomem jest Waszej Wysokości, jakich prześladowań i szyderstw doznali wielebny kler oraz kościoły diecezji krakowskiej ze strony świętokradzkich zbójów w bieżącym roku 1694.

Lecz najbardziej myśmy przez nich cierpieli, którzyśmy przez całe lato aż do tej chwili, opuszczając nasze probostwa, chronić się musieli do najbliższych miast, czy to ukrywać się po polach lub też gdzieindziej, a to dla ratowania życia lub też uchronienia mienia czy też sprzętów kościelnych, z widoczną szkodą dla zbawienia dusz nam powierzonych. To tylko nadmieniamy, że z naszego dekanatu dwu proboszczów, miedziwiński proboszcz oraz proboszcz z Niemieckiej Wisły, ograbieni z swych rzeczy, ledwo przy życiu zostali; a to przy zastosowaniu ze strony baronackiego urzędu pszczyńskiego wszelkich środków do ujęcia zbójów; trudno bowiem jest i omal niemożliwością ująć tego rodzaju świętokradzkich górali („sacrilegos homines montanos” brzmi to miejsce w oryginale), którzy dniami po lasach się ukrywają, nocą zaś, w największej ciszy i tajemnicy wykonują nad niespodziewającymi się swe nieczne dzieło.

Wspomniani zbóje zestawiają swoją szajkę przeważnie z obwodu żywieckiego oraz łodygowickiego, a jak powszechnie podawają, ma ich być przedewszystkiem dwóch, zwanych Klimczykowie (w orygu. duo cognomine Klimczykowie), a trzeci Talik, ich podherszt (eorum decurio!), wraz ze swym krewnym, zwanym Franciszkiem, ci z państwa żywieckiego pochodzą; z dziedziny Łodygowickiej pochodzi zaś niejaki Pietruszka, który to wraz z innymi zbójami był u wspomnianego proboszcza miedziwińskiego w naszym dekanacie. Idą jednak pogłoski, że najjaśniejsi i przestawni panowie starostowie, żywiecki i łodygowicki, mianowicie Panowie Wielopolski i Warszycy, na ich żą-

danie oraz z innych względów wystawiają i wydawają takowym w autentycznych pismach glejty i wolności, jak również ich ekonomi, przez przekupstwo i podarki zwiedzeni, dozwalają skrycie na tak okropne wyczynny i większość tych zbójów puszczają na wolność; a osobliwie mówi się to powszechnie o ekonomie żywieckim, że w ten sposób dalszą i większą sposobność do rozbójstwa daje tym i innym rozbójnikom,, a dostarcza im silnej podpory.

Przeto my, ścieląc się do nóg Waszej Najjaśniejszej Wysokości, prosimy najusilniej, aby dla niebezpieczeństwa życia, oraz innych licznych szkód i niepokojów duchowieństwa, tak tutejszego dekanatu, jak innych dekanatów podgórskich, dla groźących kościołom szkód, dla utraty zbawienia dusz krwią Chrystusa odkupionych, nie ociążała się Wasza Wysokość u wzmiankowanych najjaśniejszych panów zaznaczyć swój autorytet i za nas się stawić, aby nie pozwalali wydawać zbójom tego rodzaju uwolnień, oraz by ową pobłażliwość ekonomów swych bez słusznego upomnienia nie przepuszczali, a owszem aby tych rozbójników (jak się to dzieje w księstwie Cieszyńskim) pilnie tropili i pojmywali, a zasłużonemi karami ukarali.

Gdy to się dokona z ojcowskiej łaski, nasi parafjanie, w ten sposób uwolnieni z utraty zbawienia, my zaś z rąk nieprzyjaciół naszych wybawieni, Bogu oraz Waszej Najjaśniejszej Wysokości z wypogodzoną miną i bez trwogi służyć będziemy. Której to ojcowskiej miłości i opiece najuniższej się polecając, a o zbawienie i zachowanie zdrowia Waszej Najjaśniejszej Wysokości na długie czasy modląc się, zostajemy niegodni bogomodlcy i najniżsi klienci N. N...

2.

*Zapiski w księdze sądowej pszczyńskiej*

(„Gerichtsbuch“, str. 234):

Wyjątek z protokolarnych zeznań (w przekładzie z języka niemieckiego) z rozprawy sądowej w roku 1695:

„Pani von Stoltzin, po uczynionej relacji o Klimczoku wydobyla mu list z kieszeni”.

Inny świadek zeznaje o tej samej sprawie: „Pani Stoltzin opowiadała mu z listu, co ma być przedsięwzięte z ujętym Klimczokiem”.

Chodziło tu o list, jaki mąż powyższej pani Stoltzowej, urzędnik na zamku w Pszczynie, przesłał z Cieszyna do swej żony, a w którym opisuje ujęcie Klimczoka i o tem, jaka kara go czeka.

*Ludwik Musioł.*

**Kościół ewangelicki w Dolnych Będowicach.**

Ogłoszenie patentu tolerancyjnego w roku 1781 przez cesarza Józefa II zapoczątkowało nową erę w życiu ewangelików Śląska Cieszyńskiego. Ludność nie musiała odtąd uczęszczać na nabożeństwa do lasów, lecz słuchała słowa Bożego w domach modlitwy, które powstawały w miejscowościach o większym skupieniu ludu ewangelickiego. Domy modlitwy pierwotnie drewniane, zostały z czasem przemienione na murowane. Były jednak bez wieży, bo te wolno było budować dopiero po r. 1848. Wewnątrz nie było organ, wejście mogło prowadzić tylko z bocznej ściany. Nie było też mowy o wejściu do takiego domu modlitwy z głównej ulicy. Stąd też zaraz było się można zorientować w miejscowości, gdzie były 2 kościoły, który z nich jest ewangelicki, a który katolicki.

Do pierwszych kościołów ewangelickich, powstałych po wydaniu patentu tolerancyjnego (1781) należą: kościół w Będowicach Dolnych, w Jaworzu, w Bielsku, Ligotce Kameralnej, Wiśle i w Bystrzycy nad Olzą. W r. 1783 powstaje kościół ewangelicki w Ustroniu, r. 1788 w Drogomyślu, r. 1791 w Nawsiu, a po r. 1820 w Starem Bielsku.

Większych swobód doczekała się ludność ewangelicka w państwie austriackim za cesarza Franciszka Józefa I, po wydaniu patentu z dnia 8 IV 1861. Po roku 1861 powstaje na Śląsku Cieszyńskim cały szereg nowych kościołów. Nie były to już domy modlitwy, lecz przybytki Pańskie z wysokimi wieżami. Do kościołów powstałych po roku 1861 należą: kościół w Orłowej (1862), w Skoczowie (1865), w Górnem Międzyrze-



czu (1866), w Starych Hamrach (1876), w Trzyńcu (1899), w Boguminie (1901), we Frydku (1911), w Mor. Ostrawie (na Morawach, 1907).

Pierwotne kościoły ewangelickie powstawały w miejscowościach, gdzie było przynajmniej 100 rodzin ewangelickich.

Przy pierwszych kościołach pozwolono ewangelikom również budować szkoły, gdzie młodzież miała możliwość nauzenia się czytania, pisania, rachunków i śpiewu z kancelału.

Po ogłoszeniu patentu tolerancyjnego połączyło się zazwyczaj kilka miejscowości, by wspólnymi siłami przystąpić do budowy dużego gmachu modlitwy. Tak było i przy powstaniu domu modlitwy w Błędowicach Dolnych.

Błędowice D o l n e, to jedna z największych wiosek powiatu czesko-cieszyńskiego. Liczy obecnie 2806 mieszkańców, w czym przeszło 75% ludności ewangelickiej. Wszystkich budynków w gminie jest 502. Wschodnią granicę Dol. Błędowic tworzy Sucha Średnia i Żywocice, południową Cierlicko i Błędowice Średnie, zachodnią Błędowice Górne i Datynie, północną Szumbark i Szonów.

Wszystkie wymienione miejscowości umówiły się, że dołożą wszelkich starań, by wybudować duży i piękny dom modlitwy. Wybrano deputowanych, którzy mieli za zadanie uzyskać pozwolenie na budowę domu zborowego. Dnia 16 III 1782 uzyskano pozwolenie. Chodziło teraz o to, gdzie ma stanąć nowy przybytek Pański.

Parcelę pod budowę ofiarował baron von Seeger. Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego odbyła się 24 VIII 1782.

W tym dniu zgromadziła się ludność wszystkich okolicznych miejscowości do Błędowic, by być świadkiem tak rzadkiej uroczystości. Przybyła też ludność z Cieszyna ze swym pastorem Fröhlichem na czele, który dokonał aktu poświęcenia.

Proboszcz miejscowej parafji katolickiej Seb. Piskorz doniósł do urzędu w Cieszynie, że ewangelicy błędowscy nie budują domu

modlitwy, lecz kościół. Nie polegało to na prawdzie, bo ludność zdawała sobie dokładnie z tego sprawę, że wolno im budować tylko dom modlitwy a nie kościół.

W czym dopatrywał się proboszcz Piskorz kościoła? Ewangelicy błędowscy zaczęli budować jedną ścianę półkolistą zamiast prostokątnej i ta razita proboszcza Piskorza. Stąd to prędkie doniesienie na ewangelików do urzędu Cieszyńskiego. Urząd Cieszyński wysłał gońca do Błędowic, który miał zakazać dalszej budowy domu modlitwy. Goniec po przybyciu na miejsce zauważył, że ewangelicy nie popełnili żadnego przestępstwa. Ścianę półkolistą kazał rozebrać i budować prostokątną. Zborownicy prosili usilnie gońca, ażeby im nie czynił przeszkód w dalszej budowie. Tłumaczyli mu, że ściany półkolistej nie będzie widać z drogi, bo z jednej strony powstanie szkoła, z drugiej mieszkanie dla miejscowego pastora. Oba te budynki zasłonią zupełnie półkolistą ścianę. Po tych przyrzeczeniach goniec cofnął swój rozkaz i budowa domu modlitwy mogła się teraz odbywać bez wszelkich przeszkód.

Po ukończeniu budowy przystąpiono do wewnętrznego urządzenia. Po zupełnem wykończeniu przybytku Pańskiego, oddano go do użytku ludności ewangelickiej, która się tak bardzo krzątała koło jego budowy. Każdy przyłożył ręki do powstania tego dzieła, które dziś dominuje nad całą wioską. Ludność nie musiała się już udawać na nabożeństwa do Cieszyna, lecz słuchała słowa Bożego na miejscu.

Zaraz też zborownicy przystąpili do budowy szkoły i parafji.

Nieco później, bo w r. 1843, założono w pobliżu kościoła cmentarz ewangelicki. Do r. 1843 grzebano ewangelików na cmentarzu katolickim. Parcelę pod ewangelicki cmentarz darowała rodzina Górniaków.

Kościół ewangelicki na Śląsku Cieszyńskim, szczególnie na pograniczu etnicznym, to ostoją polskości. Świadczą o tem nabożeństwa, odprawiane co niedzieli w języku polskim, oraz polskie napisy na pomnikach cmentarzy ewangelickich. Katolickie pomni-



ki w miejscowościach: Orłowej, Suchej Średniej, Szumbarku, Szonowie oraz w innych miejscowościach Śląska Cieszyńskiego posiadają napisy czeskie.

Natomiast w tych samych miejscowościach wszystkie prawie napisy na pomnikach cmentarzy ewangelickich są polskie. Czeskie napisy powstawały na cmentarzach katolickich już za rządów austriackich. Przyczyna tkwi w tem, że pastory ewangelicy byli przeważnie narodowości polskiej, natomiast księża katolicy byli tu przeważnie narodowości czeskiej i w tym duchu wychowywali ludność katolicką.

Jeżeli w miejscowości o mieszanej ludności uzyskał miejsce katolicki proboszcz narodowości polskiej, zaraz zaprowadzał polski śpiew kościelny. Po jego odejściu, proboszcz narodowości czeskiej wprowadzał znów śpiew czeski. W ten sposób ludność katolicka ulegała większym zmianom, niż ludność ewangelicka i stąd też dziś te różnice w nabożeństwach i napisach na grobowcach.

Błędowice Dolne, w maju 1935.

*Alojzy Drózd.*

Jak Hanysek z krupniokami do piekła jechoł.

*Bajka w gwarze śląskiej.*

Po zopłociu jechoł roz Hanysek z tragaczem. W gymbie beloncała mu sie srogośno fajfka. Co kwila stanół, pokopoł w ni gwoździym, wyciągnół z kabzy mieszek z presóm i natkoł połny gorczek. Potym wzion z krupki sztrachecel, szkytrnół ło kromflek i zakurzół. Z fajfki kopcióło sie jak z kómina. Przi ty robocie poprawiół se tyż staro szeltówa na łebie i pociągnół galoty do góry, bo mu sie na basie połuzowoł pas. Szaketa niy miół; rękawy łod koszule se pozagiboł. Na dworze bóto festelnje gorko. Potym napłuł do gorści, łaps za tragacz i wio dali.

Musiół sie pierzinem łopierać buciarami w marasie. Tragacz bół ciężki. Niy dziwota! Przeca na niym stoły kopiaie niecki krupnioków, przikryte biołom płachtom.

W cołki wsi tak wom woniało, że wszystkie psy ściały sie pouruwać z łańcuchów. Stowały na zadnie szłapy i sznupy wyciągały do góry. Ze złości gryzły łańcuchy i wiszczały. Kejby im to abo cosik pomogło. Katactam, psinco!

Naszego Hanyška już downo niy bóto we wsi. Wjechoł do lasa. Tam trefiół myśliwca-djobła, ale go niy poznoł; jak to Hanyšek, taki tulifajt, nojwiększy ze wsi.

Kaj to jedziesz, Hanyšku, z tymi krupniokami?

A dyć do piekła, djobłom sprzedać!

No to dej mi kączech skosztować, przeca niy zbankrocisz!

Hanyšek wyciągnół z kabzy kozik, uchlastnół mu połówka, a drugo som ścioroł. Potym pojechoł dali, a stękanie bóto jeszcze du-go słyszcć.

Myśliwiec-djoboł kopnół sie drapko do piekła. Tam pedzioł swojym koleksom, iżby łod Hanyška kupiyli wszystkie krupnioki. Som dobre, i łon je dobry.

Zarozki za lasym bóto piekło. Wjechoła sie do taki wielki dziury, do zymi. Tam bóto cima i parno, a na samym końcu wrota.

Hanyšek przeżegnół sie trzi razy i jechoł. Ze strachu świrygotół. Kity mu sie trzynsty, a pot lurkym ś niego kapoł.

Po kwilce stoł przed wrotami piekła. Zaklupoł. Kupa djobłów podziało woroz: Rajn! (Trocha te gizdy szwandrały po niymiecku.) Hanyšek wproł jim sie do izby z całym tragaczym.

Jedno djobły grały w karty, „na psa”, inksze stępały gorzołka, tańcowały, kurzyły rube cygary i szpetnie klyni. Te „jasne” to ino tak furgwały. W inszym koncie maściyli sie paskudnie, czym popadło: piyńściom, nozym, hokym, łopatkom. Jeden srogi djoboł klynczoł na malučkym i móciół go piyńścióm po łebie za to, iż niy nałuczył sie jeszcze dobrze klonć. W ty rwace złomoł mu jedyn róg. Zaś inkszy trzimoł sie za łogon i ryczoł na całe garło, bo mu jakiś kunda ugryz kączech łogona.

Jak Hanyška ujdrzeli, pociępli wszystko i postowali nałobkoło. Potym zabrali sie do

tych krupnioków. Nojwiększe przepadzitki żarły je srowe. Szczewa dowali se na rogi, abo tyż wydmuchali, zawionzali koniec niciom i chlastali sie nimi po gymbach. Inksi polecili po brotfanki i przipekali se je. Wmigu bóto po krupniokach, a Hanyskowi dali kopiate niecki złota. Pojechoł dodom.

Za te pijondze kupiół se kupa pola, postawiół chałpka, stodoła i chlywiki. Wszyjscy ludzie sie dziwowali, kaj tyn szpiterłok wytrzas tela waluty.

Hanysek, choć tuleja, bół jednak taki szprytny, że żodnemu nic niy pedziół. Jyny roz sie naproł w kaczmie. Wtedy podebroł go somsiód Julik, i wszystko wytyrczoł przed nim.

Co sie niy dzieje na drugi dziyń. Julik tyż jedzie z krupniokami do piekła. Już bół blank daleko w lesie, kej trefiół myśliwca-djobła.

Julik, dej mi skosztować jedyn krupniok! — prosiół go myśliwec.

Bez pysk, ściołbyś? — łodpedziół Julik. Mioł jeszcze cosik do niego fandzolić, ale myśliwca niy bóto.

Pieromsiewlesie! Wto to bóto? — pomyśłoł Julik. Strach go zbiyroł, ale jechoł dali.

A tam w piekle djobły na niego wachowały. Myśliwec polecioł drabko do piekła

i poklyciół jim wszystko. Jak ino zaklupół, wyskoczyli na niego jak szyrzynie. Zaczyni go łobkładać karwaczami, poskami i co wto mioł. Potym strajtowali mu krupnioki, pomazali go ś nimi całego, stargali szaket, narobiyli połno dziurów w galotach, i jak haderloka wyciepli. Nojwiększy djoboł kopnoł go, że wylecioł jak fusbal z piekła, a za nim połomany tragacz.

Blank pomału szoł dodom. Na puklu smyczół kółko z tragacza. Strzaskany, potargany, zmaraszony siód przed wsiom na kamyniu. Płakać mu sie ściało. Ze wsi przileciały psioki i łoblizowały go.

Wszystko djobli wzyni.

Słowniczek:

Krupniok — kiszka kaszana, tragacz — taczki, sztrachecel — zapałka, szeltówa — czapka, galoty — spodnie, bas — wielki brzuch, maras — błoto, psinco — nic, tuli-fajt — fajtlapa, ściorać — zjeść łapczywie, świergotać — trzęść się, kita — noga, lurkym — strugami, szwandrać — mówić niepoprawnie, przepadzitek — żartok, szpiterłok — biedak, naprać się — upić się, fandzolić — pleść głupstwa, karwacz — bat, haderlok — szmaciarz.

Joachim Wawrzyczek.

## Recenzje i sprawozdania.

Sztuka cicha i serdeczna.

Z powodu książki Jerzego Warchałowskiego o Janie Wałachu z Istebnej.

„Cóż mamy najcenniejszego w narodzie, cóż jest jego kapitałem, gwarancją ciągłości i zdrowego odradzania się, jak nie ten jego rezerwuár ludzki, u nas w Polsce daleko jeszcze nie wyczerpany. Skąd brać automatyczną wiedzę o nim, o jego utajonych wartościach, charakterze, tonie uczuciowym i prawdziwym, a nie powierzchownym kolorycie duchowym, który prędeż czy później wypłynie na wierzch poprzez osławiony materializm ludowy będący dla wielu rzeczą dowiedzioną

i załatwioną. Tylko u samego źródła i z pomocą tego źródła, czyli przez usta, pióra i wypowiedzi plastyczne utalentowanych jednostek z ludu.” Za takie źródło autentyczne uważa Jerzy Warchałowski Jana Wałacha, samotnego artystę z Istebnej. Przez trzydzieści niemal lat żył Wałach nieznanym, niedostrzeżonym przez świat artystyczny, tworząc w ostatniej niemal nędzy swe piękne płótna, subtelne rysunki, pełne ciepła serdecznego i gorącego umiłowania przyrody akwarele, swe niezliczone rzeźby. Odkrył go znany artysta-malarz warszawski Jerzy Warchałowski, przejął się pięknem sztuki beskidzkiego mistrza, tragiczną dolą nieuznanego artysty.



Urządził mu w Kamienicy Baryczków szumną wystawę (230 przeszło prac), która miała powodzenie ogromne i wywołała rozliczne echa. Pojawiło się w prasie kilkadziesiąt artykułów pochwalnych i ganiących, serdecznych i pełnych zrozumienia ale i ironicznych, kpiących z tego rzekomego artysty ludowego, który absolwował Akademię Sztuk Pięknych, ba nawet dwukrotnie przebywał na studjach w Paryżu. To ma być artysta ludowy? Kpiarze sądzili powierzchownie, trzymali się urzędowej biografii, nie próbowali ani wnikać w dzieło samo artysty, ani w jego skomplikowaną mimo całej prostoty psychikę. W pięknej swej książce o Janie Wałachu, która się właśnie co pojawiła dzięki zasiłkowi Sejmu Śląskiego i Funduszu Kultury Narodowej, tłumaczy Warchałowski bliżej ludowość Wałacha, autentyczność jego sztuki góralskiej. Wielka sztuka, sztuka akademicka, i ta poznana zagranicą, przeszła obok Wałacha, nie dotarła do głębi jego duszy. Tęsknota za domem, rodziną, swymi górami, swą biedą, ciągnęła Wałacha nieprzerwanie do rodzinnej Istebnej. Tu wsłuchiwał się i wpatrywał się w bliski mu i znany świat, łączył się całym sobą z otaczającą go przyrodą, wydierał jej tajemnice, zgłębiał jej czary — i przenosił doznania te na papier, na płótno, w drzewo i glinę. Uprawiał swą sztukę jako „wyrażanie niezmiennych uczuć zachwytu, tęsknoty, miłości i potrzeby prawdy”. — Jako mieszkaniec Beskidu odznacza się cechami naogół nie często spotykanymi wśród ludu Podbeskidzia — a jednak najzupełniej autentycznymi: brak mu uśmiechu, ale nie brak mu tego serdecznego ciepła uczuć, jest poważny, skupiony, małowówny — bo uciska go brzemień pracy, brak uznania, brak środków do życia dla tak licznej rodziny. Trudno zdobyć się w takich warunkach na uśmiech — a jednak pogoda, spokój, nie znika z jego oblicza i przejawia się w jego słońcu w całej pełni. Tu właśnie uwydatnia się z ogromną siłą pełnia charakteru tych ukrytych wśród gór pasterzy, gazdów, gaździnek. — artysta pokazuje nam „domowe kłopoty”, smutek „starej panny”, smętne oblicze gazdy

prześladowanego losem — to znów twarz pełną dumy, hartu, mocy wewnętrznej (Gazda Marekwica z Lasu). Całe to proste życie górali podbeskidzkich odzwierciedla się w tych licznych rysunkach, akwarelach — a od niedawna także w drzeworycie.

Jerzy Warchałowski zestawiał niezmiernie sugestywnie szereg prac samotnika z Istebnej, w których odzwierciedla się pełne oblicze artystyczne Wałacha. Trzeba, abyśmy na miejscu poznali owego artystę, którego znamy w dalekiej od nas stolicy, a o którym wiemy serdecznie mało — mieszkając o parę kroków od niego. Trzeba, abyśmy urządzili w Cieszynie, Katowicach i Bielsku wystawy artysty — zapoznali się z pięknym dorobkiem jednego z tych nielicznych przecież śląskich artystów plastyków. Trzeba, aby ściany naszych domów zdobiły prace artystów u nas mieszkających, blisko nas żyjących — a Wałach bardziej niż którykolwiek inny z naszych artystów śląskich tej pomocy potrzebuje.

A. Jesionowski.

Elisabeth Grabowski †, *Die Volkstrachten in Oberschlesien*, Aus dem Nachlass herausgegeben von Hedwig Grabowski, 1935, Verlag Priebartsch's Buchhandlung Breslau, S. VI, 140, 2. Z 8 barwnymi tablicami i 74 ilustracjami w tekście.

Wydana na początku bieżącego roku książka niedawno zmarłej etnografki śląskiej Elżbiety Grabowskiej nie wnosi do nauki nic nowego. Autorka wymienionej publikacji pracuje bowiem od czasów przedwojennych na polu etnografji i to wyłącznie w zakresie stroju śląskiego. Znamy cały szereg jej mniej lub więcej wyczerpujących artykułów i prac<sup>1)</sup>. Dzieło obecne sumuje wszystkie jej dotychczasowe wyniki i przedstawia całość stroju górnośląskiego z uwzględnieniem wszystkich ważniejszych grup kostjumologicznych.

Tak więc daje autorka wyczerpujący opis stroju bytomskiego i rozbarskiego i to zarówno odzieży męskiej jak i kobiecej, co

<sup>1)</sup> Vide: E. Boehlich, *Bibliographie der Schlesischen Volkskunde*, *Schlesische Bibliographie*, Breslau 1929, III, S. 130.



dziennej, świątecznej i ślubnej. W niniejszej recenzji nie będziemy powtarzać opisu tego stroju; noszony bowiem w powiecie katowickim, świętochłowickim i tarnogórskim, jest nam wszystkim dobrze znany. Drugą grupą jest strój górniczo-hutniczy, a więc robotniczy i paradny, sztygarski. Grupę trzecią stanowi Sz y w a ł d, który chociaż jest dawną osadą niemiecką, posiada ludność silnie jednak z polską wymieszaną. Działo się to, jak powiadają tamtejsze kobiety, na skutek braku mężczyzn, których do żeniaczki ściągano z Polski.

Strój sz y w a ł d z k i kobiecy różni się od innych grup o tyle, że stanik przyszyty do kiecki, podszytej w pasie grubym wątkiem, zachodzi bardzo wysoko pod szyję, sam jest natomiast bardzo krótki, na skutek czego stan takiej sukni sięga aż pod piersi. Kabotek biały pod stanikiem posiada bardzo krótkie rękawy z kokardką. Na to wszystko wkłada się jak wszędzie na Śląsku, chustę w kwiaty, skrzyżowaną na piersiach i po bokach zatknietą za stanik. Strój ten jest naogół utrzymany w kolorze czarnym, lub skombinowanym z zielonym, czerwonym i fioletowym. Dawniej noszono na głowie obcisłe białe czepce, chustki białe, haftowane krzyżykiem, czepce jedwabne oraz futrzane na zimę, zastąpione czasem (koło 1905 r.) czarną chustką, bardzo bogato i pracowicie haftowaną w ornament roślinny. Podobnie starannym haftem zdobiono dziecinne ubrania i czepki. Tak samo do przeszłości należą już długie, czerwone pończochy, układane w fałdy (podobnie jak w Cieszyńskiem), krótkie otwarte sprzodu jupki „plenty” i t. d. Osobny opis jest poświęcony strojowi ślubnemu i żałobnemu, poczem przechodzi autorka do opisu grupy raciborsko-głupczyckiej.

Strój raciborski noszony jest również u nas w powiecie rybnickim, zanika niestety w szybkim tempie. Stanik przyszyty do kiecki, biały kabotek, chustki skrzyżowane na piersiach i tureckie chusty oraz jakle, oto elementy stroju, jakie występują po obu brzegach Odry. Po tamtej stronie granicy

widzimy jednak nieco inne i bardzo rozmaite czepce z przewagą czepca złotego oraz w zimie futrzanego, jak również jedwabne adamaskowe spencery, u nas raczej rzadko noszone. Nasz czepiec raciborski przypomina formą tamtejszy złoty, jest jednak sporządzony z płótna i koronki, podobnie jak z koronki jest sporządzony częsty u nas w użyciu „kozielok”. — Czwartą grupą kostjumową na terenie Górnego Śląska jest grupa p o l s k a, będąca już w zupełnym zaniku. Strój ten podobnie jak i u nas bywa zastępowany uniwersalną jaklą i kiecką. Składał się on ze stanika (gorsetu), przyszytego do kiecki, który był głęboko wycięty pod pachami i na plecach, oblamowany wstążką i pięknie haftowany. Stroju dopełniał biały kabotek wykończony koronką, spencer i haftowany lub jedwabny fartuch w kwiaty, oraz jak wszędzie korale. Na głowę wkładało się długie, opadające na plecy tiulowe czepiec, przybrany wstążkami i kwiatkami, lub mały płócienny, obszyty koronką.

Dwie ostatnie grupy stanowią N y s a i P s z c z y n a. W stroju nyskim, znowu o wysokim staniku przyszytym do kiecki, kabotku białym i skrzyżowanej chustce, kładzie się główny nacisk na jedwabny, bogato wyszywany spencer, zdobiony koronkami fartuch, oraz brokatowy, złotem haftowany czepiec, zbliżony do raciborskiego. Nosi się też tutaj czepce z czarnego aksamitu, haftowane srebrem, zwykle małe płócienne, całkiem od nich różne koronkowe oraz bardzo charakterystyczne t. zw. Barthaube z długimi koronkowymi ryszami po bokach, wreszcie futrzane „kommode’y”. Dobrze nam znany s t r ó j p s z c z y Ń s k i jest nieco odmienny od dawnego. Dzisiejszy stanik jest znacznie wyższy od uprzednio noszonych niskich oplecków, tak samo kabotek wykończony koronką stracił zupełnie zdobienie z haftu krzyżkowego przy kołnierzyku i mankietu krótkiego rękawka, co upodabniało go w swoim czasie do kabotka góralskiego z Istebnego. Strój głowy pozostał niezmienny, składając się z obcisłego czepca siatkowego i haftowanej chusty do czepienia.

Tak przedstawiałaby się pokrótce część opisowa omawianego dzieła. Skolei przejdziemy do części genetycznej i zajmemy się sposobem rozumowania autorki, jej argumentacją i wnioskami, do jakich dochodzi w związku z pochodzeniem ludowego stroju. Całkiem słusznie wychodzi autorka z założenia, że ludowy strój śląski nie powstał samorodnie, lecz pod wpływem stroju miejskiego. Wystarczy rzucić okiem na dość jednolity charakter tego stroju na całym Śląsku, by się o tem przekonać. Niemniej autorka posuwa się dalej w swych dociekaniach, stwierdzając z całym spokojem, że strój śląski wywodzi się oczywiście z miejskiego stroju niemieckiego w. XVI-go, że wogóle cały Śląsk jest domeną wyłącznie kultury niemieckiej. Dlaczego? Otóż dlatego, że jedyny strój, na jaki stać było Polaków, stanowiła „płócienna koszula, przepasana powrozem, pozatem chodzono boso, jedynie w zimie wdziewając kożuch i buty”. Argument ten rozbraja swoją naiwnością. Ignorancja, przebijająca z powyższych słów, dowodzi tylko, z jakim zapasem wiadomości o kulturze polskiej zabrała się autorka do pisania „naukowej” pracy. Albowiem autorka nie wie, lub nie chce wiedzieć, że strój dwuczłonowy, złożony z spodnicy i gorsetu, przytem bogato zdobiony zarówno haftem jak koronką, jest noszony w obrębie licznych polskich grup etnicznych, że wymienimy Krakowiaków, Księżaków Łowickich, Kurpiów etc. Strój ten powstał w podobny sposób jak w Niemczech i wogóle w całej Europie, t. j. w oparciu o strój miejski. Ze przesłość tego stroju na ziemiach polskich jest równie starodawna jak gdzieindziej, świadczą o tem poważne źródła, jak testamenty włościańskie z XVI i XVII w., współczesne im opisy, przekazane przez dawnych pisarzy polskich (Klonowicz, Radziwiłł, Zbylitowski i t. d.), oraz mniej liczne materiały ikonograficzne w rodzaju rysunków Norblina. Roszczenia autorki, że strój tego typu jest strojem wyłącznie niemieckim, polega na nieporozumieniu, gdyż przyjął się on w Niemczech jako przejaw uniwersalnej mody europejskiej w. XVII

i XVIII-go, zapoczątkowanej głównie przez Francję i Włochy. Wobec powyższego wiara autorki w niemieckość tego stroju ma charakter wyłącznie osobisty.

Drugim argumentem, jakim autorka chce nas przekonać, że Śląsk zawdzięcza wszystko Niemcom, jest fakt kolonizacji niemieckiej, jaka miała miejsce w XIII wieku po napadzie mongolskim na Polskę. Przy tej okazji cytuje polskiego autora Leonarda Lepszego, żeby stworzyć sztucznie pozór bezstronności. Nie było to potrzebne, bo fakt kolonizacji niemieckiej jest nauce polskiej znany, choć w innym naświetleniu, niż mu daje nauka niemiecka. Tak samo nie mają wartości poglądy autorki na rolę żywiołu niemieckiego w tworzeniu średniowiecznej kultury polskiej, gdyż noszą one cechy naukowego dyktantyzmu i wybitnie szowinistycznego nastawienia. Na „objektywizm” autorki rzuca dostateczne światło łączenie w jeden związek przyczynowy XIII-wiecznej kolonizacji z współczesnym śląskim strojem ludowym. Ten ostatni zawdzięcza przecież swój wygląd miejskiej kulturze, głównie XVIII w. i rzecz oczywista, nie ma nic wspólnego z kulturą niemieckich kolonistów XIII w.

W rezultacie należy stwierdzić, że praca Grabowskiej ma niewątpliwie wartość jako zbiór sumiennie zebranych i dobrze ilustrowanych materiałów do śląskiego stroju ludowego, natomiast zawodzi zupełnie w ustępach poświęconych zagadnieniom ogólnym i zasadniczym. Co więcej, charakter tych ustępów upoważnia do stwierdzenia, że praca ta do pewnego stopnia ośmiesza naukę niemiecką.

*Agnieszka Dobrowolska.*

Walter Krause, Zur Volkstumfrage der mittelalterlichen Bürger von Beuthen — Oberschlesien, Odbitka (Zeitschrift des Vereines für Geschichte Schlesiens, Bd. LXIX, 1935, S. 121—145).

Autor stara się rozwiązać zadanie przez wykorzystanie wszelkich dostępnych mu nazwisk obywateli miasta Bytomia w ciągu wieków średnich (do końca XV wieku),



przez rozpatrzenie tych nazwisk oraz imion, zawodu i pochodzenia obywateli, języka urzędowego spisanych w mieście archiwaljów i t. p. momentów narodowościowych. Na podstawie powyższych sprawdzianów dochodzi autor do następujących wyników: W okresie od roku 1254 do końca XV wieku udział żywiołu niemieckiego w składzie obywatelstwa miasta Bytomia wyraża się cyfrą 50%, podczas gdy na żywioł polski w mieście przypada tylko 25%; reszta obywateli ma nazwiska dające się przydzielić jednej i drugiej narodowości.

Przy uwzględnieniu dalszych jeszcze sprawdzianów ustala autor ostatecznie, że w okresie powyższym miasto Bytom było pod względem składu narodowościowego ludności miastem przeważnie niemieckim.

Wiele uwagi poświęca autor następnie przełomowi w składzie narodowym obywatelstwa miasta Bytomia, który to zwrot odnosi autor na czas około roku 1500. Zewnętrzną cechę tego przełomu stanowią: Zastąpienie dotychczasowych nazwisk niemieckich polskimi, oraz wyparcie języka niemieckiego z urzędowego użytku przez język czeski. Jako przyczyny tej zmiany podaje autor: odpływ części niemieckiego obywatelstwa do innych miast, zwłaszcza do Krakowa, w okresie wojen krzyżowych; przypływ na wolne miejsca polskiej ludności wiejskiej. W procesie tym jednak naogół nie idzie o wyrugowanie i zastąpienie żywiołu niemieckiego przez ludność polską, ile raczej o powolną polonizację niemieckiej dotychczas ludności. Głębsze przyczyny polonizacji miasta upatruje autor jednak gdzie indziej: Wzmocnienie mocarstwowości polskiej po pokonaniu Zakonu Krzyżackiego, oraz unja z Litwą, zadały wprawdzie niemieckim przednim strażom w głębi Polski cios śmiertelny, którego skutki przeniosły się dalej na zachód i objęły także placówki niemieckie na pograniczu polsko-śląskim, przyczem także od zachodu czynną była narodowa reakcja czeskiego żywiołu. Temu podwójnemu naporowi kultury słowiańskiej (doppelter slavischer Kulturdruck) nie mo-

gły się długo opierać niemieckie miasta na Górnym Śląsku i wkrótce uległy spolszczeniu. — Tyle co do treści rozprawki W. Krausego.

Jakkolwiek rozprawka W. Krausego jest szczupłą, niemniej zawiera wiele materiału nowego i porusza bardzo ciekawe strony zagadnienia narodowościowego na Śląsku w wiekach średnich. Wchodzenie w szczegóły zabrałoby tu zawiele miejsca, przeto ograniczamy się do niektórych uwag: Przedewszystkiem zaznaczyć trzeba, że publikacja ta jest pożytecznym przyczynkiem do dziejów zagadnień narodowych na Śląsku. Należy także podkreślić, że wywody autora trzymają się zasad rzeczowych rozważań, a sądy formułuje ostrożnie.

Z szczegółów wymaga sprostowania przede wszystkim mylne twierdzenie autora (które zdaje się opiera się jeszcze na oświadczeniu Ziviera w artykule „Zur oberschlesischen Urkunden grade”), jakoby najstarszy polski dokument, spisany na Górnym Śląsku, pochodził dopiero z roku 1582. Zivier mówił tylko na podstawie doświadczeń z archiwum książęcego w Pszczynie, gdyż oryginalnych, dosłownych tekstów nie znał. Tymczasem podczas akcji inwentaryzacyjnej archiwaljów na terenie województwa śląskiego odnaleziono polskie teksty w księdze protokołów miasteczka Woźnik już od roku 1521, a zatem więc przeszło 61 lat starsze. Dotąd zaś najstarszy dokument, pisany na pergaminie i zaopatrzony w pieczęć przywieszoną, zachowuje się w oryginale w archiwum zamkowym zarządu dóbr księcia Hohenlohe w Koszęcinie. Wystawiony jest w Gorzowie (Landsberg), w powiecie oleśkim, w roku 1558.

*Ludwik Musiol.*

Stanisław Ligoń, *Wesele na Górnym Śląsku*. Widowisko ludowe w 4 obrazach 5 odsłonach ze śpiewami i tańcami. Opracowane ze współudziałem Al. Kubiczka (scena) i Bolesława Wallek-Walewskiego (muzyka). Katowice 1934, Nakładem Sekcji Teatrów Ludowych Towarzystwa Przyjaciół Te-



atru Polskiego. Druk, klisze do ilustracji i nuty wykonano w Rolniczej Drukarni i Księgarni Nakładowej pod zarządem Jana Kuglina w Poznaniu, 8-ka, str. 112, 9 tablic (w tem 4 barwne). — Ilustracje barwne St. Ligionia i St. W. Matejki.

Widowisko pod powyższym tytułem wypełniło kilkanaście wieczorów w teatrze katowickim, a kilkadziesiąt na prowincji i w innych dzielnicach Polski. Przyjęto je entuzjastycznie w Wilnie, w Warszawie — dotąd chętnie grywane jest na scenach amatorskich szczególnie. Widowisko to różni się ogromnie od „Wesela Cieszyńskiego”, którego autorem jest Walenty Krząszcz. Utwór Krząszcza jest wycinkiem z pulsującego życia cieszyńsko-śląskiej wsi. Ligoń zaś pojął swoją pracę jako syntezę niknących górnośląskich obrzędów ludowych, i to nie tylko weselnych, bo w obrzędowości weselną wpleciono także „Goiczek”, „Marzannę” i inne. Wskutek tego „Wesele na Górnym Śląsku” jest bardziej dostojne, zabytkowe — „Wesele Cieszyńskie” bardziej ludzkie, bliższe codziennemu życiu. I w jednym i w drugim utworze odzwierciedla się znakomicie charakter Ślązaków. Górnoślązak jest uroczysty, ceremonijalny, godny, lubi dowcip rubaszny, śmieje się rzadko. Natura Ślązaka cieszyńskiego odznacza się większą serdecznością, wesołością, niefrasobliwością. — Obu cechuje szczerą pobożność, gościnność, przywiązanie do tradycji i starodawnych obyczajów. Obydwa widowiska pisane są w gwarze, lecz w gwarze autentycznej, bez nalotów niemieckich.

Do powstania „Wesela na Górnym Śląsku” przyczynił się konkurs Towarzystwa Przyjaciół Teatru Polskiego w Katowicach. Utwór Ligionia wyróżniono wśród szeregu innych nadesłanych utworów. Widowisko oparte jest na zwyczajach weselnych powiatu bytomskiego, w szczególności w Rozbarku, Kamieniu, Chorzowie, Wielkich Piekarach, Łagiewnikach i okolic. Nad scenariuszem współpracował p. Kubiczek z Krakowa, nad układem muzycznym zaś czuwał znany kom-

pozytor Wallek-Walewski. Wydanie książkowe ilustrowane jest mnóstwem fotografii i wielobarwnych plansz, oraz zaopatrzone w kompletny dodatek muzyczny (str. 67 do 110), gdzie znajdujemy niemal wszystkie popularne na Górnym Śląsku tańce ludowe, więc Trojoka, Obracanego, Drybka, Hułana, Żyda i Mietlorza, oraz mnóstwo ładnych piosenek<sup>1)</sup>.

Całość składa się z czterech obrazów: Zolyt — Wywodzin — Wesela — i Czepin. Autor zachował doskonałą proporcję pomiędzy poszczególnymi obrazami, potrafił w tym niedługim przecież utworze doskonale uwytklić szereg cech charakterystycznych wszystkich warstw ludu górnośląskiego, m. in. szacunek dla starszych i cześć dla pracy. Bardzo silnie podkreślono poszanowanie tradycji ojców, miłość ojczyzny i szacunek dzieci dla rodziców. Nie brak tu także szeregu momentów politycznych. Całość owiana jest pogodą i radością — świadczy o gruntownym przemyśleniu. Na specjalne podkreślenie zasługuje pełna smaku i wytworności szata zewnętrzna „Wesela na Górnym Śląsku”. Nic dziwnego, pracował nad nią nie kto inny, jak tylko nasz Jan z Bogumina Kuglin.

Zarówno autorom, jak i wydawcom, oraz typografowi, należy się szczerza wdzięczność za ten tak piękny i pożyteczny utwór.

*A. Jesionowski.*

Ślązak, Dla Ciebie Polsko! (Obrona Karwiny), Sztuka w czterech odsłonach, Nakładem własnym, Drukarnia „Dziedzictwa” w Cieszynie, 8-ka, str. 50.

Czytając artykuł Alfreda Jesionowskiego o twórczości ks. Emanuela Grima<sup>2)</sup>, zauważyłem brak jakiegokolwiek wzmianki o sztuce ks. Grima p. t. „Dla Ciebie Polsko!”, napisanej pod pseudonimem „Ślązaka” z oka-

<sup>1)</sup> Tekst drugiego aktu ukazał się już poprzednio, w „Zaraniu śląskim”, V (1929), str. 56—60.

<sup>2)</sup> Alfred Jesionowski, Śladami Pawła Stalmacha (Twórczość ks. Emanuela Grima), Zarianie śląskie, X (1934), str. 126—136.

zji piętnastej rocznicy walki o Karwinę (23 I 1919 — 23 I 1934). W sztuce swej zamiast przedmowy zamieścił Autor wiersz p. t. „Piętnastolecie”, a w pierwszych dwu jego tercynach mówi:

Już upłynęło piętnaście lat,  
Kiedy na Śląskie lany wpadł  
Słowianin-Czech, nie brat a kat!

Clzą się lała Śląska krew,  
Życia padały, by liście z drzew  
w obronie Śląska na Polski zew!!

„Obrona Karwiny” zasługuje na wzmiankę już chociażby z tego względu, że jest najbardziej scenicznym utworem ks. Grima. Do najstarszych utworów pod tym kątem widzenia należą „Dwa orły Śląskie”, którym jednakże nie można odmówić prawdy historycznej. Sztuka „Dla Ciebie Polsko” posiada wysokie napięcie dramatyczne, którego — tak umiejętnie przeprowadzonego — w innych utworach ks. Grima trudno się doszukać (chyba tylko w „Wandzie”) w tym stopniu. „Dla Ciebie Polsko” zasługuje w całej pełni na nazwę dramatu patriotycznego z walk o wolność Śląska Cieszyńskiego. Jest to jedyny utwór tego rodzaju.

W odsłonie pierwszej zapoznaje nas autor wieczorem, przy skubaniu pierza, z pięknym zwyczajem ludowym — „szkubaczkami”. Ludzie wiejscy opowiadają sobie klechdy i podania ludowe, a pierwszeństwo przed innymi bajkami ma powieść ludowa o zbójniku beskidzkim Ondraszku, który z dobrocią swą i opieką pokrzywdzonych wrył się w pamięć ludzi na długie czasy. Płyną pieśni z lat dawnych, góralskie i inne, a i do tańca zdarza się okazja. Na „szkubaczkach” poznawają się młodzi i marzenia swoje wyśpiewują:

Jeśli mie ty chcesz, to jo ciebie też!

Pani mama pozwolili, a pón tata też!!

Na takim to wieczorku „oświadcza” się Janek rodzicom o Hankę i zostaje z radością przyjęty. Za trzy tygodnie ma się odbyć wesele. Trzeba być dobrym znawcą ludowości, by tak umiejętnie, w pięknej gwarze, przeprowadzić bez rubaszości wiejskiej odsłonę pierwszą.

W odsłonie drugiej — jakby preludjum do mającego nastąpić dramatu — ogarnia Hankę jakiś dziwny lęk, że przecucia i żal za domem rodzinnym, w którym się od dziecka wychowywała. Wstępem niejako do tragicznych zdarzeń jest wiadomość, że górnika Jędryszczoka „potrzaskało” w kopalni i został zabrany do szpitala. Po wiadomości o Jędryszczoku przychodzi do Hanki list od legjonarza Vladika z Pragi, który zna Hankę z lat dziecińczych i od pięciu lat zasypuje ją listami, wyznając jej swą miłość. Hanka na listy te nie odpisuje, bo Czecha pokochać nie może...

Dalszem przygotowaniem do mającego nastąpić dramatu jest wiadomość, że Czesi napadli Polaków w Gruszowie i Boguminie, zaś w Orłowej aresztowali profesorów i uczniów... Jako dalszy ciąg, ale już groźny, jest krzyk za oknami renegata Sztuchlika, odgrażającego się Polakom: „Poczkejcie wy pierońscy Polocy! Już Czesi idą...” W przecuciu złego Galocz, ojciec Hanki, pali korespondencje Rady Narodowej. Schodzą się górnicy i chłopci, radzą nad sprawą polską i składają przysięgę na krzyż, iż Karwiny nie dają... Chyba po trupach... Przysięgę składa także Janek, że albo Karwina będzie wolna, albo padnie trupem... „Tak mi Zbawco dopomóż i Twój święty krzyż!” — Wszystko przygotowano... Syreny mają zwiastować rozpoczęcie walki... Szczęść Boże!

W odsłonie trzeciej na wstępie, aby przygotować widza jeszcze bardziej na zbliżającą się tragedję, wprowadza autor na scenę wieści niepomysłne dla Polaków i niepokojące. „Czesi już poza Orłową” — to nowy etap przygotowania odsłony ostatniej. Aby zachęcić młodzież do walki, wprowadza autor umiejętnie opowiadanie o inż. Raczkcu, co „nie miał służby, bo był na urlopie”, a jednak pierwszy zjechał do kopalni, aby ratować górników w czasie nieszczęśliwego wypadku, w którym sam ginie śmiercią bohaterską. — Następuje pożegnanie męża z żoną, Janka z Hanką, aby iść w imię Boże... Dla Ciebie Polsko! Odchodzą ze śpiewem:



Nie damy śląskiej ziemi rwać!  
ni: kruszyć jej w kawały!  
bronić jej pójdzic śląska brać  
i ruszy naród cały!  
za małyś Czechu, byś nas zmógł!  
Tak nam dopomóż Bóg!

Jakże łatwo przy tego rodzaju scenach wpaść w patos i „przeszarżować” rzecz całą. Ks. Grim nie wpadł ani w pierwsze, ani w drugie...

Płacz i lament kobiet głośną strzałą. Ostatniem przygotowaniem do mającego nastąpić rozwiązania w odsłonie czwartej, to lekarz i ranni.

Odsłona czwarta i ostatnia, to cichy dramat. Janek ranny... A dziś miało się odbyć jego wesele z Hanką... „Dziś nigdzie na Śląsku niema wesela, bo Ziemia Śląska w żałobie... W Czacy zamęczyli Czesi jakiegoś chłopca polskiego... Gdy go wieszano, krzyknął: „Niech żyje Polska!” — (Czyż De-long dzisiaj nie przypomina nam tego chłopca?) — I tu, w chwili największego przygnębienia Polaków, nadchodzą radosne nowiny: że nasi pod Skoczowem porządnie łupią Czechów. — Nagle za oknami słychać głos renegata Sztuchlika:

— Zde bude ten rebelant, pane starszi...

Drzwi się otwierają i wchodzi „legjonarz” czeski, Vladik, którym gardzi Hanka. Następuje najmocniejsza scena, o największym napięciu dramatycznym, krótka, bo za długa osłabiłaby akcję. Vladik poznaje Hankę.

— Andulko, to jsi ty?... ty jsi to!?

Ale Hanka powstrzymuje go rękami, zaśłania Janka i krzyczy:

— Precz, precz, ani kroku dalej! To mój naręczony...

Gotowa życie swe oddać za niego. Janek już majaczy w gorączce. Widzi Polskę, wyciąga do Niej ręce i drżącymi ustami mówi: „Kto mnie woła, kto? Polsko, już idę... idę...” Ujrzał Vladika, czeskiego żołdaka i krzyknął: „A tam kto? kto!?” A na to Vladik z sadyzmem chwytą za rewolwer i kładzie trupem Janka, mówiąc: „To ja, Vladik... visz?!”

Z konających ust Janka wrywa się ostatni szept: Polsko, dla Ciebie!... Hanka pada na kolana przed ciałem jego i wśród łez mówi: To nasz ślub...

Tak kończy się sztuka! Ileż w niej cichej tragedji, bólu i łez, a zarazem hartu ducha, woli żelaznej i nieugiętej.

Utwór „Ślązaka” staje się dzisiaj aktualny. Możeby Teatr Polski pomyślał o nim?

Katowice, dnia 11 listopada 1935.

*Piotr Śmietana-Sokółski.*

Zelechowski Włodzimierz, *Majster Ligoń*, nowela, wydanie drugie, Katowice 1935, Księgarnia Katolicka, 8-ka, str. 42.

Nowelę Włodzimierza Zelechowskiego p. t. „Majster Ligoń” uznać należy za próbę wprowadzenia do literatury pięknej wybitnych postaci z dziejów Śląska. Dotychczas bowiem, poza Zofją Kossak-Szczucką, która w „Nieznany kraj” obrazowo i pięknie skreśliła fragmenty z życia niektórych działaczy, prawie nikt ze współczesnych pisarzy nie zainteresował się bliżej życiem zasłużonych Ślązaków, którzy swoją działalnością tworzyli polską przeszłość Śląska. Dlatego z prawdziwą radością należy przyjąć „Majstra Ligonía”, jako zapoczątkowanie nowych tematów, niekiedy dość silnie frapujących swoją odmienną barwą życia.

Autor zapragnął spopularyzować wśród współczesnego pokolenia tę niezmiernie ciekawą postać spracowanego hutnika, owioniętego tchnieniem poetyckiem i wieszczącego wizję potężnej Polski.

W dużej mierze udało się Zelechowskiemu dokonać swego celu, bo oto wprowadza nas w tętno pracy hutniczej, w nastrój codziennych trosk i kłopotów domowych, w atmosferę działalności społeczno-narodowej, którą stwarzał i w której żył Juljusz Ligoń. Czytając nowelę, widzimy na tle ówczesnego życia wyraźną sylwetkę majstra Ligonía, nakreśloną obrazowo, w swobodnej narracji, z umiejętnem użyciem słowa.



Jakkolwiek słaba żywość akcji i nikłe uwypuklenie siły twórczej, będącej motorem żywotności jednostki, czynią pewne usterki noweli, to jednak dziełko, jako całość, uznać należy za udane i godne rozpowszechnienia wśród szerokich rzesz czytelników.

Piotr Stasiak.

Stanisław Pawliczek, Ojciec zagłodzonych i inne wiersze, Katowice 1935, Nakładem autora, str. 24.

Kiedy mi zbiorek tych grafomańskich elukubracji wręczano, dodano, że są to utwory młodego bezrobotnego. I to jedynie jest powodem, dlaczego piszę parę słów o tem do „Zarania”. Zbiorki takie jak ten, pojawiają się na terenie Rzeczypospolitej Polskiej — niestety — furami. To też gdzieindziej nikt na takie wycieczki już nie zwraca uwagi. Pojawienie się „wierszy” w rodzaju Pawliczkowych na naszym terenie — jest niewątpliwym dowodem zainteresowania się sfer niewykształconych dziedziną poezji. I to jest znak dobry. Nie byłoby też wielkiej szkody z drukowania tak mizernych wierszy, jakimi są te ze zbioru „Ojca zagłodzonych”, gdyby je był wydał ktoś zamożny. Stać go na kilkanaście kilo makulatury — z Panem Bogiem! Ale poco wydaje pieniądze człek bezrobotny na interes więcej niż wątpliwy, nie poradziwszy się nikogo? O to mam pretensję do autora.

Aby mnie nie posądzono o niechęć, zazdrość lub złośliwość — oto parę kwiatuś z tej niwy:

Z poematu p. t. Ojciec zagłodzonych<sup>1)</sup>.

Nasze stodoły świeciły szkieletem,  
W naszych komorach pajęczyna siadła,  
Pokrzywy zjedlim co rosły pod płotem  
Dworscy panowie smrodzili od sadła,  
Ale nam głodnym bronili kruszyny.  
A w okolicy, ni jednej strużyny,  
Nie znajdziesz człeku. Wszystko co się dało  
Zjedlim zgłodniali, i nic nie zostało.  
We dworze który ukradł trochę jadła  
Wśród ciemnej nocy, głowa mu upadła.

<sup>1)</sup> Podkreślenia moje. — Przyp. recenzenta.

Z „Pieśni o Śląsku”.

Sześć wieków Prusak w krwi ślązackiej brodząc  
Zemsty przekleństwo sam, na sobie rodząc,  
Kagańcem niewoli uciskał pierś ziemi,  
Która już ledwie życiem oddychała.

Z „Wezwania do młodzieży”.

W górę jasne skronie,  
Z oczu fałszu bielmo precz,  
Bo obludy zdrajca tonie  
Idąc, cofa burzę wstecz.

Idź młodzieży w górne loty,  
W zacofańca imię pluń,  
Na partyjne nie patrz cnoty,  
Bo zdradziecka to jest ruń(????).

A. Jesionowski.

F. Res, Ostatni gwojźdźaurz, Drukiem Księgarni i Drukarni Katolickiej S. A. Katowice, 1935, 8-ka, str. 16.

Niedawno donosiliśmy o małym zbiorze poezji gwarowych p. t. „Z naszej żymyj ślůnskiej” tego samego autora (zob.: Zarnie śląskie, XI: 1935, nr 2, str. 123), a obecnie notujemy pojawienie się drugiego ciekawego zbioru jego prozy gwarowej z tych samych stron, t. zn. w szacie gwary prudnickiej. W całym szeregu krótkich ustępów zaznajamia nas autor z typem bezpowrotnie zanikającym w naszych wioskach, mianowicie — jak to już tytuł tomiku mówi — z postacią wiejskiego kowala „gwojźdźaurza”. Wjiejś, Stawjyńi i budůnky gwojźdźaurza, Familija, W źniwa, W studole, Przy pjyrzu, W kujźni, S tauwarym na przedej, W ńedźelam, Synek na gimnaziji, Smjerć gwojźdźaurza, Na kyrchowje — oto tytuły tej prostej i rzewnej historyjki, która posłużyła autorowi do hojnego przedstawienia słownika dialektycznego gwary sulkowskiej. Dla przykładu przytaczamy charakterystyczny opis chałupy „gwojźdźaurza” i największej w niej izby:

„Chałupa je starau. Lezi dojść ńisko ku strůńie rzyky. Zbudowanau je z cegły. Budowół jům isto starczek. Dach je pokryti skorupama. Widać, że ńerauz go sprawowali. Na dworze kole chałupy je pogrůdka.

Nad nům wiśi szYROKI okap dachu. Jak padau, to chrůńi od dyszcza. Z pogrůdky idziesz do śyńi. Na lewo je olmariczka, wmurowanau we śćańe. Kole ný sům dwjyrza do wjelkej izby. Na prawo stoi pod schodami wjelkau olmarika. Kůnsek dali je starzynczynau izbetka. Prosto wchodzisz do kuchyńy a stůnd na prawo do izbetky lau dźeći.

Wielkau izba je dojsć nůskau. Ścany a deka sům bjiłyny. Deliny myje se kaźdům sobotam, choć rzaudko tam gdo wchodźi.

Na śćanach wiszům krzizik i obrauzky: pańynka Marija, śwjynti Juzef i śwjyntau familija. W kůmodze pod krzizym je prańi skowany. Przy śćanach stojům trzi łůzka, dwa szranky i pjec. W postrzedku je stůł ze stołkami. Dwje okna idům na zygodam, a jedne okno idze na dwůr. W oknach sům łautky s kwjautkami. W tej izbie nie słychać ani jeźdźyjau wozůw ani wrzesku na cejsće. Tam odpoczywauś dobrze, jak leżisz pod pjerzinům a dyszcz praskau na okna abo wicher żyńe przez gałańzi strůmůw." L. B.

## Kronika i notatki.

Zc zjazdu niemieckich historyków w Opolu.

Dnia 19 października b. r. odbył się w Opolu zjazd niemieckich historyków z Górnego Śląska, przy udziale przedstawicieli władz krajowych. Zjazd zwołano z inicjatywy „urzędu dla krajoznawstwa górnośląskiego”, więc z ramienia czynnika oficjalnego. Wychodząc z założenia, że systematyczne badania nad odstonięciem przeszłości Śląska są zadaniem narodowym o daleko sięgającym znaczeniu, uchwalono m. in. reorganizację dotychczasowego, mało czynnego „Oberschlesischer Geschichtsverein”; przez oparcie tej organizacji o centralne Śląskie Towarzystwo Historyczne we Wrocławiu. Odtąd organizacja górnośląska stanowi ma podgrupę „Schlesischer Geschichtsverein” w Wrocławiu, gdzie, jak się wyraża sprawozdawca, będzie siedziba „sztabu generalnego” historyków śląskich... Kierownictwo podgrupy górnośląskiej objął dr Bednora z Głupczyc; w skład wydziału pracy historycznej weszli Walter Krause, radca stud. Foletzny, prof. Nowak (Wrocław), rektor Stumpe i dyr. Völkel (Gliwice).

Z wygłoszonych referatów wymienić należy wykład dra Randla o „pielęgnacji archiwaljów śląskich”, oraz dra Aubin’a, który podał historyczny zarys „przestrzeni wschodnio-europejskiej”. W wywodach swych dr Aubin podniósł, że najsilniej na

przestrzeń wschodnio-europejską wpływali Niemcy, a dopiero waśń między cesarstwem a papieżem osłabiła te wpływy. Zapora w dalszym pochodzie niemieckości na wschód i silne zagrożenie niemieckich wyników tego pochodzenia upatruje mówca w narodowym ruchu husyckim w Czechach z jednej strony, a w narodowych usiłowaniach rządów Jagiellońskich, które doprowadziły do rozgromienia Zakonu Krzyżackiego, z drugiej. Część przemówienia, poświęcona szybkiemu wzrostowi potęgi Polski za Jagiellonów (przyczem mówca nie zapomniał dodać, że Piastowie byli pochodzenia „nordyckiego”), wywołała żywe zainteresowanie. L. M.

### Archiwalja śląskie.

Magistrat miasta Ż o r zdeponował w Bibliotece Sejmu Śląskiego w Katowicach rewindykowane ostatnio z archiwum wrocławskiego dwa dokumenty z XIV wieku, 30 dokumentów z wieków XV—XVIII, oraz kopję dokumentu z roku 1431. O r z e g ó w natomiast złożył swoje dokumenty w formie depozytu w Muzeum Śląskiem w Katowicach. — Przy tej sposobności wyrazić należy życzenie, by swe archiwalja składały magistraty miast śląskich w archiwum akt dawnych przy Urzędzie Wojewódzkim Śląskim, jako placówce najlepiej służącej tym celom.

## Dwa konkursy na utwory sceniczne.

Chcąc zaradzić brakowi odpowiedniego repertuaru na teatr robotniczy i ludowy w ogóle, Wydział Okręgowy Robotniczego Instytutu Oświaty i Kultury im. Stefana Żeromskiego w Katowicach ogłasza dwa konkursy na utwory sceniczne:

I. Konkurs na krótki, jednoaktowy utwór, związany z życiem i pracą górnika: 1 Utwór, względnie utwory, nagrodzone na tym konkursie, wejdą do publikacji z materiałami na urządzenie uroczystości (wieczornic, akademij) górniczych (szczególnie w dniu św. Barbary). — 2. Charakteru utworów nie określa się bliżej. Chodzi jedynie o to, aby istotnie obrazowały życie, pracę i zwyczaje górnicze. Nie krępuje się również chcących wziąć udział w konkursie, rodzajem literackim utworów. Może być: dramat, komedia, melodramat, misterjum. W używaniu gwary należy wystrzegać się naleciałości (germanizmów). — 3. Nagrody: 1) zł 200, 2) zł 150, 3) zł 100. Termin nadsyłania utworów upływa z dniem 31 grudnia 1935 roku.

II. Konkurs na utwór sceniczny na teatr robotniczy i ludowy: 1. Chodzi o utwór sceniczny, któryby odtwarzał życie robotnicze

lub wiejskie. Forma winna być prosta, jasna, język zrozumiały. — 2. Charakteru utworów również się bliżej nie określa. Pożądane są wszystkie gatunki dramatyczne (dramat, komedia, melodramat, misterjum), o nagrodzie zadecyduje wartość sceniczna i ideowa utworu. Utwory nagrodzone zostaną wydrukowane. Nienagrodzone, a wyróżnione, po porozumieniu się z autorami. — 3. Nagrody: 1) zł 400, 2) zł 200. 3) zł 150. — Termin nadsyłania na drugi konkurs upływa z dniem 31 marca 1936 roku.

Utwory tak do pierwszego, jak i drugiego konkursu muszą być oznaczone godłem. Kopertę, zawierającą nazwisko, imię i adres autora, zaklejoną i oznaczoną takim samym godłem co utwór, należy przesłać wraz z utworem pod adresem: Sekretariat Wydziału Okręgowego Robotniczego Instytutu Oświaty i Kultury im. Stefana Żeromskiego w Katowicach, ul. Plebiscytowa 1.

Sąd konkursowy: Dr Maksymilian Hański, kier. ośw. pozaszkolnej; Włodzimierz Pawłowski, instruktor oświatowy; prof. Feliks Sachse, instr. ośw. pozaszk.; Ludwik Brożek; mgr Paweł Musioł, prezes Wydziału Okręgowego R. I. O. i K.

*Wydział Okręgowy.*

## Przegląd muzealny.

### Muzeum Miejskie w Cieszynie.

Od czasu ostatniego przeglądu, drukowanego w naszym piśmie<sup>1)</sup>, muzeum cieszyńskie powiększyło się bardzo wydatnie: zapowiedziane w tamtem sprawozdaniu adaptacje lokali na pomieszczenie zbiorów muzeum Szersznika zostały (na mocy uchwały komisji muzealnej miejskiej z 20 I 1934) wykończone. Nowy lokal, przeznaczony na pomieszczenie biblioteki, jest to wysoka, sklepiona, wsparta na stojącej w pośrodku kolumnie, sala parterowa, która kiedyś służyła pierwotnemu właścicielowi budynku Laryszowi za stajnię dla koni. W niej rozszerzono ok-

na dla lepszego oświetlenia, dano nową podłogę, obok niej urządzono jeszcze jedną mniejszą ubikację, wstawiono postument z popiersiem założyciela muzeum ks. Leopolda Szersznika i ustawiono ozdobne regały. Na tych 32 regałach złożono bibliotekę Szersznika, umieszczając książki w tym samym porządku, w jakim były w dotychczasowym lokalu, według inwentarza, który miała każda szafa (oprócz głównego inwentarza). Biblioteka ta liczy obecnie 16.308 książek, 433 map, 320 druków i 55 plików. Przez to przeniesienie uratowano ją przed grożącym jej zniszczeniem w lokalu bardzo starym<sup>2)</sup>

<sup>2)</sup> Ks. Szersznik zakupił w roku 1802 stary budynek cieszyńskiego gimnazjum jezuickiego i w nim złożył swe zbiory.

<sup>1)</sup> Zranie śląskie, X (1934), str. 62—63.



i nie naprawianym już oddawna z powodu braku funduszy. Obecny zarząd miasta i dr Władysław Michejda jako kurator muzeum Szersznika, położyli przez te zabiegi koło przeniesienia go i ulokowania trwałą zasługę dla kultury, nie tylko bowiem zapewnili pozostawienie tej sławnej biblioteki w mieście, ale także umożliwili połączenie jej ze zbiorami miejskimi.

Historję tej biblioteki i jej powstanie opisał długoletni kustosz tejże dr Wytrzens przed kilku laty<sup>3)</sup>. Po rozmieszczeniu jej przeprowadził kustosz muzeum miejskiego dokładną kontrolę zbiorów i wyniki jej zstawił w protokole z 31 VIII 1935.

Równocześnie zbadał także inne części zbiorów muzeum Szersznika: archeologiczne, numizmatyczne, dzieła sztuki i przyrodnicze, przeniesione razem z biblioteką do muzeum miejskiego, przyczem zinwentaryzowano je po raz pierwszy i ustalono ilość okazów.

Zbiory rękopisów (w liczbie 187 i 43 dokumentów) zawierają niektóre rzadkie zabytki. Szczególnie wartościową jest wielka księga pergaminowa z gotyckimi inicjałami, graduale Najświętszej Panny Marji z najstarszemi nutami i tekstem pieśni „Bogurodzica”<sup>4)</sup>, oraz ilustrowana książka modlitewna z w. XV, prawdopodobnie modlitewnik księżnej Elżbiety Lukrecji. Druga,

<sup>3)</sup> Dr Jan Wytrzens, Złoty Śląsk, VI (1931), str. 131—138, 186—194.

<sup>4)</sup> Rękopis ten w formie wielkiej księgi (66 cm długości i 44 cm szerokości), liczy 189 kart pergaminowych i nosi na okładce napis OFFICIA DE BEATA MARIA VIRGINE MDXXVI (zapewne rok oprawienia księgi). Pisał o nim Jan Łoś, Początki piśmiennictwa polskiego <Przegląd zabytków językowych>, wydanie drugie poprawione, Lwów 1922, str. 207, 354—355, 399, 405, 472, wykorzystując zapiski cieszyńskie Hieronima Łopacińskiego. — Ostatnio pisał o rękopisie tym Zdzisław Jachimecki, Nieuwzględnione źródło Bogurodzicy z przed 404-ych lat, Muzyka, VII (1930), nr 2, str. 77—82, z ilustracją, przedstawiającą fragment rkp, — oraz osobna odbitka p. r. Nieuwzględnione dotychczas źródło melodji Bogurodzicy, str. 7, 1 nlb. — *Przypisek redakcji.*

bardzo ozdobna książka modlitewna tego muzeum zginęła niestety w ostatnich latach. Do początków wieku XV należy też rękopis prawa magdeburskiego (Sachsenspiegel). Z początków wieku XVI pochodzi prawdopodobnie kodeks pergaminowy (z pięknymi inicjałami): Augustini Episcopi Hipponensis, De civitate Dei contra paganos, który dotychczas błędnie zaliczano do wieku XIII. Dużą wartość przedstawiają też: czeska biblja z r. 1439, napisana przez Apollonariusza, rzadkie dzieło: Bukisch, Schles. Religionsakten (7 tomów), stary rękopis cieszyńskiego prawa ziemskiego z r. 1573 i wiele rękopisów Szersznika.

Z polskich rękopisów należy wymienić przedewszystkiem tłumaczenie Andrzeja Ogłódowskiego „Orlanda Szalonego” z XVII wieku (sygn. DD IV ab), opisane przez Wondračka<sup>5)</sup> i Czubka.

Bardzo dużo zawierała biblioteka rzadkich druków, inkunabułów i wogóle najdawniejszych druków, których jeszcze teraz posiada 38, względnie 252, pochodzących z Bazylei (39), Wenecji (34), Strasburga (23), Norymbergi (21), Kolonji (12), Lyonu (16), Paryża (14), Augsburga (11), Lipska (7), Hagenau (6), Moguncji (6), Wittembergi (5), Medjolanu (4), Ulm (4), Frankfurtu (3), Krakowa (2), Pragi (2) i po jednym druku z Antwerpii, Hamburga, Litomyśla, Ołomuńca, Rzymu, Tübingen i Wiednia.

Najstarszemi drukami są: Gregorii Magni, Moralia in librum Job, Norimbergae 1471 i S. Isidoris junioris Libri Etymologiarum 1472, oraz najstarszy polski druk: Ephemerides Joannis Gafmanni, Cracoviae 1532. Biblioteka zawiera także bardzo rzadki druk: F Ludolphi de Saxonia, Meditationes vitae Jesu Christi 1475.

<sup>5)</sup> Wondraček Jan, Krótka wiadomość o polskim rękopisie Orlanda szalonego w Szersznikowskim księgozbiore w mieście Cieszynie się znajdującym [oraz] Pieśń XXXIV, 47—72 z tomu rękopisma drugiego: Jazda Astolfa do księżycy. Program des k. k. katholischen Gymnasiums in Teschen, für das Schuljahr 1865, S. 14—25. — *Przypisek redakcji.*

Oprócz tego znajduje się w niej wiele innych książek i cennych wydań, z dziedziny archeologii, anatomji, sztuki (miedzioryty), stare atlasy (jak Ortelio, *Theatrum orbis terrarum*, 1570), przyrody (jak Martiniego *Conchiliencabinet*, Roesel, *Historia naturalis rarorum*, dzieła Buffona i Linnego), z genealogji, prawa, historii i teologii, między wieloma leksykonami wielkie wydanie: *Zedlera Universalexikon* w 68 tomach.

Między drukami polskimi wymienić należy późne wydanie Długosza, *Historia Polonica* 1615, dalej: Starowolski, *Scriptorum polonicorum Hekatonas* i Herburta z *Fulshytyna*, *Chronica sive Historiae Polonicae compendium* (1571) i stary, niekompletny, zielnik (*Herbarium*) z XVI wieku. Do roku 1865 posiadała biblioteka Szersznika około 500 książek starych polskich, należących do Tow. Czytelni Ludowej, oddanych tam po nakazanie rozwiązaniu stowarzyszenia i zwróconych po przywróceniu go.

Wiele dzieł posiada oryginalną starą oprawę i przeszło 50 dzieł zaopatrzonych jest w ekslibrisy.

Zarząd muzeum zamierza z tych osobliwości bibliotecznych urządzić kiedyś wystawę, aby je pokazać szerszej publiczności.

Z pośród innych zbiorów zasługują na wymienienie: renesansowy kantorek (z marmurowymi inkrustacjami), który należał może kiedyś do ks. Elżbiety Lukrecji) zobacz reprodukcje<sup>6)</sup>; dużą wartość posiadają także fajansy, emaljowane śląskie szkło z r. 1669, gotycka monstrancja oraz wiele innych okazów sztuki i minjatur. Pomiędzy okazami broni najstarsze są: wielka strzelba, używana do obrony wałów, pancierz, polska „karacena” i polska zbroja husarska z czasów Sobieskiego.

Z zakresu grafiki znajduje się wiele planów i widoków, natomiast rysunki okazały się przeważnie kopjami. Wśród malowideł wymienić należy: portrety Szersznika, księcia Albrechta sasko-cieszyńskiego i cenny obraz

przedstawiający św. Franciszka (dzieło Bernarda Strozzi?).

Bardzo bogaty jest zbiór numizmatyczny, z pewną ilością starych monet, liczne śląskie i polskie pieczęcie (w tem 9 cieszyńskich) i cenne medale (tuzin renesansowych), obok wielkiej liczby odcisków i reprodukcji oraz małej kolekcji sfragistycznej.

Znaczny jest również zbiór instrumentów fizykalnych, jednak bez aktualnej wartości, tak samo jak okazy przyrodnicze. Po uporządkowaniu zbiorów Szersznika i należytem ich rozmieszczeniu będzie sporządzony dokładny przewodnik po tych zbiorach.

Równocześnie z wydatnem pomnożeniem zbiorów muzealnych i bibliotecznych rozszerzyły się także lokale przeznaczone na ich pomieszczenie. Zarząd miasta, który cały dom miejski przy ul. Demla przeznacza na dom kultury, na skupienie zbiorów bibliotecznych cieszyńskich, obejmujących w całości przeszło 50.000 tomów, opróżnił w nim dalsze lokale i adaptował je na cele muzealne. Na II piętrze oddano do użytku muzeum jedną salę, w której zgrupowano zabytki kultury góralskiej, wydzielone z sali etnograficznej, w której otrzymały wygodniejsze pomieszczenie zabytki kultury ogólno-śląskiej. Na I piętrze uwolniono od lokatorów 6 pokoi, z których trzy urządzono już na cele muzealne. W nich będą umieszczone zbiory przyrodnicze, pochodzące ze zbiorów Szersznika. Narazie urządzi się w nich perjodyczne wystawy, z których jedna obejmowała obrazy Mieczysławy Kosińskiej z Cieszyna, druga zdjęcia fotograficzne cieszyńskiego klubu fotografów. Przedtem odbyły się w muzeum dwie wystawy: fotografii i zabytków legionowych.

Zbiory numizmatyczne Szersznika będą umieszczone w sali bibliotecznej na parterze po sprawieniu odpowiednich szafek; tam także zawieszono 7 portretów posłów, którzy w r. 1779 zawierali pokój między Austrią a Prusami, po przeniesieniu ich ze sali posiedzeń wydziału gminnego.

Jeden pokój II piętra, w którym dotychczas mieściły się zbiory przyrodnicze, odda-

<sup>6)</sup> Zarianie śląskie, XI (1935), nr 1, str. 33, oraz objaśnienie na str. 35.



no na pomieszczenie dzieł sztuki. W nim pierwsze miejsce zajmuje wielki obraz K. Sichulskiego „Legenda Tatr”, zakupiony przez miasto, obok niego portret Pułaskiego Kaz., zakupiony przez Towarzystwo Ludoznawcze, dalej model pomnika Jana Raszki, przedstawiający Ursusa i Lygję z „Quo vadis”, modele pomnika Mieszka, pierwszego księcia cieszyńskiego, kolumnady na cmentarzu miejskim i rzeźbę Raszki, przedstawiającą górników przy pracy.

Osobny pokój przeznaczono na pomieszczenie depozytu kupca Konczakowskiego, złożonego ze starych zamków i kluczy, a oprócz nich także zegarów wieżowych z Cieszyna i Ustronia oraz pierwotnego roweru.

W przedsionku II piętra w dobrym oświetleniu zawieszono duży obraz: portret księcia cieszyńskiego Adama Waława, jedyny portret Piasta cieszyńskiego, jaki się przechował w Cieszynie, otrzymany w depozyt od Inspektoratu Lasów Państwowych w Cieszynie.

Na podwórzu budynku muzealnego stworzono rodzaj lapidarium, umieszczając tam dwa portale ze starego (zburzonego) kościoła goleszowskiego wraz z dwoma zwornikami, z których jeden przedstawia orła polskiego, oraz portal z domu mieszczanina cieszyńskiego, nadto szczątki prawdopodobnie dawnej bramy miejskiej z napisem: Pax intrantibus, salus exeuntibus, chrzcielnicę darowaną przez cieszyński urząd parafjalny, fragmenty z dawnego zamku cieszyńskiego, postument z r. 1656, darowany przez komendę załogi cieszyńskiej i jeden ze żłobów, które się znajdowały w obecnej sali bibliotecznej.

Miasto otwiera coraz nowe lokale dla muzeum, aby pomieścić rosnące nieustannie zbiory jużto przez zakupy, jużto drogą darów ze strony osób interesujących się rozwojem tej placówki kulturalnej. W ciągu roku bieżącego otrzymano w darze: stary ornat z kościoła w Ogrodzonej, starą chorągiew cechu piekarskiego, łańcuch srebrny, dokument cechowy z r. 1828, portret ks. Franciszka Michajdy i poety Kubisza (oba od ich synów), kilka przedmiotów ludowych (od p. Dynow-

skiej), sztandar polski z napisem: Boże zbaw Polskę, 5 XI 1905, cynowy pierścień z orłem i napisem: Polskie Legjony 16 VIII 1914 (od Macierzy Szkolnej), wiele książek, między nimi 443 wydawnictw, głównie statystycznych, od b. senatora dra Józefa Buzka, oraz kilkadziesiąt książek od b. posła Tad. Regeera, od dyr. muzeum etnograf. w Krakowie S. Udzieli, od Prezydjum Sądu Okręgowego w Cieszynie 39 sztuk broni kłusowniczej i od hr. Rusieckiego z Warszawy 3 przedmioty szklane polskiego wyrobu, od inż. Herza i Kohna piec fajansowy z domu b. burmistrza dra Kluckiego, od Lebensteina 2 pary starych kolczyków, od M. Kosińskiej obraz olejny.

Nadto złożyło w muzeum w formie depozytu starostwo cieszyńskie, z likwidującego się Celestinum, 3 portrety Celesty, stary zegar i 25 obrazów, major Bem de Cosban posążek bronzowy generała Bema, otrzymany od armii węgierskiej, a Komitet poszukiwania grobów piastowskich (inż. Riess i Majewski) wszystkie wartościowe przedmioty, znalezione w podziemiach cieszyńskiego kościoła parafjalnego.

Jeden pokój w muzeum oddano „Sekcji etnograficznej uczniów gimnazjum matematyczno-przyrodniczego”, którzy z inicjatywy naucz. Małkowskiego nagromadzili sporo zabytków sztuki ludowej, szczególnie góralskiej i postarali się o gabloty na ich pomieszczenie tak, że powstało w ten sposób niejako muzeum szkolne.

B. Prezydjum Rady Narodowej, pierwszego polskiego rządu na Śląsk Cieszyński, złożyło w muzeum 87 plików akt Rady Narodowej częściowo zinwentaryzowanych, 6 ksiąg rachunkowych, 1 księgę rękopiśmienną i protokół z posiedzeń tej rady za czas od 18 XI 1919 do 4 VII 1920.

Państwowa Wyższa Szkoła Gospodarstwa Wiejskiego złożyła w muzeum 74 książek z zakresu historii i sztuki z pomiędzy tych, które otrzymała kiedyś od Inspektoratu Lasów Państwowych w Cieszynie.

Wśród czasopism, które weszły w skład zbiorów muzealnych, są wszystkie roczniki



b. Dziennika Cieszyńskiego od r. 1906—1925, ofiarowane przez burmistrza dra Wład. Michejdę, jedyny zdaje się komplet tego czasopisma, kilka roczników „Gwiazdki Cieszyńskiej” i „Miesięcznika Pedagogicznego”, darowane przez Lud. Brożka, oraz czasopisma bieżące, ofiarowane muzeum bezpłatnie: Gwiazdka Cieszyńska, Gwiazdka Śląska, Nowiny Śląskie, Poseł Ewangelicki, Śląska Brygada, Grenzbote i wychodzące po stronie czeskiej: Dziennik Polski, Ewangelik, Robotnik Śląski, Nasz Kraj i Prawo Ludu (za czas, kiedy wychodziły).

W okresie od ostatniego przeglądu muzealnego zakupiono z funduszy na ten cel przez zarząd miasta wyznaczonych, i z funduszy Towarzystwa Ludoznawczego, wiele wartościowych przedmiotów, między nimi kilka obrazów pochodzących z dawnego kościoła kisielowskiego, szereg przedmiotów z zakresu strojów ludowych, między innymi kompletny strój huculski, kilkanaście obrazów z grafiki (teki Stellera), kilkadziesiąt książek, medali i monet, i pewną ilość okazów sztuki ludowej.

Celem dokładniejszego oznaczenia zbiorów Towarzystwa Ludoznawczego, wcielonych do muzeum miejskiego, przeglądnięto 30 roczników „Gwiazdki Cieszyńskiej”, w której ks. J. Londzin ogłaszał stale „dary

dla muzeum śląskiego” z podaniem nazwisk ofiarodawców i — niekiedy — bliższych szczegółów, dotyczących gromadzonych przez niego przedmiotów muzealnych.

Obecnie zatem wchodzi w skład muzeum cieszyńskiego: 1. dawne zbiory muzeum miejskiego, które zaczął gromadzić od r. 1902 kapitan Weissman, 2. zbiory Towarzystwa Ludoznawczego, składane od początku XX wieku, głównie na ręce ks. J. Londzina, 3. muzeum Szersznika, w którym na powstanie biblioteki złożyły się zbiory biblioteczne 2 klasztorów cieszyńskich, Jezuitów i Dominikanów, które jednak jest dziełem przede wszystkim ks. Leopolda Szersznika i wreszcie 4. przedmioty zebrane przez uczniów.

Dzięki tak znacznej ilości nagromadzonych przedmiotów, w wielu wypadkach o wielkiej wartości artystycznej lub naukowej, muzeum cieszyńskie stało się punktem atrakcyjnym nie tylko dla ludności Śląska Cieszyńskiego, lecz nawet dla całej Polski. Zwiedzają je letnicy przebywający na Śląsku sezonowo oraz wycieczki z dalekich stron (z Wilna, Warszawy, Lublina i skądinąd), korzystają z niego wydatnie dla studjów cieszyńskie szkoły średnie przy nauce historii, literatury i rysunków.

W okresie opisanym powyżej zwiedziło muzeum 7.050 osób, dorosłych i młodzieży.



## SPIS RZECZY, zamieszczonych w tomie XI (1935):

### Artykuły i utwory literackie:

<i>Barycz Henryk</i> , Zamierzone studia Józefa Łompy w Uniwersytecie Krakowskim . . .	193
—           Ustęp z dziejów kontrreformacji katolickiej na Górnym Śląsku . . .	273
<i>Błahut Emil</i> , Zarys medycyny ludowej i wierzeń leczniczych Śląska Cieszyńskiego . . .	98
<i>Buczkówna Zofja</i> , Krajobrazowy plan Wielkich Katowic (z mapką i 4 ilustracjami)	169
<i>Buzek Andrzej</i> , Polskość w kościele ewangelickim na Śląsku (1742—1918) . . .	182
<i>Dąbrowa Jan</i> , Pamiętnik „Zwiasztuna Górnos Śląskiego“ . . . . .	246
<i>Degen Ślósarska Zofja</i> , Wspomnienie (o Wiśle i Istebnej) . . . . .	176
<i>Dobrowolski Tadeusz</i> , Kilka uwag o rzeźbie ludowej (z 6 ilustracjami) . . . . .	239
<i>Drobny Emil</i> , Rodzina Godulów, Na podstawie metrykalnych ksiąg 1765—1783 . . .	179
<i>Dyboski Roman</i> , Śląsk, a nasza zbiorowa odpowiedzialność . . . . .	74
<i>Eisenstein A.</i> , Krótki zarys historii gminy żydowskiej w Cieszynie . . . . .	189
<i>Fierla Adolf</i> , Z „Kolęd beskidzkich“ . . . . .	90, 94, 107
<i>Filipowicz Kornel</i> , Jan Błahut, Fragmenty prozy mieszczańskiej . . . . .	37, 203
—           Fragmenty prozy mieszczańskiej (Śmierć Sakaluka) . . . . .	114
<i>Gumowski Marjan</i> , Grobowiec Henryka IV (z 5 tablicami) . . . . .	148, 229
<i>Jesionowski Alfred</i> , Świat śląski w twórczości Zofji Kossak-Szczuckiej . . . . .	41
<i>Kołodziejczyk Roman</i> , Moje miasto (Cieszyn) . . . . .	118
<i>Kubisz Jan</i> , Zniczowi (Wiersz z roku 1906) . . . . .	80
<i>Lutman Roman</i> , Śląsk — jeden, niepodzielny . . . . .	145
<i>Majewski M.</i> , <i>Popiołek F. i Riessowie J. i H.</i> , Sprawozdanie z wyniku poszukiwań gro- bów książąt cieszyńskich z rodu Piastów (z 2 ilustracjami i osobnym planem) . . .	52
<i>Malczewski Rafał</i> , Cztery reprodukcje z cyklu obrazów p. t. Czarny Śląsk . . . . .	tablice.
<i>Milata Kazimierz</i> , „Znicz“ w latach 1929—1935 . . . . .	83
<i>Milata Władysław</i> , Rzut oka na osadnictwo w Istebnej (z 3 ilustracjami i osobną mapą)	108
<i>Morciak Gustaw</i> , Gamratka, Fragment z powieści p. t. Ondraszek . . . . .	263
<i>Musiół Ludwik</i> , Toponimia śląska a polityka . . . . .	160, 255
<i>Musiół Paweł</i> , Zagadnienie regionalizmu na Śląsku . . . . .	87
<i>Olszewicz Wacław</i> , Jak pracować naukowo na Śląsku nad zagadnieniami gospodarze- mi i ekonomicznymi? . . . . .	225
<i>Pampuch Piotr</i> , Fossorex ex Polonia... Szkic o dawniejszym napływie górników z Polski do górnos Śląskiego okręgu przemysłowego, 1704—1885 (Część druga) . . . . .	18

<i>Pilchówna Marja</i> , „Polok“ czy „ślazok“ . . . . .	269
<i>Popiołek Franciszek</i> , Stosunki polsko-śląskie w czasie wojny 30-letniej (z 3 ilustracjami)	25
— Powstanie i rozwój wsi Ustronia (w zarysie), z 2 ilustracjami . . .	197
<i>Prejzner Tadeusz</i> , Kilka nieznanych pieśni ludowych ze Śląska, zapisanych przez J. Lompę (z melodjami) . . . . .	45
<i>Reiss Józef</i> , Wycieczki Górnoślazaków do Krakowa . . . . .	288
<i>Ręgorowiczowa Olga</i> , Z cyklu: Wiersze o Śląsku . . . . .	268
<i>Stuligłowa Edmund</i> , O udziale śląskiej młodzieży akademickiej w ruchu narodowym . . .	76
<i>Szczepański Jan</i> , Socjologiczne problemy Śląska . . . . .	91
— Poezje . . . . .	104, 204, 238
<i>Ślązak</i> , Dwa wiersze ze zbioru „Z nad źródeł Olzy“ . . . . .	168, 181
<i>Targ Alojzy</i> , O obcym kapitale na Śląsku słów kilka . . . . .	95
<i>Wallis Stanisław</i> , Znicz, pismo zbiorowe młodzieży polskiej we Wrocławiu, 1851—1852	284
<i>Walach Jan</i> , Przed szalasem (reprodukcja obrazu) . . . . .	1
<i>Wantula Jan</i> , Dr Paweł Oszełda, bojownik o wolność ludu, 1848 (z 4 ilustracjami) . . .	2
<i>Wawrzyczek Wiktor</i> , Kilka słów o źródłach mineralnych na Śląsku Cieszyńskim . . .	105

### Materiały.

<i>Brożek Ludwik</i> , Śląsk w pamiętnikach Staszica . . . . .	290
<i>Drózd Alojzy</i> , Kościół ewangelicki w Dolnych Błędowicach . . . . .	296
<i>Musiół Ludwik</i> , Śląsk w pamiętnikach Staszica . . . . .	206
— Z źródłowych dociekań nad nazwami i nazwiskami w poemacie Różdzieńskiego „Officina Ferrara“ . . . . .	292
— Historyczny Klimczok . . . . .	294
<i>Olszak Rafał</i> , Opowiadani o Śladoszku na Kontach . . . . .	64
— Opowiadani o wolonterski studni . . . . .	208
— Opowiadani o jistym wandrołowi . . . . .	209
<i>Filchówna Marja</i> , O cygónach . . . . .	61
<i>Świbianka Ernestyna</i> , Sennik z Brennej . . . . .	62
<i>Wawrzyczek Joachim</i> , Jak Hanysek z krupniokami do piekła jechoł . . . . .	298
<i>Wyrzems Jan</i> , Podanie (wierszem), ze wstępem <i>L. Brożka</i> . . . . .	205

### Recenzje i sprawozdania.

Działalność Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego w roku 1934 ( <i>Brożek Ludwik</i> )	127
<i>Chmelař Józef</i> , Polska mniejszość narodowa w Czechosłowacji ( <i>Wojnar Wiesław</i> ) . . .	212
<i>Fierla Adolf</i> , Kolędy beskidzkie ( <i>Brożek Ludwik</i> ) . . . . .	210
<i>Gojawiczyńska Pola</i> , Ziemia Elżbiety ( <i>Stasiak Piotr</i> ) . . . . .	70
— Powszedni dzień ( <i>Stasiak Piotr</i> ) . . . . .	121
<i>Grabowski Elisabeth</i> , Die Volkstrachten in Oberschlesien ( <i>Dobrowolska Agnieszka</i> ) . . .	300
<i>Jakobson Roman</i> , Slesko-polská cantilena inhonesta ze začátku XV století ( <i>Birkenmajer Józef</i> ) . . . . .	70
<i>Kipta Stanisław</i> , Gliwicki proces Elsów w roku 1905 ( <i>Brożek Ludwik</i> ) . . . . .	124
<i>Krause Walter</i> , Zur Volkstumfrage der mittelalterlichen Bürger von Beuthen-Oberschlesien ( <i>Musiół Ludwik</i> ) . . . . .	302
<i>Ligoń Stanisław</i> , Wesele na Górnym Śląsku ( <i>Jesionowski Alfred</i> ) . . . . .	303
<i>Pawliczek Stanisław</i> , Ojciec zagłodzonych ( <i>Jesionowski Alfred</i> ) . . . . .	307
<i>Probosz Jerzy</i> , Wesele góralskie (Sęk) . . . . .	123



<i>Res F.</i> , Z naszej zymy ślůnskiej (B. L.) . . . . .	123
— Ostatni gwjrdźaurz (B. L.) . . . . .	307
Rocznik Oddziału Pol. T-wa Tatr. „Beskid Ślůski“ w Cieszynie, VI (Czapla F.) . . . . .	68
Polski Słownik Biograficzny, zeszyty 1—2 tomu pierwszego (Popiołek Franciszek) . . . . .	69
<i>Śiżak</i> , Dla Ciebie Polsko! (Śmietana-Sokółski Piotr) . . . . .	
<i>Wantula Jan</i> , Najdawniejszy chłopski esklibris polski (Brożek Ludwik) . . . . .	215
<i>Warchałowski Jerzy</i> , Jan Wałach z Istebnej (Jesionowski Alfred) . . . . .	299
<i>Żelechowski Włodzimierz</i> , Majster Ligoń (Stasiak Piotr) . . . . .	306

### Notatki i kronika.

<i>Olszak Rafał</i> , Wspomnienie o ś. p. Wiktorze Fjćniku . . . . .	65
<i>Popiołek Franciszek</i> , Albrecht, książe sasko-cieszyński (z 2 ilustr.) . . . . .	66
Wystawa Zespołu Polskich Artystów Malarzy w Cieszynie . . . . .	68
Notatki bibliograficzne . . . . .	70
<i>Sęk</i> , ś. p. Jan Łysek jako monologista . . . . .	72
<i>Komitet redakcyjny „Znicza“</i> , Słowo wstępne (do specjalnego zeszytu „Znicza“) . . . . .	74
<i>B. L.</i> , Komitet wydawnictw ślůskich przy Polskiej Akademji Umiejćtności . . . . .	128
— Instytut Ślůski w Katowicach . . . . .	132
<i>P. J., dr.</i> , Badania psychologiczne na Ślůsku (Notatka informacyjna) . . . . .	135
<i>Błabut Emil</i> , Warunki pracy „Znicza“ krakowskiego . . . . .	136
<i>Brożek Ludwik</i> , „Kuźnica“ i jej kowale . . . . .	138
— Morcinek — młodzićy . . . . .	139
Zapomniany biskup polski z Wrocławia, ś. p. ks. Adrjan Włodarski . . . . .	140
Znów zniknął jeden zabytek . . . . .	141
<i>Śiasiak Piotr</i> , Otwarcie wzorowej biblijteki dziecićcej T. C. L. w Katowicach . . . . .	141
Wieczór literatury i pieśni ślůskiej w Wiśle . . . . .	142
<i>S. F.</i> , Regionalne święto pieśni w Wiśle . . . . .	142
<i>Brożek Ludwik</i> , Od redakcji . . . . .	143
Z życia ślůskich Towarzystw Naukowych . . . . .	217
<i>P.</i> , Z życia teatralnego na Ślůsku . . . . .	220
Z dziaćalności Towarzystwa Muzycznego w Katowicach . . . . .	220
<i>O. B.</i> , Powstanie centralnej organizacji akademickiej na Ślůsku . . . . .	222
Obrazy Rafała Malczewskiego . . . . .	223
<i>Sowa St.</i> , Wystawa malarska M. Kosińskiej w Cieszynie . . . . .	223
<i>W. K.</i> , Wystawa Edwarda Świerkiewicza . . . . .	224
<i>wicz</i> , Na marginesie wystawy rzemieślniczej w Cieszynie . . . . .	224
<i>L. M.</i> , Ze zjazdu niemieckich historyków w Opolu . . . . .	308
Archiwalja ślůskie . . . . .	308
Dwa konkursy na utwory sceniczne . . . . .	309

### Przegląd muzealny.

Muzeum Ślůskie w Katowicach . . . . .	219
Muzeum Miejskie w Cieszynie . . . . .	309

